

ROZMOWA Z OŁĘKSJEM ARESTOWYCZEM

**Zelenski uwierzył, że rządzi światem
– mówi o nim jego były doradca**



TYGODNIK LISICKIEGO

**NR 43/550 23–29 PAŹDZIERNIKA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)**

DO RZECZY

**Od Atatürka do Erdoğan
– 100 lat Republiki Turcji**



**RAPORT O SŁUŻBACH SPECJALNYCH:
HAMAS ZASKOCZYŁ IZRAEL,
CZYLI KONIEC LEGENDY MOSADU**

**Antycywilizacja eutanazji
– jak lekarze zabijają
swoich pacjentów**



PRZE- GRANY

**Przyczyny porażki PiS
analizują:
Semka, Ziemkiewicz,
Jurek, Warzecha**

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 000 egzemplarzy

Zarejestruj się na naszej giełdzie
**i wygraj od 50 do
2 500 USD w BTC**
na początek Twojej przygody!

zondacrypto.com

zondacrypto 

Dowiedz się więcej



Najdroższa nieudana kampania



PAWEŁ LISICKI

Liderzy Europy czekali właśnie na taką Polskę, z którą można rozmawiać, z którą można mieć normalnie relacje” – skomentowała wybory w Polsce Anne Applebaum. Specjalnie wybrałem ten cytat znanej amerykańskiej publicystki, związanej z demokratami, bo pokazuje doskonale to, czego nie mógł zrozumieć rząd PiS w Warszawie: tak amerykańscy demokraci, jak europejscy biurokraci woleli w Warszawie inny rząd i użyli wszystkich dostępnych środków – tak finansowego szantażu (Unia Europejska), jak presji politycznej (wystąpienia ambasadora Marka Brzezińskiego) – żeby swój cel osiągnąć.

Pokonać takie przymierze nie było łatwo, co nie znaczy, że było to niemożliwe. Niecały rok wcześniej dokładnie z takim samym problemem mierzył się w Budapeszcie rząd Viktora Orbána. Różnica jednak jest podstawowa: Orbán swoją kampanię wygrał, zdobywając większość konstytucyjną, PiS otrzymał najwięcej głosów, ale przegrał. Orbán pokazał, że stoi na czele wielkiego ruchu narodowego i że dla obrony węgierskiej racji stanu nie zawaha się zdrzeć z największymi potęgami Zachodu; w Polsce zabrakło tak ruchu narodowego, jak zrozumienia, że obrona suwerenności państwa oznaczać musi kierowanie się tylko jednym, polskim interesem narodowym. Zresztą czy mogło być inaczej? Nie, skoro większość polityków prawicy zapomniała o tym, co najważniejsze, a więc o polityce właśnie.

Zamiast tego mieliśmy po pierwsze masowe kupowanie poparcia, po drugie używanie propagandy. Dlatego Mateusz Morawiecki poprowadził najdroższą nieudaną kampanię polityczną w dziejach III RP. Wyborców nie przekonywano, ale w ścisłym tego słowa znaczeniu przekupywano. Mechanizm miał być prosty: chcesz dostać od państwa darmowe pieniądze, głosuj na PiS. Jego

obsługa nie była skomplikowana. Należało wytypować odpowiednio liczne grupy społeczne, np. emerytów lub najmniej zarabiających, i rozdać im pieniądze. Nie miało to nic wspólnego ani z interesem państwa, ani z wymaganiami gospodarki, stąd stopniowy zanik troski o inwestycje i porzucenie prywatnych przedsiębiorców. Był to mechanizm skuteczny, tyle że wytwarzał nie grupę zwolenników, ale klientów. Szli do wyborów tak jak po wypłatę, bez wielkiego entuzjazmu i bez zaangażowania.

Drugim środkiem, który miał dać PiS zwycięstwo, okazała się propaganda. Pomysł, żeby głównym przedmiotem ataków medialnych został Donald Tusk i żeby ciągle straszyć jego rządami sprzed dziewięciu lat, od początku był absurdalny. To był przekaz wyłącznie dla najtwardszego, własnego elektoratu. Podobnie jak jednocześnie przypisywanie Tuszkowi występowania w roli agenta zarówno Moskwy, jak i Berlina. Skupienie na nim całej siły ognia sprawiło, że PiS nie zauważył rosnącego poparcia Trzeciej Drogi. Poza tym, co jeszcze ważniejsze, agresywna kampania antytuskowa miała się nijak do tego, czego można by oczekiwać od partii, która rządzi od ośmiu lat i opowiada o bezpieczeństwie. Obciążanie lidera opozycji za własne błędy i ciągłe przyzywanie okresu 2007–2015 zupełnie nie trafiło do młodszych wyborców.

Drugą cechą przekazu rządowego była nieustanna propaganda sukcesu, coraz bardziej nieznośna i coraz bardziej operetkowa. Wszystko, co rząd przygotowywał, było wielkie, wspaniałe, niezrównane: największa armia lądowa w Europie, największe zakupy sprzętu w dziejach, największe inwestycje w historii. Wygląda na to, że wielu polityków PiS, na czele z prezesem partii i premierem, w tę propagandę święcie wierzyło, co

pociągało za sobą arogancję i butę. Dlatego ostrzeżenia lekceważyli lub, gorzej, uznawali je za przejaw zdrady. Takie zadufanie, w zderzeniu z pogarszającą się sytuacją gospodarczą Polaków, wywołaną wzrostem cen, doprowadziło do powstania mieszkanki wybuchowej. Nic dziwnego, że rządowy przekaz przyczynił się do coraz większej złości i największej frekwencji w historii.

Po trzecie, z dawnego PiS, który w 2015 r. doszedł do władzy, broniąc wartości narodowych, upominając się o politykę podmiotową, zapowiadając powstanie z kolan i twardej politykę wobec Brukseli, pozostała jedynie buńczuczna retoryka. Rząd Morawieckiego skutecznie zdusił cały patriotyczny entuzjazm sprzed lat. Podczas tzw. pandemii PiS realizował po prostu wytyczne globalnych koncernów, rozkręcając wielką akcję sanitarystyczną. Masowe przyjmowanie migrantów zarobkowych podkopowało zaufanie do rządu jako obrońcy jednolitości kulturowej Polski. W zderzeniu z Unią premier Morawiecki poniósł pasmo porażek. Podpisał się pod fatalnym mechanizmem „pieniądze za praworządność”, których i tak nie dostał, i przyjął „Fit for 55”, skrajnie szkodliwy program oszalałych ekologów. W ostatnich latach rząd, z jednym wyjątkiem – Suwerennej Polski, całkowicie zarzucił też walkę z ideologią genderową, ulegając presji Brukseli i Waszyngtonu. Podczas wojny na Ukrainie robił wszystko, co mógł, przynajmniej do września, żeby udowodnić, że przede wszystkim kieruje się interesem ukraińskim. Nie potrafił nawet mocno postawić sprawy upamiętnienia polskich ofiar Wołynia.

W ten sposób jedynym politycznym argumentem, żeby na niego głosować, było odwołanie się do twierdzenia, że opozycja będzie jeszcze gorsza. Cóż, jak widać, to nie wystarczyło. ©

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA

JAK NAUCZYĆ SIĘ PŁYWAĆ W LODOWATEJ WODZIE

Przeżyć po porażce

18 ŁUKASZ WARZECHA

POMIĘDZY PORĄŻKĄ A KLĘSKĄ

20 MAREK JUREK

OPOZYCJA, CZYLI ODNOWA

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PIĄTKA, KTÓREJ ZABRAKŁO

24 ROZMOWA Z TOMASZEM SOMMEREM

STRATEGIA KORYTA



RAPORT „DO RZECZY”

26 WITOLD REPETOWICZ

MOSAD NIE TAKI POTĘŻNY

Nowa wojna na Bliskim Wschodzie

KRAJ

32 ZUZANNA DĄBROWSKA

ANTYDEMOKRACI W PRZEBRANIU

Totalitarne zapędy „demokratycznej opozycji”

34 ŁUKASZ ZBORALSKI

SZKOŁA BEZ PRACY DOMOWEJ

36 ROZMOWA

Z IZABELĄ SZWAROCKĄ

TOŻSAMOŚĆ OSOBY

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK

KLASYKA OD NOWA

Ekranizacje popularnych polskich powieści

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA



DODATEK SPECJALNY

49 PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIA

JAK WYGRAĆ Z POLONOFOBIA

OPINIE

66 KRYSZTOF KRATIUŁ

EUTANAZJA.

STRZYKAWKA CZY PODUSZKA?

To morderstwo niezależnie od metody

69 TOMASZ CUKIERNIK

SOCJALISTYCZNE ZNIEWOLENIE LUDZI

72 PAWEŁ CHMIELEWSKI

„ZASŁUŻONE” WYGNANIE

ABP. GĄNSWEINA

HISTORIA

74 ROZMOWA Z MONIKĄ LUFT

KONTRABANDA DYPLOMATYCZNA

Jak wywożono z PRL dzieła sztuki i antyki

ŚWIAT

78 TERESA STYLIŃSKA

OD ATATÜRKA DO ERDOĞANA

Sto lat Republiki Turcji

82 ROZMOWA Z OŁEKSJEM ARESTOWYCEM

ZEŁENSKI UWIERZYŁ, ŻE RZĄDZI ŚWIATEM

EKONOMIA

86 JACEK PRZYBYLSKI

NIECHCIANE „ELEKTRYKI”?

Wyraźny spadek popytu
na samochody elektryczne

SPORT

90 ŁUKASZ MAJCHRZYK

NASZ CZŁOWIEK W NBA



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

W ciemnicach Gazy

Aleks Dancyg miał pecha. Mieszkał w kibucu Nir Oz na południu Izraela. Kibucu położonym zbyt blisko Strefy Gazy. Fatalnego 7 października został, jak wielu innych Żydów, zaskoczony przez napad bojówek Hamasu i wywieziony do Strefy Gazy. Przeżył, bo został uznany za cennego zakładnika. Około 40 mieszkańców jego kibucu zostało znalezionych z odrąbanymi głowami.

Setki Izraelczyków przebywają w palestyńskiej niewoli już od dwóch tygodni. Według informacji izraelskiego wywiadu zakładnicy trzymani są w tajnych podziemnych więzieniach w systemie tuneli, który Hamas wybudował na terenie Strefy Gazy. Jednym z nich jest Aleks Dancyg, warszawiak urodzony w 1948 r. o podwójnym obywatelstwie: Izraela i Polski. Nie ukrywał, że jego rodzice należeli w epoce Bieruta do czerwonej elity. Wyjechał z rodzicami z Polski w wieku ośmiu lat, ale nie zapomniał polskiego języka. Interesował się swoją byłą ojczyzną. Jak wspominał w trakcie służby wojskowej w Izra-

elu, w czasie wojny Jom Kippur w 1973 r. słuchał w okopie na Wzgórzach Golan małego transistorowego radia. Gdy krzyknął z radości, koledzy spytali go, czy wojna się skończyła. Nie. Okazało się, że to Polska na Wembley zremisowała z Anglią i awansowała do finałów mistrzostw świata.

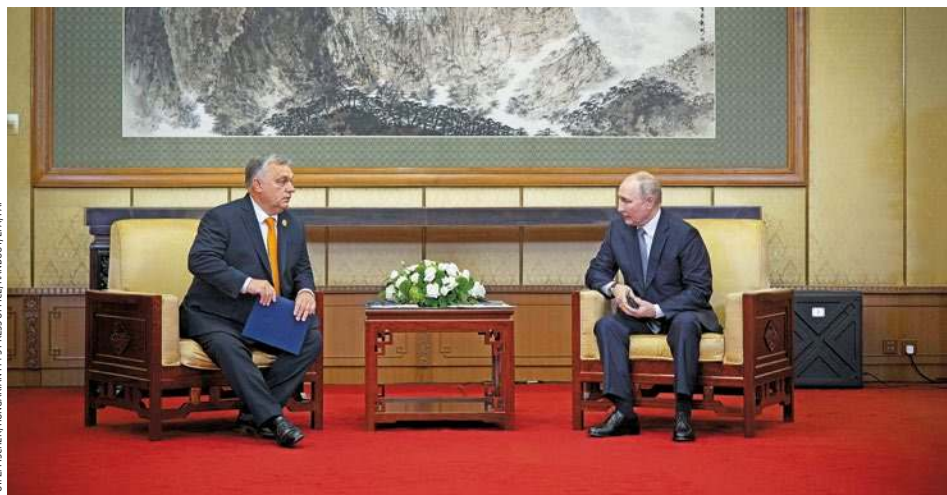
Przez ostatnie 30 lat krążył między Warszawą a Tel Awiwem, uczestnicząc w sympozjach na temat zagłady Żydów na ziemiach polskich w czasie niemieckiej okupacji. Był wieloletnim edukatorem Instytutu Yad Vashem. Szkolił przewodników grup młodzieży żydowskiej w czasie wizyt w Polsce. Był jednym z tych, którzy robili, co mogli, by przewodnicy tłumaczyli młodym Izraelczykom, jak zróżnicowane były relacje polsko-żydowskie.

W 1999 r. polski reżyser Krzysztof Bukowski nakręcił o nim film dokumentalny. Nosił tytuł „Czytając Sienkiewicza na pustyni Negev”. Dziś Alex może sam odczuć, jak wyglądało porwanie Stasia i Nel przez islamistów. Jego los po 7 października, gdy

został porwany, jest nieznany. Podobnie jak 199 innych osób – dzieci, kobiet, Izraelczyków i obywateli ponad 30 innych państw. Nie wiemy, czy porwani są bici czy też traktowani są poprawnie. Nie wiemy, czy trzymani są w chłodzie, wilgoci czy duchocie. Nie wiemy, czy Hamas dba o ich zdrowie. Każda niewola dla 75-lątka to ogromne ryzyko. Bez leków na serce i nerki Dancyg może nie wytrzymać porwania.

Gdy w poniedziałek 16 października na pl. Grzybow-skim zebrał się z zapalonymi świecami pamięci przyjaciele Alexa, widać było, jak jest ich niewielu. O wiele liczniejsza była demonstracja polskiej lewicy na rzecz wolnej Palestyny. I tak jest w reszcie Europy. Demonstracje propalestyńskie przyciągają tłumy w Berlinie, Marsylii i Göteborgu.

Hamas strzeże zakładników w najtajniejszych zakamarkach swego mrocznego królestwa. Dla porywaczy są cennymi żetonami w politycznej grze. Zwolnią zakładników, ale zrobią to dopiero wtedy, gdy ugrają swoje. Pytanie: Ilu z porwanych tego dożyje? ©



FOT. Z PRACOWNI GABINETU PRASOWEGO PREZYSTAWY / EFA / PAP

ORBÁN SPOTKAŁ SIĘ Z PUTINEM

Węgierski premier Viktor Orbán w ubiegłym tygodniu w Pekinie spotkał się z prezydentem Federacji Rosyjskiej Władimirem Putinem. To pierwsze spotkanie tych polityków od wybuchu wojny na Ukrainie. „Węgrom nigdy nie zależało na konfrontacji z Rosją” – stwierdził Orbán. Według ekspertów OSW spotkanie „świadczy o dalszym wyłamywaniu się Węgier z polityki Zachodu wobec Rosji, co będzie prowadzić do pogłębiania izolacji Budapesztu w UE i NATO”. (luz) ©

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czamecki,
Wojciech Gołomka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torasiński, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniewicz,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL: redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**,
Anna Szczepańska, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**,
Grzegorz Grzymowicz, **Dawid Siemkowski**, **Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),

Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wemerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**

Okładka: **Łukasz Gąguśki/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kłoc**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż), **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

Druk: **WALSTEAD CENTRAL EUROPE**

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez **RUCH SA:**

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynnie
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodroży Czytelnicy

Dziękujemy za wszystkie Państwa
listy i e-maile. Przypominamy, by
korespondencję elektroniczną
kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Dwa końce Europy”, **Piotr Gociek**,
„DRz” nr 40/2023

Literatura polityczna wywiera wielki
wpływ na świadomość społeczną,
a zwłaszcza na sposób myślenia polity-
ków oraz dziennikarzy. Pod wpływem
Milana Kundery wielką karierę robi u nas
wyrażenie „Europa Środkowa”. Zgodnie
z zamysłem wielkiego czeskiego literata
wyrażenie to oznacza grupę krajów
europejskich, czyli wchodzących w skład
cywilizacji łacińskiej, które na skutek
rozstrzygnięć drugiej wojny światowej
znalazły się w obcym im kulturowo
świecie dominacji sowieckiej. Zarówno
Milan Kundera, jak i Piotr Gociek wiedzą,
że Europa to synonim Zachodu, co
wynika z faktu, że regiony geograficzne
wyróżnia się na podstawie kryterium
cywilizacyjnego. Zgodnie z tą zasadą
„końce Europy” powinny być tam, gdzie
sięgają wpływy cywilizacji łacińskiej.
Tęgo jednak z artykułu Piotra Goćka się
nie dowiadujemy, a na przeszkodzie stoi
konsekwentnie stosowana Kunderowska
nazwa „Europa Środkowa”, mająca
obejmować m.in. Czechy i Polskę.

Satysfakcję z tego mają Niemcy, któ-
rzy od ponad wieku starają się (dzięki
Bogu nieskutecznie) o ustanowienie
Mitteleuropy, jako niemieckiej strefy
wpływów, graniczącej na wschodzie ze
strefą wpływów moskiewskich. Obecna
wojna hybrydowa, którą i Rosja, i Niemcy
prowadzą przeciw Polsce, stanowi konty-
nuację oślawionego niemiecko-rosyjskie-
go Schicksalsgemeinschaft (wspólnota
losu), którego konsekwencje to m.in.
traktat w Rapallo i niemiecko-sowieckie
układy skutkujące wybuchem drugiej
wojny światowej.

Milana Kundery nie powinniśmy winić
za utrwalanie nomenklatury służącej
niemieckim i rosyjskim interesom impe-
rialnym. To nie jego wina, że w szkołach
w większości państw uczą, że Europa się-
ga na wschodzie poza Ural (więc Czechy
i Polska są gdzieś w środku tego obsza-
ru). Ciekawa jest odpowiedź na pytanie,

kto wpadł na pomysł, aby granicę Europy
odsunąć tak daleko na wschód. Otóż za-
dbali o to Rosjanie, którym od czasu Pio-
tra Wielkiego bardzo zależało na statusie
mocarstwa europejskiego. Wiadomo, że
Katarzyna II, korzystając z osobistych
koneksji, dla idei europejskości Rosji
pozyskała nawet przychylność autorów
francuskiej Wielkiej Encyklopedii, którzy
wschodnią granicę Europy odsunęli aż do
syberyjskiej rzeki Ob. Niemiecy autorzy,
którzy na początku XX w. przesuwali
na wschód granicę swojej Mitteleuropy,
wydatnie przyczynili się do uznania Rosji
za państwo wschodnioeuropejskie.

W obecnej sytuacji geopolitycznej,
kiedy w Niemczech panuje stara prawda,
że „z Rosją nie należy walczyć, tylko z nią
handlować”, kiedy zarówno Niemcy,
jak i Rosja angażują się w zgnubny dla
Europy proceder ściągania migrantów,
nie powinniśmy wspierać potrzebnej
obydwu naszym wielkim sąsiadom kon-
cepcji Mitteleuropy. Nawet wspomniany
w artykule rosyjski poeta Josif Brodski,
przyznawał, że żadna Europa Wschodnia
(w znaczeniu zachodniej Rosji) nie istnieje,
gdyż terytoria te to zachodnia Azja.
Arnold Toynbee zaś pisał, że „Europa
niewątpliwie [...] jest subkontynentem,
ale jej lądowa granica [...] z pewnością
leży daleko na zachód od Uralu”.

Czym prędzej powinniśmy więc sprze-
ciwić się bezsensownym zapisom w pod-
ręcznikach geograficznych i uznać, że tak
jak przed wiekami jesteśmy państwem
frontowym cywilizacji łacińskiej, najdalej
na wschód wysuniętą częścią Europy,
czyli Zachodu. Europa dzieli się na
Wschódni i Zachodni, a linia podziału
(szczególnie utrwalona w latach powo-
jennych) biegnie od Bałtyku po Adriatyk.
A to, czy Ukraina wejdzie w skład Europy
(ale nie Środkowej, jak pisze Piotr Gociek,
tylko Wschodniej), zależy nie tylko od
wyniku zmagania na froncie, ale od tego,
czy Ukraińcy zechcą i potrafią przyjąć
wartości łacińskiej cywilizacji.

**Witold Wilczyński, Polskie Towarzystwo
Geopolityczne, Kraków**
(autor książki „Regiony świata. Geografia
i geopolityka”)

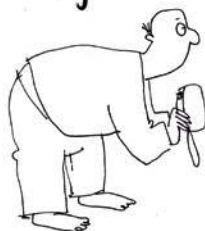
Od autora

Sfera ducha i kultury ważna jest również
bardzo jak oceny geopolityczne.

Moim zdaniem istnieje coś takiego jak specyfika Europy Środkowej, pewien wspólny spłot doświadczeń, historii i tragedii. Koncepcja Kundery (i nie tylko jego) wyrzywa tę część świata nie tylko z rąk Rosji przynajmniej sobie prawem kaduka strefy wpływów; Rosji, która nigdy nie wie, gdzie aktualnie są jej granice (Havel). Także z rąk tych, dla których to tylko kolejna w świecie „strefa zgniotu” bez właściwości. A ja wolę określenie „Europa Środkowa” niż „strefa zgniotu”. Co do Ukrainy i kwestii przyjęcia wartości cywilizacji łacińskiej – zgoda, to zdecyduje o jej losie. Ale kto wyznaje te wartości, jest po prostu częścią Europy (nie tylko Wschodniej lub Środkowej). Może istnieje Europa Środkowa, która jest częścią Europy.

Może istnieje Europa Wschodnia, która jest częścią Europy, tak jak Europa

Wyborcy PiS, którzy zdadzą egzamin z 30 cytatów z Getewka po francusku i uatowienia standardu UE, mogą liczyć na kartę Blaka uprawniającą do udziału w wyborach*



* na poczet se moztzduyoh

Zachodnia i Środkowa. Tyle że Europa Wschodnia (nie tylko Ukraina) musi w tym celu zrobić to, co Pan proponuje: przyjęcie wartości cywilizacji łacińskiej. Osobnym pytaniem pozostaje, czy Zachód dziś wyznaje wartości cywilizacji łacińskiej. Jeśli nie, to znaczy, że kulturowo dziś Europą (bezpamiętnikową) jest Europa Środkowa, podczas gdy Zachód osuwa się w barbarię.

Z uszanowaniem
Piotr Gociek

Moniuszko przewraca się w grobie

Miałem to nieszczęście, że wybrałem się w towarzystwie żony i wnuka, któremu

od dawna obiecywałem coś na wskroś polskiego i narodowego, na operę [„Straszny dwór” S. Moniuszki – przyp. red.]. Przed spektaklem przemówiła pani dyrektor Teatru Wielkiego w Poznaniu, Renata Borowska-Juszczynska. Jej wystąpienie było nieco przydługie, m.in. padły słowa „feminizm” i „liberalizm” oraz że operę reżyserowała młoda zdolna włoszka Ilaria Lanzino. W styczniu 2020 r. jej autorska koncepcja inscenizacji „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki została wyróżniona prestiżową nagrodą European Opera-directing Prize (EOP).

Akt pierwszy nie zapowiadał tragedii. W strojach z epoki artyści odegrali wszystko tak jak trzeba. Co prawda, pojawiły się siostry Czerwonego Krzyża, molestowane przez wojaków, którzy najpierw odbyli żałobę nad poległymi towarzysza-

marychę, wciągając heroinę, słowem – pełny luz. Nie mogło oczywiście zabraknąć homoseksualisty, czyli Damazego, który zostanie brutalnie pobity przez siły wrogie postępowi. Miał szczęście, że dzielne kobiety wybawiły go z opresji. Na wózku inwalidzkim wjeżdża w stroju szlacheckim z opaską na oczach Miecznik. Śpiewa o tym, jakich synów chce dla swoich córek. Ponieważ reprezentuje stare czasy, bredzi coś o tym, że ci muszą być gotowi za ojczyznę przelać krew. To wyznanie tak go męczy, że spada z wózka, co zapewne ma symbolizować skostniałość poglądów i nurzanie się w jakże niemodnym patriotyzmie. W akcie trzecim pojawia się on ponownie, również na wózku inwalidzkim, tym razem jeszcze dodatkowo z kropłówką. Na scenie jednak następuje jego przemiana, zrzuca on część kontusza (zapewne symbolu narodowej skostniałości) i dopiero teraz może wstać i pogratulować córkom mężów, mężom żon oraz Damazemu jego ukochanego.

Nadmienie, że tabaka (z arii Skołuby) zamieniła się w skręta.

Córki rozbierają swoich kandydatów na mężów z kontuszy, a ci, bez nich, przeglądają na oczy i natychmiast zakochują się w postępowych paniach. Uświadomienie zrobiło swoje. Panowie skarleli.

W trzecim akcie kobiety tancerki grzmocą czym popadnie swoich partnerów ubranych w stroje husarzy. Kobiety rządzą. Pojawiają się tancerze w cielistych kostiumach sugerujących goliznę. Tańczące pary są jednoptciowe i oczywiście nie mogło zabraknąć tęczowej flagi. Z boku sceny zamontowano ekran, na którym wyświetla się film o kobiecie protestującej przeciw małżeństwu. Kobieta tnie suknię ślubną, na końcu ją zdziera i pozuje nago. W tym stroju nikt by jej ślubu nie udzielił.

Realizatorzy nie ustrzegli się jednak rasizmu, bo, co prawda, mamy jedną mużmankę i kilku Azjatów, ale nie ma czarnych (patrz: Afroamerykanów, białych inaczej) – wielkie niedopatrzenie. Jak to się mogło stać?

Mierz mnie, gdy geniuszy starają się poprawić miernoty. I tak zamiast opery narodowej mamy operetkę. Zamiast sztuki sztuczki. Zamiast pokrzepienia serc lewicową agitkę, zrobioną z finezją cepa.

Pozdrawiam serdecznie
Jacek Magnuszewski

mi, modlili się, a potem upili. Obudziły ich dzielne kobiety żony, które szukały w obozowisku swoich mężów. Pojawiła się flaga biało-czerwona – w XVIII w.! Powiedzmy, że siostry Czerwonego Krzyża, żony i flaga to wizja artystyczna. Po powrocie do domu nasi dzielni wojacy, główne postacie opery, na widok stryjenki wsadzili głowy pod krzesła, a ponieważ nie było to dobre miejsce do ukrycia, powstali i oświadczyli, że pojadą z wizytą do Straszego Dworu.

Akty drugi i trzeci to dopiero coś. „Straszny dwór” rodem z XXI w. Wszyscy na scenie we współczesnych strojach. Solistki oraz chór składający się w większości z kobiet popijają piwo, whisky, pał-



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Demospazm

Z różnych obiegowych głupstw, powtarzanych przy rozmaitych okazjach, bodaj najgrubszym jest nazywanie wyborów „świętem demokracji”. Jakie to święto? To paroksyzm, cykliczna katastrofa dotykające praktykujące demokrację kraje. Język debaty mediów i całej debaty publicznej, by użyć słów poety, „rozścierwia się i rozchamia”, normy przyzwoitości, nawet jeśli coś z nich jeszcze zostało, idą na bok. Ludzie, podjudzani i napuszczani na siebie przez drące się o władzę stronnictwa, popadają w bezrozumny amok i rzucają się sobie do gardeł. Nadrzędny cel, jakim dla każdego uczestnika wyborów i każdego ich szalikowca jest „wygrać”, uświęca wszelkie środki i kompletnie odbie-

ra gotowość do refleksji, co będzie po wyborach, zwycięskich czy przegranych. A niech będzie choćby i potop, byle wyszło na nasze!

I nie łudźmy się, że to tylko u nas, w Polsce, że gdzieś kiedyś była dobra demokracja, bez błędów i wypaczeń. Nic podobnego – proszę sobie przeczytać takie stare opowiadanko Marka Twaina „Jak kandydowałem na gubernatora”. Jeśli ktoś powie, że mimo wszystko trzeba to przejść, bo demokracja to pomimo swych wad najlepszy z ustrojów, to mogę się zgodzić. Ale znosić coś, a nazywać „świętem” to co innego.

W ostatnich miesiącach, w imię sukcesu w „historycznych, najważniejszych wyborach o wszystko” (każde są oczywiście najważniejsze i o wszystko), straciliśmy parę

kolejnych zasobów – dwaj generałowie wciągnęli w walkę polityczną wojsko, a szef NIK ją upartyjnił. Sądy mamy upartyjnione do spodu już od dawna, ale parę „procesów wyborczych” skutecznie nam o tym przypomniało, komisje wyborcze też, po numerach z niewydawaniem kart do referendum, trudno będzie na przyszłość uważać za godne zaufania i bezstronne.

Słowem, lista strat się wydłuża. A co za to kupiliśmy? Cztery lata do kolejnych wyborów (sejmowych, oczywiście, bo po drodze samorządowe, europejskie i prezydenckie, każde najważniejsze i o wszystko)? Chciałbym, żeby to była pełna kadencja, ale już widzę, że nie będzie. Ale to temat na osobny, dłuższy tekst. ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Pamiętamy!

Bez echa minęła 175. rocznica ogłoszenia „Manifestu komunistycznego”. Szkoda, bo wszystko tam już jest. „Prawo, moralność, religię” twórcy komunizmu uznawali za „przesady burżuazyjne, za którymi kryją się określone interesy burżuazji”. „Manifest” postulował „zniesienie rodziny” i kpił z „burżuazyjnych frazesów o rodzinie i wychowaniu, o tklwym stosunku między rodzicami a dziećmi”. Ogłaszał, że „robotnicy nie mają ojczyzny”. I choć inaugurował trwającą przez 70 lat anarchistyczną fazę komunizmu, z jej nadziejami na obumarcie państwa – od początku, mimo powszechnych w tym czasie dążeń konsty-

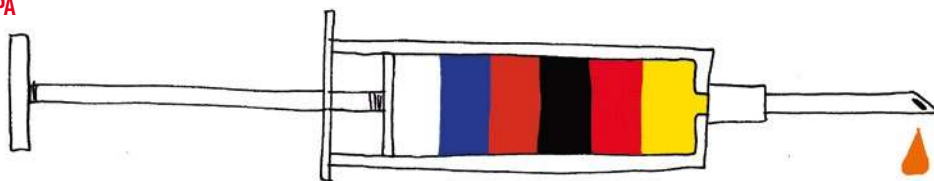
tucyjnych i parlamentarnych, zapowiadał „obalenie przemocą całego dotychczasowego ustroju społecznego”.

Kilka lat temu postchadecki przewodniczący Parlamentu Europejskiego, Jean-Claude Juncker, odsłaniał w Trewirze pomnik Marksa, ufundowany przez władze Chin komunistycznych. Idee Marksa żyją, stały się uznaną częścią tradycji nowoeuropejskiej. Tym bardziej muszą być potępione. To bezinteresowne potępienie zła komunizmu (nie tylko tego, którego doświadczyliśmy, ale komunizmu w ogóle) powinno być zasadniczym motywem polskiej polityki kulturalnej w planie europejskim, co warto przypomi-

nać mimo chwilowej, jak sądzę, dezaktualizacji tego postulatu. Co z tego, że spotka się z obojętnością i odrzuceniem? Ale pozwoli również wykreślić wyraźne linie na mapie ideowej dżungli, którą stała się Europa. Zresztą chodzi nie tylko o naszą Europę.

Zasadniczym elementem krytyki współczesnej Rosji powinno być niepotępienie i nieukaranie komunizmu. To, że mimo toczącej się wojny liberalnym rządów i partiom nie przeszkadzają pomniki Lenina i Dzierżyńskiego w Rosji, stanowi jeszcze jeden motyw niezbędny do realistycznej oceny duchowego i (!) politycznego położenia, w jakim się znajdujemy. ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Okazało się, że do osiągnięcia pełnej odporności wybotcy w Polsce potrzebują dawki przypominającej tężdów Donalda Tuska...

czyli 120 rd & c k a t u s i



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Łączy nas piłka

Nas, polskich kibiców za granicą, z Ojczyzną i rodakami w Kraju. Mnie od bardzo dawna. Latem 1981 r. pojechałem do Berlina Zachodniego, żeby się wzbogacić (celu nie osiągnąwszy). Naszą polską brygadę budowlaną, w której skład wchodził socjolog, plastyk, muzyk i polonista, bardzo podniósł na duchu mecz NRD – Polska w Lipsku w eliminacjach do mundialu '82. Wiktoryę 3:2 obejrzelśmy w telewizji NRD-owskiej, co było wartością dodaną. Szowinizm sprawozdawców Pan Bóg przykładowie ukarał. Potem przyszła trauma stanu wojennego. Ból i rozpacz złagodziła nam nieco gra naszej drużyny na hiszpańskich MŚ. Niemieccy koledzy w pracy i sąsiedzi

patrzyli na nas z nieco większym szacunkiem albo tak się nam wydawało.

Gdy niemal ćwierć wieku temu wyładowałem w Rzymie, do rytuału przeszło wspólne oglądanie meczów polskiej reprezentacji z jezuitami pracującymi w Polskiej Sekcji Radia Watykańskiego. Z czasem dołączył do nas profesor teologii, też jezuita. Zakonnicy, usadziwszy się na kanapie i w fotelach, zawsze mnie zapewniali, że sprawa została rzetelnie omodlona. Niestety, często dochodziliśmy do wniosku, że Pan Bóg modłów nie wysłuchał. Tak czy inaczej nigdy nie było tak źle jak teraz.

W futbolocentrycznej Italii o piłeczce rozmawia się zawsze i wszędzie: rano pod kioskiem z gazetami, w narożnym sklepiku,

w barze czy u fryzjera, a żona mnie informuje, że również w salonach damskich. Konwersacje futbolowe z moimi sąsiadami naładowane są ironią i złośliwościami nieznanymi granic. Przykład? Codziennie kupuję w barze trzy słodkie rogaliki. Kiedy pojawiłem się nazajutrz po klęsce naszej drużyny w meczu z Hiszpanią (0:6), który z jakichś powodów transmitowała włoska TV, barman spytał niewinnie: „Czy dziś sześć zapakować?”. Teraz mówi, że Polacy mieli szczęście w losowaniu, bo mogli znaleźć się grupie z San Marino czy Gibraltarem i byłby jeszcze większy kłopot.

Panowie piłkarze, błagam, zacznijcie coś grać, bo zgryźliwi sąsiedzi wykończą mnie śmiechem. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

OD PRZYJACIOŁEK DO RYWALEK

Ze świata aspirujących celebrytek – jedna koleżanka obgadała drugą publicznie i teraz – szok i niedowierzanie – już nie są koleżankami. Mowa o uczestniczkach programu „Top Model”, którym chyba średnio zależy na karierach modelek, a celem jest raczej narobienie wokół siebie szumu. Dotychczas – skutecznie. Serwisy plotkarskie opisują wojenkę, która wybuchła między dwoma, wydawałoby się największymi, programowymi przyjaciółkami. Marta postanowiła przypuścić atak na niedysięszą sojuszniczkę i ujawnić



FOT. TYN SA

jej „prawdziwe oblicze”. Zarzuciła byłej koleżance, że obsmarowywała resztę uczestników za ich plecami, będąc zaślepiona rywalizacją. Według Marty ta druga, czyli Amelia, miała notorycznie obgadywać i krytykować celebrytów pojawiających się gościnnie w programie, m.in. Julię Wieniawę. „Już nie mam zamiaru siedzieć cicho. Amelia jest fałszywą i bardzo zawistną osobą. Na każdego gadała i widziała konkurencję. Przyszła Klaudia (Nieścior, zwyciężczyni poprzedniej edycji), gadała na nią, tak samo było z Sylwią Butor, Julią Wieniawą. Zuzię z nagiej sesji... dziewczynami z domu. I po prostu miałam już tego dość, bo zaczęło odbijać się to na mnie i choć nie byłam

święta, ale nigdy nie byłam zawistna. Dlatego odeszłam od Amelii bez słowa i od tamtej pory zaczęłam mieć kontakt z dziewczynami aż do dziś” – wyznała Marta. Na odpowiedź Amelii instagramowy świątek długo nie czekał. Dwudziestolatka zorganizowała na swoim profilu serię pytań i odpowiedzi. Znamienne, że zarzuciła eksprzyjaciółce właściwie jota w jotę to, o co sama została wcześniej oskarżona. – Nie chciałam się wypowiadać na jej temat. Ona powiedziała parę nieprawdopodobnych rzeczy na mój temat. Postanowiłam więc, że się do was odezwę, a nie będę pisać. Ja z Martą nie mam kontaktu z kilku powodów. Po pierwsze, ona uważała, że jej źle idzie w programie, bo się ze mną przyjaźni. Mimo że ja bardzo chciałam jej pomóc, uczyć ją mimiki, pozowania, chodzenia. Dodatkowo prywatnie słyszałam kilka plotek na mój temat puszczonej z jej strony. Zdziwiłam się, że ja miałabym coś takiego zrobić. Wypisywanie do mojej rodziny, do eksnarzeczonego. Później mówi, że jest szczerą i autentyczną osobą. Szczere i autentyczne osoby nie zachowywałyby się jak Marta – podkreśla Amelia. W tym świecie pełnym niepewności jedno jest pewne – kłótnie „wanna be” gwiazd i gwiazdek.

SZPILKA NA WIZJI

Pozostając w temacie zawiści. Coś tam dręczy chyba Roberta Janowskiego, tak przynajmniej twierdzą złośliwi. Chodzi o program „Twoja twarz brzmi znajomo”, w którym to Janowski pełni szaczącą funkcję jurora. W siódmym odcinku aktorka Pola Gonciarz wcieliła się w muzyka – Michała Szczęgła. Na scenie wykonała utwór „Adrenalina”. Jurorzy nie byli zachwyceni występem. Co ciekawe, juror Robert raczej skupił się na krytyce samego utworu niż wykonania. Złośliwie podsumował twórczość Szczęgła. – Michałowi gratuluję serdecznie. Pisz fajne, chwytliwe piosenki dla młodych ludzi. Życzę mu artystycznych spełnień – może niekoniecznie, jak ten utwór, ale od czegoś trzeba zacząć – skomentował. Pech chciał, że muzyk był obecny na

widowni i mógł zripostować złośliwość Janowskiego. Najpierw pogratulował aktorce występu, a także odniósł się do ocen jurorów. – Pozdrawiam jurorów za ocenę mojej twórczości – odpowiedział piosenkarz. Widzom również nie spodobało się malkontentstwo Roberta Janowskiego. „Pan Janowski staje się coraz bardziej zgryźliwy”; „Janowski niech już zejdzie ze sceny, bo się w głowie przewraca”; „Nie rozumiem, jak Janowski śmiał prawdziwego Michała Szczęgła piosenkę krytykować, gdy on jest totalnym marnym śpiewakiem. Bezczelność” – czytamy w komentarzach. Może po prostu juror Robert chciałby występować, a nie robić za eksperta?

SĄD NAD MIŁOŚCIĄ

Niedawno Julia „Maffashion” Kuczyńska rozstała się z ukochanym, raperem Mateuszem „Blu3aby”. Influencerka modowa milczy, ale Mateusz opublikował na Instagramie swoją wersję wydarzeń. Zastrzegł, że to on rzucił „Maff”, a nie na odwrót, jak sugerowały portale plotkarskie. Nawiązał też do Sebastiana Fabijańskiego (byłego Kuczyńskiej, ojca jej dziecka), sugerując, że Julia prezentowała ekspartnera w złym świetle i Mateusz jest mu winny przeprosiny. „A mój »informer« mówi: Blue Baby decyzję (!) o rozstaniu podjął miesiąc temu... Nie była ona łatwa. Głównie ze względu na synka Julii, z którym miał superkontakt. Niestety, nie wszystko jesteśmy w stanie zbudować sami. Mateusz uważa również, że najbardziej zabawne jest to, że ten »zły« Fabijański wydaje się nie być tym, kim Julka próbowała wmówić mu, że jest. W związku z tym, że ślepo powielalam tę negatywną narrację przeciwko Sebastianowi, czuję, że powinienem o tym wspomnieć. A nawet przeprosić” – stwierdził. Co ciekawe, muzyk opublikował zrzut ekranu ze swojej skrzynki e-mailowej, na którą wpłynął mail informujący o... piśmie sądowym od Julii. Zawsze jakoś smutno, gdy związki zamiast przed ołtarzem kończą się w sądzie. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, no i sami nie wiemy, w jakiej Polsce się obudziliśmy. PiS co prawda uzyskał największą liczbę głosów w wyborach, ale jednocześnie i tak je przegrał. Tak, takie są to przegrywy, iż nawet kiedy wygrywają, to przegrywają.

Co innego pan premier (chyba już możemy tak mówić) Donald Tusk, który – jak na prawdziwą osobę stanu przystało – wygrał, pomimo iż był drugi. Jak więc widzicie, strasznie skomplikowana jest ta nasza konstytucja, of kors opłacało się jej bronić, ale nie powiemy, iżbyśmy ją jakoś w szczegółach rozumieli.

Teraz pewnie czekają nas okropne dwa miesiące, kiedy PiS będzie się trzymał traconej władzy jak tonący ostatniej brzytwy ratunku. Zamiast pokazać, iż ma resztki honoru, oddać misję tworzenia rządu od razu w ręce opozycji, a następnie zrezygnować ze swojej puli mandatów, będzie pewnie korumpował politycznie i wodził na pokuszenie niewinnych niczym niezbrukana łąka posłów PSL, Konfederacji i innych, którzy mogą się okazać zbyt słabi na pokusę władzy.

Dlatego apelujemy, iżby opozycja zorganizowała teraz Marsz Miliona Mandatów w obronie posłów, którzy mogą być kuszeni przez pisowski aparat przemocy: iżby się nie dali i wiedzieli, że władza czeka na nich także w nowych strukturach rządowych, a jednocześnie poczuli społeczne wsparcie i zrozumienie.

Przypomniała nam o sobie wicemarszałkini Kidawa-Błońska, o której ostatnio chyba myśleliśmy, kiedy klaskała dla medyków w czasie pandemii. Teraz zaś wicemarszałkini udzieliła wywiadu, w którym zasugerowała, iż to mężczyźni mają prawo „wrócić z pracy do domu i oglądać mecz, i niczym się nie przejmować”.

No i widzisz... Mówiłem ci, że wkręcisz...



Jest to oczywiście prawda. W trakcie naszych licznych badań nad patriachatem okazało się, iż mężczyźni posiadają w mózgu specjalny mechanizm, który wyłącza u nich receptory martwienia się, kiedy wracają z pracy do domu. Co ciekawe, receptory nie przestają działać, kiedy leci mecz polskiej reprezentacji narodowej. Of kors nie jest to dowód na to, iż płcie są definiowane biologicznie, nie myślcie sobie.

Ale żeby nie było: te regulacje nie są jedynie na poziomie biologicznym.

Istnieje bowiem wciąż wiele domów, w których osobom mężczyźni – wąsate janusze – nie dopuszczają osobożon do telewizora, zawłaszczając go na całe wieczory, a osobożonom udostępniają inne sprzęty elektroniczne typu pralka, zmywarka. Of kors o ile jest to zaawansowany technologiczny podkarpacki dom, inaczej zostaje pranie w rzece i noszenie wody ze studni.

Są też tacy osobomężowie, którzy uważają, iż ich żony nie powinny oglądać piłki nożnej, ponieważ jest to rozrywka przysługująca wyłącznie mężczyznom. Dlatego też cieszymy się, iż temat został przez wicemarszałkinię podniesiony. Liczymy na jakąś szybką ścieżkę ustawodawczą, która ureguluje i wyrówna dostęp do telewizorów, a najlepiej odwróci proporcje na rzecz waginoosób, a także zdelegalizuje oglądanie piłki nożnej w podkarpackich domach, w których traktowana jest ona jako sprawa narodowa.

Istnieje szansa, iż dzięki rządowi Donalda Tuska prawactwo nauczy się kilku nowych rzeczy. Lekcja pierwsza: metafora. Kiedy PDT mówił, że dzień po wyborach pojedzie do Brukseli i odblokuje środki z KPO, była to oczywista metafora, a nie obietnica wyborcza. Zresztą szybko się uczą, bo takich metafor pewnie okaże się więcej. ☺☺

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Ślub przed ołtarzem

Nie wiem. No po prostu nie wiem, co robić. Szymek, zrozum, oni mają dla mnie naprawdę poważną ofertę.

Ale, Władziu, przysięgałeś!

Oj, ale to polityka jest, nie ślub przed ołtarzem. Jarek mi powiedział, że Mati pójdzie w odставку, a ja będę najpierw premierem, a później prezydentem.

Kłamie ci! On zawsze kłamie. Poza tym on już niczego nie kontroluje, stary jest.

Ale do wyborów prezydenckich wytrzyma. A poza tym jakbyśmy

wszyscy w to weszli... Pomyśl: teraz będę premierem, ty mógłbyś być wice, potem u mnie jako prezydenta też byłbyś... a nie, czekaj, my nie mamy wiceprezydentów.

Donek się wścieknie! Ja się boję!

Ale ja jeszcze nic nie zdecydowałem. Oj, Szymuś, masz tu chusteczki. ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Daniel Obajtek stanie przed sądem, to dla mnie jest jasne”.

IZABELA LESZCZYNA, posłanka KO, wiceprzewodnicząca Platformy Obywatelskiej, w wywiadzie dla portalu Money

Wyczekiwana nowa Polska, kraj światła i optymizmu, sprawiedliwości i miłości, wreszcie objawiła się maluczkim i wielkim. Jeszcze Państwowa Komisja Wyborcza nie skończyła liczyć głosów, a już niektórzy mdleli z zachwytu. „Jest nadzieja, że będzie lepiej” – tak zatytułował swe wystąpienie, rozesłane gdzie się da, Maciej Witucki, prezydent Konfederacji Lewiatan. No pewnie, że będzie lepiej. CBA i CBS nie będą już pukały do drzwi Wituckiego. I o to też były te wybory.

Przez Internet przetacza się fala beki z PiS-owców, którzy nagle odkryli w sobie miłość do Peezela. Taki to urok rozmów prekoalicyjnych. Jako szczególne exemplum wymienia się Przemysława Czarnka, który ogłosił, że gdyby nie był PiS-owcem, to zapewne byłby ludowcem. Szyderców napominamy – to naprawdę drobiazg. Wszak w 2010 r., przed drugą turą wyborów prezydenckich, Jarosław Kaczyński mówił nawet o Edwardzie Gierku, że był „komunistycznym, ale jednak patriotą”.

Jeśli chodzi o nieoczekiwane zmiany w Sejmie, to musimy odnotować, że jedna jest bardzo ciekawa i w dodatku oznacza spełnienie jednej z obietnic PiS. Mamy bowiem pierwszy raz parlament III RP bez posła mniejszości niemieckiej. Zatem PiS, tak jak obiecywał, pogonił Niemca. Problem w tym, że był to tylko jeden Niemiec.

Tymczasem szefem klubu parlamentarnego PiS został Mariusz Błaszczak, zastępując Ryszarda Terleckiego. Co zostało przyjęte w aktywie z nadzieją, ponieważ w czasach Terleckiego na klubie bywało nudno i pustawo, a w powszechnym przekonaniu Błaszczak, w odróżnieniu, potrafi ogarniać.

Co do Terleckiego – aktyw partyjny wskazuje jego oraz paru innych ancymonków jako dowód na kiepskie skonstruowanie wyborczych list. Coś w tym jest – jeśli ktoś był jedynką, a skończył z wynikiem trzecim czy czwartym, to znaczy, że żadna z niego lokomotywa wyborcza, tylko zwykły kogutek gliniany. Aktyw jest więc oburzony, a Jarosław musi aktyw uspokajać,

dwaj panowie



FOR ROBERT GARDZIŃSKI

bo trzeba się szykować do wyborów samorządowych.

Oczywiście po jednych kluczowych wyborach kolejne będą jeszcze bardziej kluczowe. Jedyne bowiem w wyborach samorządowych można teraz zdobyć posady dla tych, których z posad wywali Platforma. Ale dla Polski też przy okazji można coś zrobić: przypilnować, żeby hunwejbini Złego Donalda z Sopotu nie zagarnęli wszystkich szczebli władzy w Polsce.

Choć PKW zakończyła prace, to w całej Polsce nadal trwa liczenie. Jest trochę prostsze, bo różni ludzie z list Zjednoczonej Prawicy liczą, ile miejsc dzieli ich od ostatniego biorącego

mandat do Sejmu. Żadną tajemnicą nie jest bowiem, że nie jeden świeżo upieczony poseł będzie kandydował niedługo do Parlamentu Europejskiego. A wtedy zwolni się miejsce w Sejmie dla następnego w kolejce z najlepszym wynikiem. To też dobra posada, na lata. Słyszeliśmy już o kilku posłach, którzy mają obiecane dobre miejsca do europarlamentu. Na przykład Szynkowski vel Sęk. W sumie to powinien dostać nawet dwa miejsca.

Linne liczenie odbywa się w samym nowym Sejmie, choć go jeszcze oficjalnie nie ma. SuwPol – czyli ziobryści – spinauje dziennikarzy, że choć w wyborach zdobył 18 mandatów, to tak naprawdę ma już 22, bo czwórka przyjdzie do niego z PiS. Zarazem dementuje kategorycznie

plotki, jakoby miał stworzyć osobny klub. Jak wiadomo, wierzymy tylko w wiadomości oficjalnie zdementowane.

Z tym osobnym klubem, jak słyszymy, może jednak być coś na rzeczy. Ale nie teraz. Dopiero po wyborach europejskich. SuwPol wtedy zaktualizuje swój stan posiadania w Brukseli, okopie nowych asystentów, policzy fundusze na promocję tego i owego oraz sprawdzi, jak tam sytuacja w PiS po wyborach samorządowych i europejskich. Wtedy może przyjść czas na rozwód.

S koro już o spinowaniu, to pora wrócić do tzw. kontrolowanych przecieków z PiS. Niektórzy może pamiętają, jak pisaliśmy parę tygodni o info z okolic sztabu, że tzw. afera wizowa kosztowała Zjednoczoną Prawicę 6 punktów procentowych w sondażach. I że część się udało odrobić. Ale teraz uwaga – szczegóły spinu: otóż przekaz był, że spadło z poziomu 45 proc. poparcia. Propaganda sukcesu wiecznie żywa.

I nny ciekawy spin – wieczór wyborczy 15 października, wkrótce po ogłoszeniu wyników exit poll poszła fala informacji z okolic sztabu PiS, że wszystko się może odwrócić, bo procent odmów ankietom Ipsos wynosił 20–25 proc. Tymczasem albo nic takiego nie miało miejsca, albo miało i było bez wpływu na wyniki sondażu – tego dowiodło porównanie exit poll z wynikami realnymi. Ale wiecie, jak to jest – nadzieja umiera ostatnia.

M edia. Naszą nieregularną nagrodę tygodnia za najlepszy tytuł prasowy tym razem wręczamy portalowi Niezależna. Rzecz dotyczy takiego cosia, co się ogłosiło „niebinarnym” kandydatem i startowało z list Koalicji Łobywatełskiej. A konkretnie – San Kocoń z Ostrej Zieleni (cokolwiek to znaczy). Głosów jednak zabrakło. Podajemy więc nagrodzony tytuł: „Aktywiszcze nie zostanie poselszczem”.

T ymczasem ci, którzy weszli do Sejmu, szykują się do krwawej wendety. Jednak mimo trwających przez osiem lat grózb, że będziemy siedzieć, nadal nie jęczymy pod celą i nie śpimy w pa-

siakach. I nie spodziewamy się szybkiej zmiany. Nie tylko dlatego, że nowa koalicja nie lubi realizacji wyborczych obietnic.

A teraz może wytłumaczymy. Co prawda, już kiedyś o tym pisaliśmy, ale nie zawadzi przypomnieć. W Polsce, aby trafić pod celę, najpierw trzeba trafić przed oblicze sprawiedliwości. Aby przed nie trafić, trzeba usłyszeć zarzuty karne, a prokurator musi sformułować akt oskarżenia, który w ostateczności skutkuje wyrokiem. Problem w tym, że prokuratura jest obecnie niezależna. Czego o sądach zdominowanych przez kastę powiedzieć nie można. Owszem, PeŁo ostrzy sobie na nią zęby, ale problem polega na tym, że bez zgody prezydenta nic się nie da zrobić. Choć

Z osobnym klubem SuwPol może być coś na rzeczy.

Ale nie teraz, dopiero po wyborach europejskich

oczywiście mamy w pamięci, że wymiar sprawiedliwości bywał pacyfikowany błyskawicznie, lecz to było w Trzeciej Rzeszy. Chyba nie są to wzorce, do których chciałaby się odwoływać demokratyczna opozycja, która niebawem będzie koalicją rządową. Choć kto wie?

M y niezmiennie żałujemy, bo jednak, mimo najszczerzych chęci, ministrem sprawiedliwości nie będzie ulubieniec naszej rubryki, czyli Roman Giertusk. Nawet w samej Platformie uważają, że byłoby to przegięcie. Na razie na szefa resortu sprawiedliwości rozważany jest więc Brejza. Też uważamy to za przegięcie, ale już nie takie, jak w przypadku Giertuska.

A propos Giertuska. Od wyborów mija tydzień, a mecenas Roman jakoś się w Polsce nie pojawił. Nawet to rozumiemy. Czyta naszą rubrykę i wie, że może usłyszeć zarzuty, zanim jeszcze obejmie mandat. Przynajmniej tak głosi jedna z ekspertyz w jego sprawie.

P rzy okazji Giertuska odnotujmy, że pan Bóg stara się zachować jakąś równowagę, jedną ręką potrafi pokarać, ale drugą – ocalić. Tak też się stało. Giertuskiem wszyscy mogą się czuć pokarani. Ale z drugiej strony pomyślcie, że werdykt ludu ocalił nas przed senatorem Janem Tomaszewskim, znanym z tego, że albo myśli, albo mówi, tyle tylko, że mówi bez przerwy.

W prokuratorze jest też ciekawie. Rezygnację złożył Przemysław Funiok. Główny prokurator od spraw przestępczości w wojsku. Nawet mu się nie dziwimy. Bandziory z generalskimi wężykami to nadal bandziory. Niestety, zachowują wpływy. I jakoś nikogo się nie boją ani nie bali. Nawet Błaszczaka.

Z lekami jednak trzeba uważać. Na przykład artysta scen polskich Daukszewicz Krzysztof tak się bał, że noc reżimu kacystowskiego potrwa kolejne cztery lata, iż dał temu wyraz w tytule swojej nowej książki, której premierę planuje na listopad. Brzmi on „Sposób na przetrwanie”. No i jak się teraz wytłumaczyć przed kolegami?

M arek Belka, znany także jako TW „Belch” – też artysta, od zastanawiania się nad tym, kto ma dłuższego – zażądał z kolei „odszczurzenia” spółek Skarbu Państwa. Niniejszym zmieniamy mu więc ksywkę. „Szczurołap” brzmi bardziej fantazyjnie niż „Belch”.

N a koniec lekcja logiki połączona z lekcją ekonomii. „Tylko konsumpcja może jeszcze uratować wzrost PKB” – przeczytaliśmy z zainteresowaniem w newsletterze naszej ulubionej apolitycznej Konfederacji Lewiatan. W tym samym czasie Eine Totalopposition szykująca się do przejścia rządów chce ciąć „800+” i inne programy społeczne. Które, jak wiadomo, akurat napędzają sprzedaż detaliczną. Naprawdę, kochani wyborcy Eine Totalopposition, jeszcze sami nie wiecie, w jak głębokim kaka się za chwilę znajdziecie. Niestety – my razem z wami. ©©





ONZ: BLISKI WSCHÓD NA SKRAJU PRZEPAŚCI

Sekretarz generalny ONZ António Guterres oznajmił, że Bliski Wschód znalazł się „na skraju przepaści”, i ostrzegł przed rozlaniem się konfliktu izraelsko-palestyńskiego na inne kraje regionu. – Widzimy, że arabskie ulice w całym regionie przepełnia wściekłość, więc ryzyko rozlania się konfliktu na Bliski Wschód jest realne – oznajmiła również szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podczas czwartkowej wizyty w Waszyngtonie. – Iran, patron Hamasu, dolewa jedynie oliwy do ognia. Rosja, wojenna klientka Iranu, uważnie się temu przygląda – dodała von der Leyen. Pod koniec ubiegłego tygodnia wojna już zaczęła się rozlewać po Bliskim Wschodzie. Amerykanie zostali zaatakowani w Syrii oraz w Iraku. A okręt marynarki wojennej USA przechwycił rakietę i drony wystrzelone przez sprzymierzony z Iranem ruch Huti z Jemenu. USA wysłały już na Bliski Wschód dwa lotniskowce, okręty wsparcia oraz kilka tysięcy żołnierzy piechoty morskiej.

Tymczasem sytuacja ludności cywilnej w Strefie Gazy pod koniec tygodnia stała się wyjątkowo dramatyczna. Gdy w piątek zamykałmy to wydanie „Do Rzeczy”, media informowały o 4 tys. zabitych Palestyńczyków, kilkunastu tysiącach rannych i milionie ludzi bez dachu nad głową, którzy na żądanie Izraela opuścili swoje domy. Mimo formalnych dyskusji o pomocy humanitarnej enklawa pozostawała odcięta od wody, paliwa, elektryczności oraz podstawowych produktów. Jednocześnie w ramach odwetu za brutalny atak bojowników Hamasu na Izrael (zginęło w nim ponad 1,4 tys. Izraelczyków) trwały intensywne naloty na Strefę Gazy. Członkowie organizacji Lekarze bez Granic alarmowali, że bomby spadały m.in. na szpitale. Dowódcy z Izraela nie ukrywają, że nie zamierzają dbać o ograniczanie strat wśród cywilów. „Walczymy z ludzkimi zwierzętami” – oznajmił na początku operacji minister obrony Yoav Gallant, wywołując oburzenie arabskich mediów.

W czwartek wieczorem o bezprecedensowe wsparcie dla Izraela oraz o nieprzerwaną pomoc dla Ukrainy zaapelował podczas telewizyjnego orędzia prezydent USA. Joe Biden ostrzegł, że jeśli wspólnota międzynarodowa nie powstrzyma teraz Władimira Putina, to nie wystarczy mu zwycięstwo na Ukrainie. – Putin już zagroził, że przypomni Polsce, iż jej zachodnie ziemie są „darem” od Rosji, a jeden z jego najbliższych doradców, były prezydent Rosji, nazwał Estonię, Łotwę i Litwę bałtyckimi prowincjami Rosji – zauważył, podkreślając, że USA są gotowe bronić każdego skrawka ziemi NATO. – Nie pozwolimy terrorystom jak Hamas i tyranom jak Putin wygrać – mówił Biden. ©

FOT. ALI JADALLAN/ABC/AP

Jak nauczyć się pływać w lodowatej wodzie



Piotr Semka

Po ośmiu latach u władzy czas na zerwanie z samozadowoleniem. Jeśli PiS chce w dobrej formie przetrwać dekonstrukcję, to musi się na nowo wymyślić

Znany dowcip opowiada o tym, jak poszczególne narody reagują na wypisaną na niebie wiadomość, że za dwa dni będzie potop. Anglicy uznają, że skoro to już koniec, to trzeba skupić się na ulubionym golfie, Włosi rozkoszują się ukochanymi la cucina italiana i belcanto, Francuzi rzucają się w odmęty miłosnych igraszek, a Żydzi zbierają się, by wysłuchać, co ma im do powiedzenia ich naczelny rabin. Duchowny wskazuje na beczkę, wodzi przez chwilę uważnie wzrokiem po zgromadzonych i mówi: „Za dwa dni będzie potop. Mamy 48 godzin, aby nauczyć się pływać”.

Przesłanie tego żartu bardzo przyda się teraz Prawu i Sprawiedliwości. Dziesiątki tysięcy jego działaczy zostaną usunięte z posad, a wielu zazna rozmaitych form opozycyjnego odwetu. Odwetu, który już objawia się w wielu nienawistnych zapowiedziach. Paweł Wojtunik, były szef CBA, chwali się na platformie X, czyli dawnym Twitterze, że już zgłaszają się do niego dziesiątki kandydatów na świadków koronnych. Jeden z profesorów Uniwersytetu Warszawskiego radzi przyszłemu opozycyjnemu rządowi, aby tajne służby specjalne zajęły się dezintegracją środo-

wisk PiS-owskich, by już nigdy „populiści” nie zagrozili polskiej demokracji. Piotr Adamowicz, brat zamordowanego prezydenta Gdańska, w radiowej dyskusji „dobrotliwie” radzi prezydentowi Andrzejowi Dudzie, aby ten nie wetował ustaw rządowi opozycji, jeśli myśli o jakimś ważnym stanowisku międzynarodowym po upływie prezydentury. „Gazeta Wyborcza” najwyraźniej przekonana jest, że twarze medialne kojarzone z telewizją lat 2016–2023 powinny popełniać na wizji samobójstwa. Trudno inaczej interpretować zdziwienie „Wyborczej”, że Magda Ogórek po wyborczej niedzieli nadal w TVP kpiła z Donalda Tuska.

Sam PiS aż kipi od powyborczych pretensji. Ci, którzy nie byli w sztabie wyborczym, krytykują tych, którzy prowadzili kampanię. Ci, którzy nie dostali się do parlamentu, są rozgoryczeni, że wsadzono ich na zbyt niskie miejsca, a reszta wałkuje odwieczny dylemat: czy trzeba było postawić na polaryzację czy złagodzić przekaz i bić się o mityczne centrum.

NIC NIE MOŻE WIECZNIE TRWAĆ

Akurat w tych wyborach mityczne już pół miliona wyborców, które odwróciło

się od PiS w porównaniu z poprzednimi wyborami, można dość jasno zdefiniować. Pierwsza grupa to niezdecydowani, którzy w poprzednich wyborach wsparli Jarosława Kaczyńskiego, ale teraz zaczęło ich razić „przegranie” tematu imigracyjnego i zbytne zafiksowanie się na Donaldzie Tusku. Choć w to mało kto już wierzył, to na sam koniec kampanii znów swoją atrakcyjność wykazała idea Trzeciej Drogi. Kolejne grupy, które zraziły się do PiS, to część rolników pamiętających „piątkę dla zwierząt”, twardy elektorat antyukraiński, który nie akceptował zbliżenia Polski z Ukrainą, i wreszcie prawica „koronosceptyczna”, która nie może darować rządowi Mateusza Morawieckiego ograniczeń w czasie pandemii. Jakiś procent zabrała Konfederacja. Ważniejsze było szersze pytanie, czy dobra passa mogła trwać tak długo, by zamienić się w trzecią kadencję. Owszem, Morawiecki stosunkowo dobrze przeszedł okres COVID, turbulencje związane z wojną na Ukrainie i zdołał zapewnić równowagę budżetową mimo odebrania Polsce środków z KPO, ale – jak widać – to nie wystarczyło. Prawie wszystkie europejskie ekipy, które sprawowały władzę w czasie kryzysu koronawirusa, zapłaciły za swoje decyzje z czasu apogeum zarazy bardzo wysoką cenę. Swoją efekt wywarło też klasyczne zużycie się władzy i złe wrażenie, które stworzyły imperia spółek Skarbu Państwa.

Z pierwszych działań Jarosława Kaczyńskiego wynika, że chce on ukrócić wewnątrzpartijną debatę o odpowiedzialności za klęskę. To normalna reakcja we wszystkich partiach, które przeżyły niepowodzenie. Liderzy obawiają się, że wałkowanie tego, kto zawinił, rozsądzi partię akurat w momencie, kiedy wchodzi ona na celownik ostrzału medialno-polityczno-sądowego ze strony opozycji.

Jednak wyniki sondażu trudno obejść. Ciekawa jest mapa pokazująca, jak procent głosów uzyskany przez jedyne listy PiS miał się do sumy wszystkich głosów oddanych na listy PiS. I tak w Gdańsku Kacper Płażyński zgarnął 65 proc. głosów oddanych na swoją partię, w obwarzanku okołowarszawskim Mariusz Błaszczak zdobył 55 proc. głosów PiS, w Krakowie Małgorzata Wassermann otrzymała aż 54 proc., a w południowej Wielkopolsce minister Marlena Małąg zdobyła 57 proc. Na Śląsku, niezwykle

trudnym terenie dla obecnie rządzącej partii, Mateusz Morawiecki zdobył 72 proc. głosów. W Lublinie Przemysław Czarnek zdobył 41 proc., na Dolnym Śląsku Elżbieta Witek zdobyła 51 proc. I na odwrót. Lokomotywami wyborczymi nie okazali się marszałek Ryszard Terlecki (13 proc.), Mariusz Kamiński (19 proc.), Zbigniew Ziobro (21 proc.) czy Jacek Sasin (23 proc.). Sam prezes Kaczyński w Kielcach zdobył 57 proc., ale chyba jego otoczenie liczyło na więcej.

Nie musi to wywoływać od razu jakiejś spektakularnej wymiany hierarchii, bo na razie o wszystkim wciąż decyduje prezes. Jednak te sukcesy i klęski zostaną dobrze zapamiętane w partii i odezwią się przy układaniu na nowo hierarchii ważności. Jednak czysto personalne przepychanki niewiele zmienia. Może to być jedynie mieszanie w tej samej zupie. Jeśli PiS chce w dobrej formie przetrwać dekonstrukcję, to musi się na nowo wymyślić.

JAK SIĘ ZMIENIAĆ POD OBUCHEM MŁOTA

Tąpnięcie musiało w końcu nastąpić. Już wybory do europarlamentu w 2019 r. i wybory prezydenckie w 2020 r. zostały wygrane przez PiS tylko wskutek maksymalnej mobilizacji małych miejscowości i wsi. Tym razem lepsza w mobilizacji była Platforma zarządzająca zbiorową wyobraźnią w wielkich miastach. Ściana wschodnia miała słabszą frekwencję niż zachód Polski. Opozycja wygrała rywalizację o młodzież. PiS, owszem, wkroczył z opóźnieniem do rywalizacji na TikToku, ale jednak opozycja była lepsza. Sztab Prawa i Sprawiedliwości był ekлекtyczny i nieruchawy. Pomysły były przyciężkawe. W kampanii zabrakło luzu, uśmiechu i nowych ciekawych pomysłów. Ludzie, którzy oglądali dzień w dzień w wiadomościach TVP mix z relacji z Lampedusy, kpiny z Tuska i podziękowań emerytów za „trzynastki” i „czternastki”, poczuli się przekarmieni.

Wszystko oczywiście zależało od delikatnych zmian nastrojów, których przewidzieć nie sposób. Jeden z internautów dość trafnie wskazał, że Polacy na przemian głosują w kierunku odważnych zmian, które odbywają się wbrew histerii elit, aby potem głosować, tak jak elitom się podoba. Dlatego raz w 1990 r. poparli Wałęsę przeciwko establishmentowemu Mazowieckiemu, by później rzucić się

w ramiona Aleksandra Kwaśniewskiego. W 1997 r. odesłali postkomunistów, wybierając Akcję Wyborczą Solidarność, by cztery lata później wynieść do władzy SLD z Leszkiem Millerem. Nie sprawdziła się nadzieja PiS, że po 2015 r. pojawi się elektorat mający w tyle głowy obawę przed stratą „500+”, a potem „800+”. I wreszcie referendum. Owszem, zmusiło opozycję do odnoszenia się do wielu kwestii zawartych w pytaniach, ale jego słabym punktem była możliwa odmowa większości wyborców wzięcia w nim udziału. I tak się stało.

Partia, która stanie teraz wobec tsunami platformerskiego odwetu, musi mądrze przeczekać kulminacyjną falę. Jest skazana na stosowanie taktyki trzciny. Jak się zdaje – PiS nie zrezygnuje z misji tworzenia rządu. Nie ma szans na zbudowanie większości, ale ma okazję, by w nowych realiach poznać się bliżej z PSL i Konfederatami. Na zakłęcia Tuska nie ma co zważać. Gdyby lider PO był w podobnej sytuacji co PiS i mógł liczyć na życzliwego prezydenta – też skorzystałby z tego skwapliwie.

Kalendarz wyborczy nie układa się dla PiS dobrze. W przyszłym roku dojdzie do wyborów samorządowych, w których opozycja widzi szansę na odbicie z rąk PiS średnich i małych miast. A na wsi wzmocnione nagle PSL też będzie starało się odbić tereny zawłaszczane. Jeszcze półtora roku trwać będzie kadencja Jarosława Kaczyńskiego jako lidera czołowej partii polskiej prawicy. Nadal nie widać jednoznacznego następcy tronu. Morawiecki dobrze pasował do roli premiera, ale w opozycji jego atuty nie są już tak silne. Wielu w partii obciąża go za przegraną, m.in. za przesadne zajmowanie się Tuskiem w debacie przedwyborczej. Jednakże premier uzyskał bardzo dobry wynik w Katowicach. Wszystko wskazuje, że nie zostanie szefem klubu, co wieszczę odstawienie na boczny tor.

Prezes Kaczyński powierzy kierownictwo klubu raczej Mariuszowi Błaszczakowi, co zwiastuje epokę twardej kontroli prezesa nad partią.

Powróci kwestia koegzystencji PiS-owskiej partii matki z ugrupowaniem Zbigniewa Ziobry. Niewyjaśnione jest pytanie, kto ma zostać kandydatem prezydenckim PiS. Dodatkowo partia ta, która prędkiej czy później straci wpływ na media publiczne, zostanie pozbawiona wielu źródeł docie-

rania do Polaków ze swymi pomysłami. Znow większe znaczenie zyskają niezależne środowiska liderów opinii po prawej stronie. PiS, ufny we wsparcie publicznej telewizji i radia, wiele tych środowisk po prostu lekceważył. Najbardziej kluczowe dla PiS będzie teraz zachowanie prezydenta Andrzeja Dudy. Wielu polityków rządzącej partii, których irytowało trzymanie się głowy państwa z dala od PiS-owskiej kampanii, musi teraz bardzo oszczędnie formułować swoje opinie, gdyż wojna z gospodarzem Belwederu to ostatnia rzecz, której osłabiony PiS potrzebuje.

Problemy, wokół których ogniskowała się miniona kampania, nie znikną. Widać już, jak Polska 2050 nie może wytrzymać, by nie zaproponować skasowania „800+”. Za chwilę wróci kwestia redystrybucji uchodźców. PiS może też być pewny, że Komisja Europejska czy Niemcy bardzo szybko przypomną nam, dlaczego dochodzi do konfliktu między Polską a Unią.

PiS ma jeszcze jeden dylemat. Oszczędzić PSL jako ewentualnego partnera do rozgrywek sejmowych w przyszłości czy walić równo po całej opozycji? Wiara w dobre skłonności ludowców zaskakująco szybko pojawiła się w wypowiedziach części posłów PiS.

Pozostaje jeszcze kwestia rewolucji pokoleniowej w partii. Stara gwardia jeszcze z epoki Porozumienia Centrum, pewna wsparcia lidera, nie ma specjalnie zamiaru udawać się na polityczną emeryturę. Jednocześnie Kaczyński musi bardzo uważać, by nie zrazić do siebie młodej generacji. Bo PSL może teraz odpłacić się pięknym za nadobne i proponować młodszemu posłom PiS atrakcyjne stanowiska w resortach, które obejmie w rządzie.

Na razie PiS czeka pół roku, w którego trakcie musi wymyślić skuteczną taktykę na czas odsuwania go od władzy nad Polską i do wiosennych wyborów samorządowych. Musi kupować sobie czas, jak najdalej odwołując powstanie rządu zjednoczonej opozycji. Nie sposób przewidzieć, jak ostre będą tarcia w obrębie Platforma-Lewica-Trzecia Droga. Dopiero kiedy rząd opozycji okrzepnie, będzie można określić, jak zajadły będzie poziom odwetu. Jednak trójgłowy smok jest zawsze mniej sprawny niż jednogłowy stwór.

Po ośmiu latach u władzy czas na zerwanie z samozadowoleniem. Za wszystko w polityce się płaci. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pomiędzy porażką a klęską



Łukasz Warzecha

Trudno chyba wyobrazić sobie gorszą sytuację od wygranej, która w istocie jest przegraną

Jak by nie kombinowali przedstawiciele Prawa i Sprawiedliwości, ich wynik to coś pomiędzy porażką a klęską, natomiast na pewno nie jest to – jak niektórzy próbują przekonywać – żaden sukces. Tak, jest to wynik najwyższy, ale wynosi 35 proc. (w 2019 r. ponad 43 proc.), w liczbach bezwzględnych gorszy o ok. 0,5 mln głosów niż cztery lata wcześniej, dający zaledwie 194 mandaty wobec wcześniejszych 235, a także kompletna porażka w Senacie (zaledwie 34 mandaty). Tymczasem na razie nie wiadać w partii wciąż jeszcze rządzącej śladu refleksji nad tym, co się zdarzyło. Oficjalnie trwa narracja o „trzeciej wygranej” – choć ta „wygrana” daje znikome szanse na utrzymanie władzy.

Wyliczenie wszystkich powodów takiego wyniku zajęłoby wiele stron. O jednej z nich mówił w pełnym pasji wystąpieniu w Klubie Ronina Marcin Wojski. Nagranie obiegło w zeszłym tygodniu sieć – i trud-

no się dziwić, skoro jeden z głównych twórców propagandowego rysu odchodzącej najpewniej władzy nagle zaczął z wyrzutem mówić o tym, że media rządowe postawiły na tępy przekaz, którego podstawą była stalinowska zasada „kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam”. Wojski próbował się nawet przedstawić w roli ofiary, twierdząc, że za niechęć wobec takiej linii został w telewizji zawieszony. Zwłaszcza ta ostatnia część jego wypowiedzi wywołała w mediach społecznościowych powszechną wesołość.

Diagnoza jest jednak trafna: PiS sformułował nie tylko swoją kampanię, lecz także cały swój przekaz co najmniej od 2017 r. wyłącznie pod twardy elektorat, aczkolwiek był to postępujący proces, a nie jeden moment. Przed wyborami postanowił zaś kierować się dewizą, że nie wygrywa się elekcji w centrum – co okazało się błędem. Drugim błędnym założeniem było przekonanie, że w wyborach Zjednoczona Prawica idzie po samodzielne rządy i jedynie samodzielne rządy ją interesują. Trzecim błędnym założeniem było, że da się takie rządy po raz trzeci zdobyć, mobilizując wyłącznie swój twardy elektorat.

PRZEPIS NA PORAŻKĘ

Wszystkie te błędne założenia łącznie okazały się przepisem na przegraną. Można przyjąć, że te nieco ponad 7,5 mln

wyborców, którzy poparli Zjednoczoną Prawicę przy nadzwyczajnej wyborczej mobilizacji, to maksimum tego, co w ramach twardego elektoratu udało się uzyskać. Za mało, żeby przebić trójsojusz z Koalicją Obywatelską w centrum. Aby to się udało, należało – po pierwsze – nie mobilizować centrum do głosowania na przeciwników, a w drugiej kolejności – postarać się przyciągnąć jakąś jego część do siebie. PiS działał dokładnie odwrotnie. Zakładając, że najlepsza będzie dla niego jak najgłębsza polaryzacja, poszedł w maksymalnie konfrontacyjną, brutalną, a przede wszystkim skrajnie tępą retorykę. Wynikało z niej, że każdy, kto całym sercem nie jest po stronie PiS, właściwie zdradził już Polskę. W ten sposób nie uspokaja się umiarkowanych wyborców, a tym bardziej nie przyciąga się ich do siebie.

Na to nałożyły się odczucia z ośmiu lat rządów, a więc wrażenie rosnącej pychy, beczelności, zamknięcia się w sobie i przede wszystkim tego, co w 2015 r. pogrzebało Platformę Obywatelską: poczucia, że partii rządzącej kompletnie nie interesuje nikt poza ich własnymi wyborcami. Że właściwie ta cała reszta niedeklarująca poparcia dla władzy mogłaby przestać istnieć. To była główna lekcja, która płynęła z porażki PO przed ośmiu laty – lekcja, jak widać, niepryswojona przez ugrupowanie Jarosława

Kaczyńskiego. Oczywiście jego politycy mogą trwać w upartej narracji o tym, że zawiniły złe siły, Niemcy, Rosjanie i kto tam jeszcze, ale taka niezdolność do zrozumienia własnych błędów nie wróży dobrze na przyszłość. Prawda była taka, że rządowi Morawieckiego udało się przeciwko sobie nastawić ogromne grupy społeczne, które w 2015 r. miały do PiS nastawienie albo przychylne, albo przynajmniej neutralne. To przede wszystkim sponiewierana klasa średnia, a także drobni przedsiębiorcy, których ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego od dawna traktowało z całkowitym lekceważeniem. Symbolem tego może być bezmyślne podwyższanie wynagrodzenia minimalnego bez uwzględnienia skutków dla biznesu, a także nieszczęsny Polski Ład z jego niemożliwą do odliczenia składką zdrowotną.

Zadziałał również czynnik dla każdego ugrupowania bardzo groźny, szczególnie gdy idzie o młodszych wyborców: wizerunek obciachowości. To rozłożyło PO w 2015 r., to rozłożyło teraz PiS. Jakkolwiek brutalnie to zabrzmie, partią rządzącą kieruje mocno już starszy pan, który nie ma żadnej łączności z młodym pokoleniem, podczas kampanii nie pokazano ani jednej świeżej twarzy – inaczej niż w 2015 r. – a jeśli gdzieś tam jakiś pojedynczy młody człowiek się przemykał, to był to oślizgły karierowicz w rodzaju Michała Moskala. Kto miał zanęcić młodych wyborców? Przemysław Czarnek? Czy może sztywny jak kij od szczotki Mateusz Morawiecki? Czy ktoś pamięta jeszcze ten czas, gdy osiem lat temu PiS zdobył zaskakujące poparcie w tym segmencie elektoratu, umiejętnie działając w mediach społecznościowych? W tym roku pod tym względem był cieniem samego siebie.

Kolejny raz sprawdziła się zasada, że w Polsce wybory wygrywa się słabością przeciwnika, a głosowanie jest przede wszystkim przeciwko, a nie za. Zwycięstwo centrolewicowej opozycji nie było w większości głosowaniem na jej program – który też miał bardzo schematyczny i niedookreślony charakter – ale plebiscytem przeciwko PiS, opartym na różnych poziomach niechęci wobec władzy aroganckiej, odbieranej jako agresywna i „dzieląca ludzi”. Nie bez powodu, wyczuwając dobrze te nastroje, Donald Tusk tak mocno w ostatniej fazie kampanii podkre-

ślał aspekt zgody narodowej – dorzucając oczywiście natychmiast, że konieczne będą rozliczenia. Podobnie mówili liderzy Trzeciej Drogi: PiS trzeba rozliczyć, ale wyborcy PiS mają się w „nowej Polsce” czuć jak u siebie. To oczywiście tylko wyborcza retoryka, ale świadczyła o tym, że opozycja miała znacznie lepsze rozeznanie nastrojów niż władza, która nawet nie podjęła próby wprowadzenia „retoryki miłości” do własnej kampanii.

Przy okazji PiS dość skutecznie utrudnił sobie – a może nawet zamknął całkowicie – drogę do rozmów o koalicji nawet z samym PSL, o całej Trzeciej Drodze nie mówiąc. Polityka jest oczywiście bardzo pragmatyczna, a bywa nawet z gruntu cyniczna, ale gdy przychodzi do takich decydujących chwil, stosowana retoryka ma również znaczenie. Jeśli w ostatniej kadencji budowała się atmosferę konfrontacji, a od roku przekonywało się, że wszyscy inni to po prostu wrogowie Polski, których zwycięstwo oznacza upadek ojczyzny, to naprawdę trudno po czymś takim siadać do stołu rozmów. Zwłaszcza że politycy są tylko ludźmi, miewają także swoje emocje, a już na pewno ma je elektorat, z którego opinia trzeba się jednak liczyć.

Błędne założenie o konieczności użycia samodzielnej większości zaowocowało również nieustającymi próbami zniszczenia Konfederacji, odebrania jej tlenu i wyborców, czego finałem była kompletnie już absurdalna szarża z „taśmami Banasia”, wykonana przez TVP w piątek, tuż przed ciszą wyborczą. W ten spektakularny sposób PiS być może odebrał partii Mentzena i Bosaka szansę na stanie się siłą blokującą, która co prawda mogłaby blokować powstanie rządu Zjednoczonej Prawicy i stawiać mu warunki, a także powstanie rządu centrolewu. Prawdopodobnie za tym końcowym akcentem kampanii stała jakaś desperacka próba odciągnięcia od Konfederacji na swoją stronę choćby z pół punktu procentowego wyborców.

Widać w tym punkcie, o ile lepszym strategiem okazał się Tusk, który wystrzegając wcześniej się zorientował, że dalsze pchanie pod próg Trzeciej Drogi i jej ewentualne niewęście do Sejmu mogą się dla niego skończyć wyborczą porażką – i odpuścił, a nawet zaczął koalicję Hołowni i Kosiniaka-Kamysza wspierać. Jarosław Kaczyński trwał natomiast sztywno przy błędnej strategii.

Przypominał pod tym względem starego generała, który kiedyś wygrał wiele bitew, ale nie umie wdrożyć nowych sposobów walki i twardo trzyma się archaicznych zasad, co prowadzi do przegranej. Inni walczą lotnictwem, a on uparcie stawia na kawalerię.

TIWARGOGŁOWI GÓRĄ

W obozie władzy, rzecz jasna, nie było jednomyślności co do strategii. Tyle że górę wzięła frakcja twardogłowych. Jej twarzą został lider wyścigu wyborczego Mateusz Morawiecki, ale swoje zrobili także medialni naganiacze oraz, co bardzo ważne, rządowe media, ugruntowujące obraz obozu władzy jako po prostu obciachowego, serwując propagandę na naprawdę najniższym możliwym poziomie. Jeśli dzisiaj PiS serio myśli o tym, żeby spróbować skusić do koalicji PSL – zakładając, że istnieje jakaś śladowa szansa powodzenia takiego planu – to doprawdy zadziwiające jest, iż do realizacji takiego przedsięwzięcia najpewniej zostanie wyznaczony dotychczasowy szef rządu. Mateusza Morawieckiego obciążają nie tylko przegrana kampania, lecz także wszystkie wygłoszone w jej trakcie wypowiedzi, a przede wszystkim dotychczasowe blisko dwie kadencje na stanowisku premiera. Koalicja z PSL – o ile PiS traktowałby ten wariant serio – musiałaby być rodzajem całkowicie nowego otwarcia, trudno zaś wyobrazić je sobie z obecnym premierem. Jeżeli to faktycznie jemu pan prezydent powierzy misję utworzenia rządu, to być może należy z tego wnioskować, że skuszenie PSL do koalicji jest jednak przez ustępującą władzę uznawane za nierealne.

Jeśli przysłuchać się uważnie wspomnianej na początku wypowiedzi Marcina Wolskiego, to pada w niej interesujące stwierdzenie: „Betonowy elektorat, nawet gdybyśmy pokazywali w telewizji publicznej na okrągło Biedronia, i tak zagłosowałby na PiS”. Trudno odmówić Wolskiemu w tej sprawie racji. Powstaje zatem pytanie, po co partia rządząca poszła tą drogą i kto spośród odpowiedzialnych za kształt kampanii za to odpowiadał. Ktokolwiek to był, to on jest winien temu, że partie paktu senackiego zebrały łącznie o ok. 4 mln głosów więcej niż Zjednoczona Prawica.



Marek Jurek

Zmiana władzy to zwykła kolej rzeczy w demokracji. Opieranie nadziei na trwałość instytucji na niezmienności rządu to po prostu kapitulacja myśli politycznej. Rząd się właśnie zmienia, więc pora zastanowić się nad tym, jak jesteśmy na to przygotowani, by przed nieodwracalnymi skutkami tej zmiany Polskę zachować

Władzę przejmuje zradykalizowana opozycja, choć wybory potwierdziły, że w Polsce opinia prawicowa jest ciągle w większości. Prawo i Sprawiedliwość, Konfederacja i Polska Jest Jedna zdobyły ponad 44 proc. głosów, podczas gdy Koalicja Obywatelska i Nowa Lewica 39 proc. A jeśli głosy na centrową Trzecią Drogę podzielimy na pół i dopiszemy po obu stronach, to większościowa społecznie pozycja prawicy będzie jeszcze wyraźniejsza.

Prawicowy charakter polskiej opinii publicznej jasno pokazało referendum. O ile na nieopozycyjną prawicę – PiS, Konfederację, PJJ – głosowało ok. 9,5 mln Polaków, o tyle w referendum przeciw imigracjonizmowi, stanowiącemu ideologię i model społeczny Unii Europejskiej, głosowało prawie 11 mln. Tuszk powiedział przed wyborami, że referendum „uroczyście unieważnia”. Jeśli tak, to świetnie. W ten sposób „uroczyście unieważnił” zarówno milion głosów oddanych na opozycję, jak i jej wygraną w wyborach.

Dlaczego więc ta radykalna, bolszewizująca opozycja przejmuje władzę? Dlaczego nie jest możliwa koalicja prawicowo-centrowa, Prawa i Sprawiedliwości z Polskim Stronnictwem Ludowym? Oczywiście pierwszą przyczyną jest wybór samego Władysława Kosiniaka-Kamysza, jego wyobrażenie o roli, jaką w polskiej polityce chce odgrywać. Ale warto rozważyć okoliczności tego wyboru.

Mimo że 30 lat temu Jarosław Kaczyński zakładał Porozumienie (!) Centrum,



Opozycja, czyli odnowa

mimo że w tamtych czasach był mistrzem polityki parlamentarnej, to od pewnego momentu zaczął walczyć, by naturalne wymogi koalicyjnego charakteru polityki krępowały go jak najmniej. Współpracę z reprezentatywnymi liderami wołał zastąpić projektowaniem większości ponad ich głowami, a zamiast przeciągania na stronę prawicy (a przynajmniej neutralizowania) centrum – postawił na radykalną polaryzację polityczną. Cała ta strategia, wyrażająca się w ideologii „tylko my”, miała swoją wewnętrzną logikę. Skoro polityczni partnerzy nie mogą mieć częściowo racji, to nie można również częściowo zgadzać się z liderem. To „utwardzanie” partii i elektoratu z pewnością zaspokajało

autentyczne potrzeby przeżycia kolektywnej wspólnoty wielu zwolenników, a nawet polityków PiS. Ale w praktyce prowadziło do coraz większej izolacji PiS-owskiej twierdzy, ułatwiając konsolidację i oddziaływanie na centrum radykalizującej się liberalno-lewicowej opozycji.

Symbolem tej narodowoirracjonalnej, choć mającej swą racjonalność partyjną, polityki mogła być wypowiedź późniejszej wicemarszałek Beaty Mazurek o potrzebie „wyeliminowania PSL z życia publicznego”. Ta deklaracja pięć lat temu zamknęła drogę do regionalnych koalicji PiS-PSL i pozwoliła przegranej Platformie utrzymać przez cały czas wielki zakres władzy w samorządach wojewódzkich.

Tymczasem współpraca w zarządach województw mogła oswajać PSL z perspektywą współpracy rządowej z Prawem i Sprawiedliwością.

Zdolność przyciągania lub neutralizacji centrum była kluczowa nie tylko w walce o utworzenie i utrzymanie rządu, lecz także o zachowanie wojtyliańskiego consensusu, który scalał życie publiczne przez ostatnie 30 lat. Jego symboliczną demonstracją było (jeszcze krótko przed wyborami) wspólne głosowanie PiS, PSL i Konfederacji nad uchwałą w obronie pamięci Jana Pawła II.

To, co napisałem wyżej, dotyczy oczywiście również stosunku PiS do niezależnych ugrupowań prawicowych. PiS zawsze chciał je (mówiąc językiem brydżowym) stawiać w przymusie. Ale istnieje przecież odporność materiału. W ostatnich wyborach na ugrupowanie Polska Jest Jedną padło 350 tys. głosów. Mogły paść na listę PiS, gdyby PiS uznał reprezentatywność ruchu prezydenta Piecha i zaprosił go do współpracy. W realnych wyborach okazało się, że PJJ uzyskał 1/22 poparcia PiS. Wynikające stąd 5–10 mandatów więcej mogło ułatwić PiS opozycję albo nawet zmianę rządu w trakcie kadencji. A przede wszystkim wzmocniłoby instrumenty obrony Polski przed ekstremizmem Donalda Tuska. Skoro premier Tusk przez siedem lat (dzięki oporowi PSL i środowiska Jarosława Gowina) nie zdołał ratyfikować genderowej konwencji stambulskiej, skoro Sejm odrzucił jego propozycję ustanowienia „związków partnerskich” – to dlaczego miałoby mu się to udać teraz?

OFIARY MIMETYCZNEGO POŻĄDANIA

Prawo i Sprawiedliwość mogło zrobić więcej, by utrwalić większość prawicową, a tym samym konserwatywny consensus w polityce polskiej, ale (pamiętajmy o oczywistościach) przynajmniej zbudowało jej podstawy. To ciągle największa partia w Polsce. Tymczasem Konfederacja, nieposiadająca tych atutów i (!) zasług, postanowiła przejąć od PiS również ideologię „tylko my”. Do tego stopnia, że wobec walczących o władzę obozów w Polsce przyjęła postawę całkowicie relatywistyczną, uznając już w czasie wyborów prezydenckich, że mimo nacisków Unii Europejskiej, mimo ekstremizacji UE, prezydentem Rzeczypospolitej również

dobrze jak Andrzej Duda mógłby być Rafał Trzaskowski.

Tę samą politykę Konfederacja prowadziła przez całą tegoroczną kampanię wyborczą. Zamiast formułowania konkretnych warunków koalicyjnych i politycznych żądań wobec PiS twardo powtarzała, że nie wejdzie do żadnego rządu. A przecież słabszy partner właśnie poprzez warunkowe poparcie może uzyskać większość i wpływ na politykę silniejszego sprzymierzeńca. Jednak żadna sprawa nie była tego warta: ani wypowiedzenie genderowej konwencji stambulskiej, ani definitywne odrzucenie euro, ani stwierdzenie przez Sejm RP nieważności zgody na nietraktatowy mechanizm „warunkowości” (czyli przyznanie Komisji Europejskiej prawa do „nadzoru demokracji” i nakładania sankcji finansowych na państwa). Czasami te sprawy Konfederacja eksploatowała jako przedmiot krytyki, nigdy ich nie postawiła jako przedmiot realnych politycznych negocjacji.

Oczywiście poza naśladowaniem PiS-owskiej ideologii „tylko my” jest rzecz, która zasadniczo Konfederację od PiS różni. To kwestia przywództwa. W PiS przywództwo Jarosława Kaczyńskiego wręcz wchłania ruch społeczny. Konfederacja (jak sama nazwa wskazuje) jest tylko ruchem. Bezwładnym wobec heterogenicznego składu swego elektoratu, wobec rozbieżności ideowych, nawet wobec kompromitujących zachowań swych polityków.

Nadzieję na inny kształt tego kierunku wiązałem z przywództwem Krzysztofa Bosaka. Gdy otrzymał ponad milion głosów w wyborach prezydenckich (a prawo do kandydowania wcześniej wygrał w prawyborach), stał się postacią formatu narodowego, zyskał tytuł do autentycznego politycznego przywództwa. Miałem nadzieję, że działanie w formule „prince en son conseil” nada mu określony charakter; będzie podejmował decyzje, prowadził politykę, wywierał wpływ na państwo. Zamiast tego narodowego powołania wybrał narodowcowe koleżeństwo. Z pewnością był to refleks szlacheckiego rysu jego charakteru, który pokazał już wtedy, gdy przez solidarność z kolegami odmówił kandydowania z list Kukiz'15. To cenna (a może i bezcenna) zaleta, ale przywództwo wymaga również zalet innych. To, że Konfederacja po sukcesie Bosaka w wyborach prezydenckich utknęła w politycznym impasie (można to też nazwać stabilizacją),

to efekt tego, że i on sam nie zdecydował się iść dalej, niż to wynikało z koleżeńskich rutyny.

POLITYKA SIĘ DOPIERO ZACZYNA

Czas nazwać też rzeczy po imieniu. Rząd Prawa i Sprawiedliwości traci władzę w wyniku nałożonych na Polskę sankcji finansowych, zduszony przez zagranicę. Ze zrozumiałych względów, mając nadzieję na przełamanie tych sankcji, a przynajmniej odwrócenie od nich uwagi opinii publicznej, PiS o tym w kampanii nie mówił. Ale dziś pora publicznie stwierdzić, że wstrzymanie należnych Polsce środków budżetowych miało z pewnością wpływ na wynik wyborów, że właśnie wymachiwanie kieską przez opozycję musiało wpłynąć na przynajmniej kilkaset tysięcy wyborców. Ten efekt najlepiej opisuje realny wpływ Unii na Polskę. Z dokładną taką perspektywą przed oczyma – obalenia rządu w drodze finansowego nacisku (choć wtedy chodziło nie o bezpośrednie sankcje, ale podważanie wiarygodności finansowej Węgier) – Viktor Orbán zdecydował się na szukanie gospodarczej reasekuracji swego państwa poza niepewną pozycją w Unii Europejskiej. To oczywiście jedynie uwaga historyczna, a nie sugerowanie przykładu.

Nowy rząd, obejmując władzę w wyniku presji Unii Europejskiej, będzie teraz bezwzględnie wykonywał jej życzenia. A konfiskata suwerennych kompetencji państw trwa. Niemcy już wznowiają starą doktrynę, że „rozszerzenie wymaga pogłębienia”, czyli że otwarcie na Ukrainę wymaga podporządkowania państw (oczywiście środkowo- i wschodnioeuropejskich) decyzjom instytucji unijnych.

Nie jesteśmy jednak w tej sytuacji pozbawieni instrumentów wpływu na politykę państwa. Prezydent ma duży zakres władzy i możliwości kontroli procesu ustawodawczego. Podobnie Trybunał Konstytucyjny. I przede wszystkim opozycja w Sejmie, która musi zarówno odwoływać się do bezpośredniego poparcia społeczeństwa i opinii publicznej, jak i oddziaływać na różnice wewnątrz nowej władzy. A potem tę władzę zmienić, bo (jak stanowi konstytucja) rządu nie można po prostu odwołać, trzeba go wraz z koalicją zmienić na inny. Ale żeby to wszystko spełnić – przechodząca do opozycji prawica musi najpierw zmienić siebie.

Piątka, której zabrakło



Rafał A. Ziemkiewicz

Odpowiedź na oba pytania – dlaczego „normalsi” chcieli zmiany mimo rekordowego poziomu zadowolenia Polaków z sytuacji materialnej, sukcesów gospodarczych rządu i różnorodnych zagrożeń dla Polski oraz dlaczego odwrócili się od Konfederacji na rzecz Trzeciej Drogi – można ująć jednym słowem: przesada

Wybory rozstrzygnęło coś, co zaczęło się dwa, góra trzy tygodnie przed 15 października. Wtedy ciężko było to zauważyć; dynamikę procesu widać dopiero z perspektywy czasu. Po stronie lewicowo-liberalnej całkowicie przełożono wajchę wobec Trzeciej Drogi. Przez wiele miesięcy atakowana, wyślizgana z „wielkich marszów” Tuska, oskarżana o rozbijanie jedności opozycji, zdradę, sekretne porozumienie z Kaczyńskim, a nawet (to oczywiście niezawodny Tomasz Piątek z „Wyborczej”) o powiązanie z Opus Dei – nagle zyskała autoryzację „opiniotwórczej elity”. Ba, owa elita zdała sobie sprawę – i zaczęła tą wiedzą intensywnie się dzielić z odbiorcami kontrolowanych przez siebie mediów – że to właśnie wprowadzenie do Sejmu Trzeciej Drogi jest warunkiem odsunięcia PiS od władzy. Mniej więcej w tym samym czasie okazało się też, że gwałtownie wzrasta liczba zdecydowanych wziąć udział w głosowaniu. Efektem spotkania się w dniu wyborów tych dwóch tendencji był zaskakująco dobry wynik

koalycji PSL z Polską 2050; ugrupowanie, co do którego jeszcze kilka tygodni przed wyborami zastanawiano się, czy w ogóle wejdzie do Sejmu, ostatecznie dostało ponad 14 proc. i to właśnie ten wynik, dający Hołowni i Kosiniakowi-Kamyszo- wi 65 mandatów, rozstrzygnął o utracie władzy przez Zjednoczoną Prawicę.

Zdumiewające jest przy tym, że wyborcy Trzeciej Drogi w większości zagłosowali na kandydatów Hołowni, choć większość z nich była im zupełnie nieznana. Powtórzył się zatem fenomen posłów Palikota czy Kukiza, którzy „wjeżdżali” na Wiejską na nazwisku lidera i dopiero potem opinia publiczna dowiadywała się o nich czegokolwiek (niekiedy rzeczy zaskakujących).

DANIE NIESPODZIANKA

Ukułem kiedyś porównanie i lubię go używać, że demokracja przypomina knajpę – możemy sobie zjeść, co chcemy, ale tylko z tego, co jest w karcie. Polityczne „menu” w roku 2023 składało się z potraw mało atrakcyjnych dla bardzo wielu Polaków, tych „niepolitycznych”,

niezaangażowanych w partyjne spory – nazwijmy ich „normalkami”. Jeden kotlecik po ośmiu latach mocno już stracił na atrakcyjności, drugi atrakcyjny nie był nawet te osiem lat temu, a od tego czasu jedynie obsypywano go mnóstwem ostrych przypraw. W tej sytuacji wielu postanowiło wskazać kelnerowi pozycję „danie niespodzianka”. Szczególnie gdy z docierających do nich mediów dowiedzieli się, że taki wybór nie oznacza utrzymania przy władzy PiS i nie jest obciachem ani zdradą.

Na to, że „danie niespodzianka” zainteresuje wielu, zanosilo się już od dawna – wielka część „normalków” sygnalizowała chęć zmiany władzy, ale nie na tę, której podziękowali w 2015 r. Jednak jeszcze miesiąc przed wyborami wydawało się, że „daniem niespodzianką” będzie dla nich Konfederacja, a nie pozycjonująca się jednoznacznie w bloku Tuska Trzecia Droga.

Odpowiedź na oba pytania – dlaczego „normalsi” chcieli zmiany mimo rekordowego poziomu zadowolenia Polaków z sytuacji materialnej, sukcesów gospo-

darczych rządu i różnorakich zagrożeń dla Polski oraz dlatego odwrócili się od Konfederacji na rzecz Trzeciej Drogi – można ująć jednym słowem: przesada.

ZNOWU PRZESADA

PiS po raz drugi popełnił ten sam błąd, który raz już kosztował go utratę władzy w roku 2007. Kto pamięta tamtą kampanię wyborczą, przyzna, że partii braci Kaczyńskich fatalnie przysłużyło się zafiksowanie na „oczyszczaniu życia publicznego”, tropieniu układów i demaskowaniu złodziei. PiS zupełnie zignorował wtedy badania pokazujące, że porywinowskie nastroje „walki z układem” już zbladły, że ludzie chcą raczej słuchać o lepszym życiu. Brnął w spoty z „mordo ty moja”, w obietnice rozliczeń i demaskacji tajnych powiązań. Wiązało się to z krańcowym przegzaniem przekazu. Gdy TVP pokazała taśmę z wizyty Andrzeja Leppera u Ryszarda Krauzego na 10. piętrze hotelu Marriott pierwsze pięć razy, zaowocowało to oburzeniem na „układ”, ale gdy aż do wyborów powtarzała ją wielokrotnie każdego dnia, niekiedy przerywając w tym celu mecze i filmy i za każdym razem ze skrajnie łopatologicznym komentarzem, wyborcy nabrali podejrzliwości i w efekcie to, co miało być rozstrzygającym atutem, stało się przeciwnie. Tak samo i teraz: zafiksowanie na tym, co Tusk zrobił albo czemu zaniechał osiem lat temu, całkowite zaniechanie innego przekazu niż negatywny, obsesyjność politycznej propagandy obozu władzy zniechęciły do niej „normalsa” i utwierdziły w przekonaniu, że przydałaby się zmiana, nawet na nie do końca wiadomo co.

Konfederacja z kolei przesadziła w uporczywym odcinaniu się od przyszłych koalicji i w tromtadracji, że idzie do Sejmu, by „przewrócić stolik”. Wyborca wielu rzeczy nie wie, ale potrafi policzyć, że ugrupowanie mogące liczyć na 10 proc. głosów nie będzie w stanie odsunąć od władzy jednocześnie obu głównych partii, łącznie zbierających od lat w każdych wyborach ok. 70 proc. głosów. Z kolei uporczywe powtarzanie przez Konfederację, że nigdy, za nic nie wejdą w koalicję ani z PO, ani z PiS, w domyśle – będą trwać dumnie w „splendid isolation” tak długo, aż będą w stanie stworzyć samodzielnie własny rząd (czyli na święty

nigdy, jak uznawał przeciętny wyborca) – sprawiło, że ewentualne głosowanie na Konfederację zaczęło się „normalsowi” jawić jako zmarnowanie głosu. Jedynym jego efektem będzie ileś tam tygodni gadaniny, a potem – kolejne wybory.

Co ciekawe, z moich przegłosów wynika, że wielu działaczy Konfederacji uważało taki scenariusz za pozytywny: uzyskamy w Sejmie „pakiet kontrolny”, użyjemy go zarówno przeciwko PiS, jak i przeciwko PO, uniemożliwiając powstanie rządu, i w ten sposób zmusimy prezydenta do ogłoszenia nowych wyborów na wiosnę, a w nich rozbijemy bank i zwielokrotnimy swe poparcie. Dlaczego w takich wymuszonych przez Konfederację przyspieszonych wyborach na wiosnę mieliby dotychczasowi wyborcy innych partii masowo przerzucić głosy na sprawcę parlamentarnej obstrukcji, doprawdy nie rozumiem – jeśli tego rodzaju rojenia przyświecały nie tylko szeregowym działaczom, lecz także liderom partii, to znaczy, że zwyczajnie nie dojrzeliby oni do poważnej polityki.

Tym, co Konfederacja powinna była zrobić, zamiast dziecinnego upierania się, że nic nigdy z nikim za żadną cenę, było przedstawienie warunków, od których uzależnia udzielenie poparcia dla stworzenia rządu. Mogłyby to być nawet warunki zaporowe, od wyjścia z UE poczynawszy – ofertę wyjściową zawsze można negocjować – byleby były konkretne: kto zobowiąże się przeprowadzić takie a takie reformy, temu umożliwimy stworzenie gabinetu, nie wchodząc do niego i zachowując sobie prawo recenzowania go z sejmowych ław. Nie więcej niż siedem punktów, a najlepiej pięć. Taka „rządowa piątka Mentzena” albo „Bosaka” – nie będę się tu silił na jej projektowanie, skoro i tak nie ma to już sensu – zarazem wyznaczyłaby zwięzłe programowe priorytety partii i dałaby „normalsom” poczucie, że głos na Konfederację nie jest równoznaczny z głosem nieważnym albo w ogóle nieoddanym.

Deklaracja samowykluczenia z przyszłej polityki była moim zdaniem podstawową przyczyną, dla której kilku-nastoprocentowe poparcie sondażowe z miesięcy wakacyjnych zmalało ostatecznie o połowę. Ale oczywiście nie jedyną. Fatalnym dla Konfederacji zbiegiem okoliczności był wybuch pedofilskiego

skandalu na YouTube – przy tej okazji w najbardziej dla niej istotnym segmencie elektoratu pojawił się powód do przypomnienia starych propedofilskich występów niepowstrzymanego w żądy skandalizowania Korwin-Mikkego, który zresztą oczywiście nie przepuścił okazji, żeby wrócić do publicznego dywagowania o negocjowaniu „wieku zgody” z 13-latkami i ich matkami. Im dłużej też trwała kampania, tym lepiej widać było, że Konfederacja prowadzi ją zupełnie nieprofesjonalnie, że poskapiła na spin doktorów, nie określiła, do kogo chce się zwracać. Po prostu każdy, kto miał okazję wystąpić w mediach, mówił, co mu przyszło do głowy, nie wiedząc albo ignorując, co inny powiedział na ten sam temat wczoraj. Widać było, że nie uzgodniono nawet, czy po wyjściu (sondażowo) z niszy „partii protestu” należy przekazać łagodnie czy, przeciwnie, zaostrożać – jedni próbowali tak, drudzy owak.

LEPSZA ALTERNATYWA

Last but not least – zabrakło Konfederacji refleksji nad perspektywami jej przyszłego rozwoju. Moim zdaniem polityczna logika podpowiadała obstawienie rządów PiS i odbieranie, w ich cieniu, elektoratu PO, którą łatwo byłoby Mentzenowi i Bosakowi oskarżać o zdziadzenie i utratę skuteczności. Celem Konfederacji na tę kadencję powinno być, zgodnie z prawidłami politycznej taktyki, wywalczenie sobie dominującej pozycji w anty-PiS. Tymczasem w partii – nie ja jeden odniosłem takie wrażenie – zapanowała wręcz obsesja zniszczenia PiS i przejęcia jego patriotycznej nastawionych wyborców – ba, rojono nawet o przejściu do Konfederacji części pisowskich posłów. W dodatku ten efekt chcieli Konfederaci osiągnąć, mnożąc ataki na PiS, a szczególnie na Mateusza Morawieckiego.

W efekcie Trzecia Droga, dla uważniejszych obserwatorów będąca nią tylko z nazwy, stała się w oczach wyborcy niepolitycznego lepszą alternatywą od Konfederacji. Czy ta, po krótkim rozkwicie nadziei i bolesnym twardym lądowaniu, otrząśnie się i odbuduje w przyszłości swą pozycję – szczerze mówiąc, w tej chwili mało kogo to zajmuje, choć dla dalszej przyszłości może mieć ogromne znaczenie.

RYSZARD GROMADZKI: To, że większość Polaków opowiedziała się w wyborach za partiami opozycji totalnej alias demokratycznej, to znak, że taka kategoria jak suwerenność państwa nie ma dla nich większego znaczenia?

TOMASZ SOMMER: Nie. Tak bym nie powiedział. Podczas tych wyborów żadna partia mocno tej kwestii nie stawiała, co wynikało głównie z tego, że media, które nadawały ton kampanii, nie były takim tematem zainteresowane z nieznanych dla mnie przyczyn.

Jak tłumaczy pan polityczny „lewoskręt”, który dokonał się w czasie tych wyborów?

Interpretuję to skrajnie odmiennie. Moim zdaniem nie było żadnego „lewoskrętu”. W ramach tej „totalnej opozycji” – jak pan to nazywa – dokonał się „prawoskręt”. Proszę zobaczyć, co się stało. Skrajni lewacy stracili dużą część posłów. W nowym Sejmie będzie za to 65 posłów Trzeciej Drogi, która w opozycji totalnej odgrywa rolę prawej strony.

W tym układzie

powiedzieć można, że momentum przesunęło się na prawo. Podobnie jeśli chodzi o drugą część sceny, bo wzrost Konfederacji jest minimalny, ale jednak jest to wzrost – liczba jej posłów z 11 wzrosła do 18. Paradoksalnie, choć układ rządzący prawdopodobnie będzie inny, to okazało się, że jazda na skrajnie lewackich hasłach nie przyniosła Lewicy dobrych efektów. Są analizy wskazujące, że wewnątrz samej lewicy dobry wynik osiągnęła partia Razem, ale kilku lewicowych radykałów spoza Razem, jak pan Gdula, do Sejmu się nie dostało. Jeśli spojrzeć na te wybory pod mikroskopem, to wyłania się inny obraz niż wyborczy banał.

Mówi pan, że „lewoskrętu” nie było, a typowany na nowego premiera Donald Tusk grzmi, że liberalizacja prawa do aborcji to absolutnie priorytetowa sprawa dla nowego rządu.

Poczekajmy, zobaczymy. Już wiadomo, że lider PSL Kosiniak-Kamysz zastrzegł, że ta kwestia nie będzie przedmiotem umowy koalicyjnej. A jeżeli nie będzie to przedmiotem umowy koalicyjnej, kiedy będą zmuszeni do głosowania tak, jak sobie Tusk zażyczy, to sprawa upadnie.

Z Tomaszem Sommerem, redaktorem naczelnym tygodnika „Najwyższy Czas!” rozmawia Ryszard Gromadzki



Strategia koryta

Różnice w sprawach światopoglądowych między Platformą, Lewicą a Trzecią Drogą mogą skomplikować plan powołania takiej koalicji?

Nie będzie łatwo. PiS był organizacją narodowosocjalistyczną, jakkolwiek to brzmi. Teraz będziemy mieli do czynienia z organizacją lewacko-chadecką. Dawniej funkcjonował u nas klasyczny podział na

tw. lewicę pobożną i lewicę bezbożną, teraz mamy „lewicę bezbożno-pobożną” – której część „pobożną” stanowią PSL i środowisko Hołowni, bez względu na to, jak oceniać ich wiarę i związek z Kościołem – oraz „lewicę skrajnie bezbożną”.

Neobolszewicką, mówiąc bez ogródek.

Dokładnie. Tak czy owak to zdecydowanie większy dysonans niż ten, który miał miejsce w narodowosocjalistycznym PiS, który to trzeba zaliczyć jednak do „lewicy pobożnej”.

Różnice różnicami, ale chyba ponad nimi jest głód władzy. Po ośmiu latach czekania ten głód musi być w końcu zaspokojony.

Tak, „koryta” potrafi łączyć ponad podziałami. Chodzi o pieniądze i inne apanaże związane ze sprawowaniem władzy. Opozycja jest wygodnia, bo przez osiem lat nie mogła konsumować. Zgadza się, że na pewno krótkoterminowo ta konsumpcja ich zjednoczy. Później następuje proces „betonizacji”, że tak to określe, czyli jak już pewna grupa dojdzie do „koryta”, co zresztą doskonale widać było także w czasie rządów PiS, to zaczyna działać stabilizująco. Wynika to z tego, że grupa konsumująca zrobi wszystko, żeby ta konsumpcja nie została przerwana. Żeby przekształciła się w długoterminowy proces, najlepiej rozpisany na lata. Dlatego konsekwentnie w czasie drugiej kadencji PiS brałem w duży nawias wszystkie informacje o sporach w obozie władzy i straszenie przedterminowymi wyborami.

Siła „koryta” robi swoje...

Betonizująca siła „koryta” jest rzeczywiście ogromna. Po prostu ci ludzie, którzy są przy pieniądzu, nie dopuszczają do tego, żeby to stracić. Oczekuję z ciekawości entomologa – że się tak wyrażę – żeby zobaczyć, jakiego rodzaju ruchy nastąpią. Nie wykluczam nagłych konwersji na lewackość w niektórych zarządach spółek państwowych i różnych innych instytucjach. Będziemy prawdopodobnie mieli do czynienia z takimi procesami, więc warto się nad nimi pochylić, kiedy zaczną się ujawniać. To może być naprawdę zabawne.

Wydaje się, że najbardziej prawdopodobnym scenariuszem jest wyłonienie nowej większości rządowej, ale ze strony PiS cały czas wyrażana



jest gotowość rozmów z PSL. Ba, słyszymy nawet o zaofiarowaniu stanowiska premiera Kosiniakowi-Kamyszowi w zamian za zmianę frontu przez PSL. To realny wariant?

To prawdopodobne. Kosiniak-Kamysz niedwuznacznie dał do zrozumienia, że taka posada go interesuje. PiS ma prostą opcję: albo zachować dostęp do połowy melasy w „korycie”, albo zrezygnować z tej melasy w ogóle. Poza tym spójność PSL z PiS jest wbrew pozorom większa niż jego spójność z lewactwem. Czego by nie mówić o PSL, jest to jednak „lewica pobożna”.

Jednak przecież w ciągu ponad 30 lat tzw. transformacji w Polsce PSL nigdy nie zdecydowało się na taki zwrot, o którym teraz mówimy. Dlaczego miałyby zrobić to teraz?

Jestem przekonany, że podstawą są tutaj warunki finansowe. Jest pytanie o kwestię tzw. bezpieczeństwa – czyli tego, jak będzie zagospodarowana sprawa resortów siłowych, bo to one decydują o dużej części rzeczywistości – zarówno jeśli chodzi o pieniądze, jak i wiedzę czy inne istotne działania. Moim zdaniem w tym obszarze rozstrzygnie się gra. PiS, chcąc utrzymać się przy władzy, nawet dając Kosiniakowi-Kamyszowi stanowisko premiera, prawdopodobnie nie będzie chciał z tych resortów zrezygnować. Ponadto Platforma też nie będzie chciała im tego dać. Ktoś być może będzie musiał się posunąć. PSL ma naprawdę dobrą pozycję wyjściową.

Może podbijać stawkę i spokojnie czekać, kto da więcej?

Może grać z każdym. To skutek ewidentnie dobrego z ich punktu widzenia ruchu, którym było połączenie sił z Hołownią w ramach Trzeciej Drogi. Przejęli rolę jęczyczka u wagi, którą miała odgrywać Konfederacja, ale niestety zepsuła kampanię. Teraz wszystko zależy od tego, jakie umiejętności handlowe posiadają i na ile partnerzy będą w stanie się przesunąć. Ostatnie doświadczenie tego rodzaju ruchów, np. w Izraelu, pokazuje, że polityczne licytacje doszły tam do punktu, w którym ich uczestnicy nie mogli się już dolicytować i robili rządy na zmianę. Najpierw przez dwa lata miał być premier z jednej partii, później przez dwa lata premierem miał być polityk drugiej partii. W tym czasie zaczęli się oszuki-

wać, w efekcie czego do władzy wrócił Netanjahu.

Myśli pan, że izraelski model byłby do skopiowania w polskich warunkach?

Myślę, że gdyby politycy nie mogli się porozumieć – a taki model gdzieś by zaistniał – to dlaczego nie? Sytuacja jest naprawdę ciekawa. Proszę zwrócić uwagę, że ta zwiększona frekwencja w ostatnich wyborach, wbrew mantrom powtarzanym przez lata, doprowadziła do depolaryzacji, a nie polaryzacji sceny politycznej. Cztery lata temu PiS i KO miały w sumie 71 proc. głosów, w tych wyborach nieco ponad 66 proc. Istotnie mniej.

Co było przyczyną nieudanej kampanii Konfederacji?

Na taki efekt złożyło się wiele czynników. Pierwszy z nich to nieumiejętność utrzymania fali wzrostu, która trwała do lipca, windując wynik Konfederacji do

Politycy PSL przejęli rolę jęczyczka u wagi, którą miała odgrywać Konfederacja, ale niestety zepsuła kampanię

poziomu 15,6 proc. W tym momencie pojawili się Wipler, Banaś czy Siarkowska. Zaczęły się jakieś dziwne sytuacje. Na to wszystko elektorat zareagował natychmiast odrzuceniem. W ciągu miesiąca notowania spadły o 5 punktów procentowych. Wszystko to, co udało się uzyskać wcześniej, zostało zmarnowane.

Wyborcy Konfederacji poczuł w pewnym momencie, że jej antysystemowy przekaz został rozwodniony?

Został zniwelowany entuzjazm. Wyborcy bardzo często polegają na wzbudzeniu dobrej emocji. I ta dobra emocja niesie. Kiedy pojawia się zła emocja, szybko wypiera tę dobrą i w efekcie fala wznosząca zaczyna się cofać. Tę złą emocję wywołało pojawienie się osób, o których mówiłem. Później, niestety, swoje zrobiły dywagacje Korwin-Mikkego i odcinanie się od tych dywagacji. Nie wiem, co było gorsze: czy same dywagacje, czy odcinanie się od

nich. To musiało odbić się na zaufaniu ze strony wyborców.

Czy ten efekt nie został dodatkowo pogłębiony po ujawnieniu tzw. taśm Banasia?

„Taśmy Banasia”, moim zdaniem, mogły zdecydować o tym, że Konfederacja straciła kluczowy procent poparcia, co zasadniczo rzutuje na jej wynik. Nagle się okazało, że zamiast mocnych 8 czy 9 proc. głosów jest 7 proc. z niewielkim haczykiem. „Taśmy Banasia” neglizowały czyjeś zamiary w bardzo nieprzyjemny sposób. Ale to była konsekwencja procesu, który rozpoczął się pod koniec lipca, kiedy Banaś się pojawił. Mam na myśli m.in. słynną konferencję z Banasiem seniorem. Moim zdaniem takich rzeczy nie powinno się robić, bo to może przynieść tylko straty – i tak się stało.

Sąd partyjny Konfederacji zdecydował o zawieszeniu Korwin-Mikkego i usunął go z Rady Liderów tego ugrupowania. Komentując tę decyzję, Krzysztof Bosak powiedział, że oznacza ona dopełnienie zmiany pokoleniowej w Konfederacji. Interpretacja Bosaka pana przekonuje?

To szukanie kozła ofiarnego. Jak powiedziałem wcześniej – przyczyn porażki Konfederacji było więcej. Nie można tego sprowadzać do wypowiedzi Korwin-Mikkego. Gdyby nie było reakcji, te wypowiedzi by się nie przebiły. Tymczasem sztab Konfederacji dał się „wkręcić”. Było kilka medialnych występów, w których czasie przedstawiciele Konfederacji rytualnie odcinali się od słów Korwin-Mikkego. Pierwsze pytanie w programie Olejnik dotyczyło tej sprawy. W sytuacji, która powstała, nie należało iść do TVN. Wizyta u Olejnika spowodowała gorszy efekt niż brak tej wizyty. To elementarz wyborczy. Nie idzie się do dziennikarzy, którzy w istocie są politrukami największego wroga.

Czy decyzja o zawieszeniu Korwin-Mikkego oznacza jego definitywny rozbrat z Konfederacją?

To pytanie do niego, bo ta decyzja była dość zaskakująca. Gdyby to było 10 lat temu, sytuacja byłaby pewnie jasna. Korwin-Mikke ma 81 lat. To sprawia, że zaangażowanie się w budowę jakiegoś nowego bytu politycznego jest bardzo trudne. Nie bez powodu rok temu przekazał władzę w partii, myśląc, że przekazuje ją w dobre ręce w celu rozwoju tego środowiska.



Mosad nie taki potężny



Witold Repetowicz

Izraelskie służby specjalne dotąd uchodziły za jedno z najlepszych na świecie. Jednak fakt, że państwo to było całkowicie nieprzygotowane na brutalny i krwawy atak Hamasu, poważnie naruszył ten obraz. Po zakończeniu działań zbrojnych Izrael czekać rozliczenia, ale już obecnie pojawiają się doniesienia o lekceważeniu sygnałów ostrzegawczych. Upadek mitu potężnego Mosadu może sam w sobie stanowić zagrożenie dla Izraela

Po spektakularnym ataku Hamasu na Izrael, w którym zamordowanych zostało ponad 1 tys. osób, pojawiła się fala komentarzy, w których wyrażane było zdumienie, że ciesząc się legendarną wręcz sławą najskuteczniejszych na świecie służby izraelskie do tego dopuściły. Chodzi tu przede wszystkim o najsłynniejszy z nich Mosad. Izraelskie służby specjalne składają się z trzech części: wywiadu cywilnego, czyli osławionego Mosadu, wewnętrznej służby bezpieczeństwa Szin Bet oraz wywiadu wojskowego, czyli Amanu, ale w powszechnej percepcji istnieje przede wszystkim Mosad. Jeden z byłych szefów tej instytucji Dani Jatom ocenił, że izraelski wywiad nie miał zielonego pojęcia o planie ataku i dlatego „wszystko poszło źle”. Jatom porównał tę porażkę do zaskoczenia Izraela przez Egipt i Syrię w ataku rozpoczynającym wojnę Jom Kippur, które miało miejsce – jak się wyraził – „50 lat i jeden dzień wcześniej”, i dodał, że jest ona tym większa, że wiadomo było o przeprowadzanych ćwiczeniach Hamasu. Ponadto wielu komentatorów wskazywało, że świetnie zorganizowana akcja Hamasu dowodzi również wielkiego sukcesu wywiadowczego tej terrorystycznej organizacji. Hamas musiał przecież

Atak bojowników Hamasu kompletnie zaskoczył mieszkańców i służby Izraela

FOT. SALAMPRIX/ABACA/PAP

■ rozpoznać teren, by dokonać błyskawicznego ataku, osiągnąć cele i powrócić z „łupem” w postaci zakładników.

W mediach światowych pojawiło się więc wiele analiz, w których próbowano odpowiedzieć na pytanie, dlaczego do tego doszło. Dlaczego „najlepszy wywiad świata” zawiódł, wystawiając w ten sposób niczego niespodziewających się Izraelczyków na rzeź z rąk terrorystów? Odpowiedź nie jest jednak taka prosta, zwłaszcza że pytań jest więcej. Chodzi m.in. o pytanie o kondycję izraelskiego społeczeństwa, które – zdaniem niektórych – zgnuśniało, gdyż przestało żyć w stanie ciągłego zagrożenia terrorystycznego. Inni wskazywali też na to, że ostry polityczny konflikt, w którym Izrael znalazł się w ostatnich miesiącach, odwrócił uwagę polityków od zagrożenia.

Kolejne pytanie, które się pojawiło, to to, czy siła Hamasu nie była niedoceniana, a zdolności obronne Izraela, zwłaszcza Żelazna Kopuła i Proca Dawida, przeceniane, powodując złudne poczucie fałszywego bezpieczeństwa. Przede wszystkim jednak warto zadać pytanie: Czy sława Mosadu była zasłużona czy też była bardziej mitem?

Mosad powstał w 1949 r., a jedną z jego najbardziej spektakularnych akcji było zorganizowanie serii zamachów na osoby uznane za odpowiedzialne za zamach na izraelskich sportowców na olimpiadzie w Monachium w 1972 r. Operacja ta nosiła kryptonim Gniew Boga, a jej „polskim akcentem” była strzelanina w hotelu Victoria Intercontinental w Warszawie, do której doszło 1 sierpnia 1981 r. Celem był Abu Dawud, czyli Mohammad Dawud Oudeh, jeden z założycieli palestyńskiego Fatahu i mózg akcji terrorystycznej w Monachium. Tu jednak Izraelczycy nie osiągnęli sukcesu, bo Abu Dawud, z siedmioma kulami w swoim ciele, przeżył i zmarł dopiero w 2010 r. Inni nie mieli tyle szczęścia. Ali Hassan Salameh aka „Czerwony Książę”, stojący na czele elitarnego oddziału uderzeniowego Organizacji Wyzwolenia Palestyny o nazwie Brygada 17, został dorwany w Bejrucie w styczniu 1979 r. Do jego samochodu doczepiono 100-kilogramowy ładunek wybuchowy, a w eksplozji poza celem zginęło też czterech jego ochroniarzy oraz czterech przechodniów. Wszyscy agenci Mosa-

du zaangażowani w operację, w tym kierujący nią i obserwujący przebieg z łodzi na bejruckim nabrzeżu Michael Harari, zdołali opuścić Liban. Wcześniej jednak Harari zaliczył „wpadkę”, gdy w lipcu 1973 r. w norweskim Lillehammer nadzorował polowanie na Salameha. Problem w tym, że agenci izraelscy pomylili się i zamiast „Czerwonego Księcia” zastrzelili Bogu ducha winnego marokańskiego kelnera Ahmeda Bouchikiego, którego jedyną „winą” było to, że był podobny do ściganego terrorysty. Z 15-osobowej ekipy Mosadu dziewięć osób zdołało uciec, ale sześciu agentów

Dlaczego „najlepszy wywiad świata” zawiódł, wystawiając Izraelczyków na rzeź z rąk terrorystów?

zostało schwytanych przez norweskie służby. Do 1975 r. wszyscy zostali jednak zwolnieni i wrócili do Izraela, niemniej odbiło się to mocno na reputacji Mosadu. Izrael nigdy nie wziął odpowiedzialności za zabójstwo Bouchikiego, ale wypłacił jego rodzinie 400 tys. dol.

„GNIEW BOGA”

W 2005 r. Steven Spielberg nakręcił głośny film „Monachium” oparty na faktach związanych z operacją „Gniew Boga”. Nie był to jedyny hit filmowy lub serialowy związany z działaniami Mosadu. W 2019 r. Netflix wyprodukował serial „Szpieg” ze znanym dotąd głównie z ról komediowych Sachą Baronem Cohenem w tytułowej roli izraelskiego superszpiega Eli Cohena. Ten urodzony w Egipcie Żyd w 1960 r. „stał się” Kamelem Aminem Tabetem, bogatym Libańczykiem syryjskiego pochodzenia i obywatelem Argentyny. W Buenos Aires poznał Amina al-Hafiza, który w 1963 r. przejął władzę w Syrii w wyniku zamachu stanu, i zaprzyjaźnił się z nim. Znajomość ta dała Cohenowi możliwość zawarcia znajomości z politycznymi i wojskowymi elitami wrogiej wobec Izraela Syrii, a przez to uzyskał on dostęp do wielu bezcennych informacji. W styczniu 1965 r. został jednak zdekonspirowa-

ny, schwytany i powieszony w publicznej egzekucji.

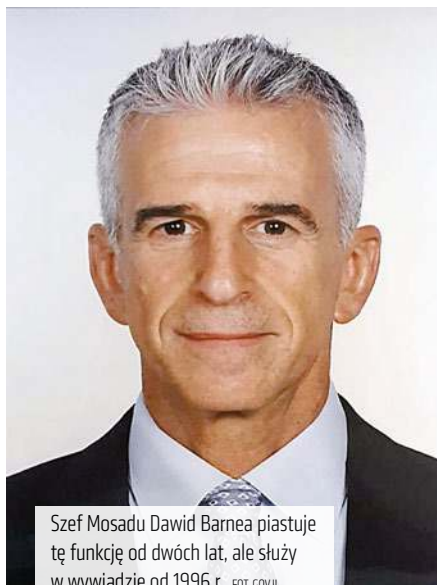
Ekranizacji doczekała się też inna globalna akcja Mosadu, tj. operacja „Garibaldi”, która miała miejsce w 1960 r. Chodzi o porwanie Adolfa Eichmanna w Buenos Aires, przeprowadzone przez osmioosobowe komando złożone zarówno z agentów Mosadu, jak i Szin Bet, kierowane przez Rafiego Eitana. Zakończoną pełnym sukcesem i wywiezieniem nazistowskiego zbrodniarza do Izraela doprowadziło jednak do spięcia dyplomatycznego, gdyż stanowiło oczywiste pogwałcenie suwerenności Argentyny. Izrael utrzymywał zatem, że była to prywatna akcja. Mimo to Argentyna skierowała skargę do Rady Bezpieczeństwa ONZ, która przyjęła rezolucję potępiającą działanie Izraela. Nawiasem mówiąc, od głosu wstrzymała się wówczas Polska (oraz ZSR). Izrael szybko jednak dogadał się z Argentiną i nie wpłynęło to negatywnie na wzajemne stosunki. Niemniej współpraca argentyńsko-izraelska nie zapobiegła dwóm krwawym atakom przeciwko żydowskim celom w tym południowoamerykańskim kraju. W 1992 r. Hezbollah uderzył na ambasadę Izraela w Buenos Aires, powodując śmierć 29 osób, a dwa lata później doszło do zamachu na centrum żydowskie w argentyńskiej stolicy, w którym zginęło 86 osób. Po latach okazało się, że ówczesny szef Mosadu Szabtai Szawid otrzymał ostrzeżenie o zamachu, ale skupił się na działaniach Iranu, a nie Hezbollahu.

IGNOROWANIE PRAWA? NORMA DLA MOSADU

Ignorowanie prawa międzynarodowego przy operacji porwania Eichmanna nie było wyjątkiem w działaniach Mosadu, lecz stało się normą. Bez tego zresztą nie byłby tak skuteczny, a to, że zaliczał też wpadki, nie przyćmiewało jego sławy. Zresztą największa dotąd kompromitacja izraelskiego wywiadu, czyli przeoczenie ataku Egiptu i Syrii w Jom Kippur 1973 r., nie było winą Mosadu, lecz szefa Amanu, czyli wywiadu wojskowego, gen. Eliego Zeiry, który zignorował sygnały dotyczące możliwego ataku. Ówczesny szef Mosadu, Cewi Zamir, wprawdzie ustąpił ze stanowiska, ale reorganizacja izraelskich służb specjalnych doprowadziła do zwiększenia kompetencji Mosadu.

Pięć lat wcześniej ogromnym sukcesem Mosadu, osiągniętym oczywiście przy pogwałceniu prawa międzynarodowego, była operacja „Plumbat”, czyli przejęcie w 1968 r. transportu uranu, który następnie został wykorzystany do uzyskania przez Izrael broni jądrowej. Brawurowy charakter miała też akcja na ugandyjskim lotnisku Entebbe w nocy z 3 na 4 lipca 1976 r., nosząca kryptonim Piorun, ale znana również pod nazwą Jonatan, od imienia dowódcy. Był nim starszy brat obecnego premiera Izraela, płk Jonatan Netanjahu, który zresztą zginął w trakcie tej operacji. Jej celem było uwolnienie 106 zakładników przetrzymywanych na lotnisku w stolicy Ugandy. Wcześniej grupa terrorystów, złożona z Palestyńczyków i niemieckich lewaków, porwała francuski samolot z 248 pasażerami i 12-osobową załogą, lecący z Tel Awiwu do Paryża. Porywacze byli w zмовie z ówczesnym dyktatorem Ugandy, słynącym z okrucieństwa Idim Aminem, który wsparł ich 100-osobowym oddziałem wojska, wysłanym na lotnisko. Terrorysty zwolnili 148 pasażerów niemających obywatelstwa izraelskiego lub żydowskiego pochodzenia, a następnie zażądali od Izraela zwolnienia 40 więźniów palestyńskich, a dodatkowo uwolnienia 13 innych więźniów z czterech kolejnych państw. Izrael pozornie się zgodził na spełnienie tych warunków, ale jednocześnie zdecydował o przeprowadzeniu operacji specjalnej, której plan opracowany został przez Mosad. W rezultacie 100-osobowy oddział komandosów, dzięki wsparciu ze strony Kenii, uwolnił 102 zakładników spośród 106 (trzech zginęło w strzelaninie, a jedna osoba została wcześniej wzięta do szpitala w Kampali i potem zamordowana). Zabici zostali również wszyscy porywacze oraz 45 żołnierzy ugandyjskich, a na dodatek zniszczono kilkanaście ugandyjskich samolotów. Również w tym wypadku sprawa trafiła następnie do Rady Bezpieczeństwa ONZ, gdyż Organizacja Jedności Afrykańskiej domagała się potępienia Izraela za „agresję”. Wniosek jednak przepadł.

Na motywach tej akcji powstało kilka książek i filmów. Prawdopodobnie nie była to przy tym jedyna operacja Mosadu, w której doszło do współpracy z Kenią. Do dziś nie jest bowiem jasny udział



Szef Mosadu Dawid Barnea piastuje tę funkcję od dwóch lat, ale służy w wywiadzie od 1996 r. FOT. GOVIL

Mosadu w porwaniu lidera Partii Pracujących Kurdystanu Abdullaha Ocalana, do którego doszło 15 lutego 1999 r. Szczegóły tej jednej z najgłośniejszych operacji specjalnych XX w. nie są znane, a oficjalna wersja mówi, że przeprowadziły ją tureckie służby, przy wsparciu ze strony CIA. Od samego początku były jednak spekulacje co do współudziału izraelskich służb, a błyskawiczne dementi Izraela, wydane dzień po akcji, jeszcze bardziej uprawdopodobniły tę wersję. Brytyjski dziennikarz śledczy Gordon Thomas utrzymywał w swojej książce „Szpiedrzy Gideona”, że Mosad nie tyle pomagał w operacji, ile ją po prostu w całości przeprowadził. Izrael miał wtedy świetne relacje z Turcją, która obecnie popiera Hamas. Wówczas jednak premierem Turcji był kemalistowski polityk Bulent Ecevit, a obecny prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan siedział w więzieniu jako islamski ekstremista. Co ciekawe, premierem Izraela był Benjamin Netanjahu. Agenci Mosadu mieli, na prośbę Turków, tropić Ocalana od listopada 1998 r., a po zlokalizowaniu go w Nairobi wtargnąć do domu ambasadora Grecji, w którym przebywał, a następnie wywieźć go na lotnisko Wilsona i wsadzić do wcześniej przygotowanego samolotu biznesowego Falcon-900, a na koniec, po potwierdzeniu tożsamości (przez przefaksowanie odcisków palców), przekazać Turkom.

WSPÓŁPRACA Z CIA

Mosad bardzo często współpracował z innymi służbami specjalnymi. W szczególności dotyczy to oczywiście

najważniejszego sojusznika, czyli USA i Centralnej Agencji Wywiadowczej. Obie agencje powstały w tym samym czasie: CIA w 1947 r., a Mosad w 1949 r. Początkowo Amerykanie niezbyt ufali Izraelczykom, gdyż większość elit Państwa Żydowskiego pochodziła z państw bloku sowieckiego, w tym z terenów ZSRS, a także oczywiście z Polski. Na przykład Isser Harel, który był drugim dyrektorem Mosadu w latach 1952–1963, urodził się w 1912 r. w Witebsku, a czwarty, Cewi Zamir (dyrektor w latach 1968–1974), w 1925 r. w Polsce. Ponadto ścisły sojusz amerykańsko-izraelski rozwinął się dopiero w latach 60. – po tym, jak w wyniku rewolucji do władzy w wielu państwach arabskich doszły ugrupowania prosowieckie. Kluczową rolę w rozwoju współpracy między CIA a Mosadem odegrali szef kontrwywiadu CIA w latach 1954–1975 John Jesus Angleton oraz szef CIA w latach 1981–1987 William Casey. Angleton mocno przyczynił się do zabezpieczenia Mosadu przed infiltracją przez agentów sowieckich. Natomiast jedną z ujawnionych wspólnych operacji CIA i Mosadu za czasów Caseya było przeprowadzenie udanej akcji ratunkowej przez Mosad, w związku z porwaniem przez prosowiecką grupę w Etiopii ważnego agenta CIA. W 1985 r. obie agencje nieskutecznie próbowały uwolnić szefa placówki CIA w Bejrucie Williama Buckleya, który został porwany, a następnie zabity przez Islamski Dżihad. Z kolei w 1978 r. były szef wywiadu Sił Powietrznych USA, gen. George F. Keegan, ocenił, że żadne inne źródło, w tym obserwacja satelitar-na czy współpraca z innymi krajami, nie odegrała tak dużej roli dla bezpieczeństwa USA jak informacje uzyskane od Mosadu.

Amerykańsko-izraelska współpraca wywiadowcza nie obyła się jednak bez zgrzytów. Najgłośniejszym była afera związana z analitykiem CIA, mającym pochodzenie żydowskie, Jonathanem Pollardem. W czerwcu 1984 r. z własnej inicjatywy skontaktował się z Izraelczykami, oferując im, że będzie dla nich pracował jako szpieg, po czym zaczął wnosić tajne dokumenty i przekazywać je Izraelowi. Gdy wpadł w końcu 1985 r. i próbował uciec do ambasady Izraela w Waszyngtonie, nie został do niej wpuszczony, a Izrael próbował

przekonać Amerykanów, że jego zwerbowanie było samowolką agenta Mosadu. Izrael przyznał się dopiero w 1998 r., a w 2020 r. Pollard, wypuszczony z więzienia w 2015 r., wyjechał do Izraela, gdzie osobiście został przywitany przez Netanjahu.

Międzynarodowych skandali związanych z działalnością Mosadu było znacznie więcej. Jedną z pierwszych wpadek Mosadu było schwytanie przez władze Egiptu w 1954 r. komórki tamtejszych Żydów organizujących na zlecenie Izraela zamachy na miejsca odwiedzane przez osoby z Zachodu, by w ten sposób skompromitować Egipt. Znacznie poważniejszy incydent zdarzył się jednak we wrześniu 1997 r., gdy Netanjahu, będący również wówczas premierem, wysłał grupę agentów Mosadu do Jordanii, by zabili przebywającego w Ammanie ówczesnego lidera Hamasu, Chaleda Maszala. Udający kanadyjskich turystów Izraelczycy zdołali zaskoczenia wpuścić do jego ucha silnie trującą substancję, ale zostali schwytani. Jordania raptem trzy lata wcześniej zawarła traktat pokojowy z Izraelem, stając się drugim po Egipcie państwem arabskim, które nawiązało z nim stosunki dyplomatyczne. Jordański król Husejn zagroził wówczas, że historyczne porozumienie zostanie zerwane, jeśli Izrael natychmiast nie przyśle antidotum. Zrobił to osobiście ówczesny dyrektor Mosadu Dani Jatom, ale to nie wystarczyło, by Jordania wypuściła schwytanych agentów. Izrael musiał jeszcze uwolnić dużą liczbę palestyńskich więźniów, w tym duchowego przywódcę Hamasu Ahmeda Jasina, skazanego w 1989 r. na dożywocie za zlecenie zabójstw Palestyńczyków oskarżanych o współpracę z Izraelem. Siedem lat później, gdy wczesnym rankiem Jasin udał się na modlitwę w swoim domu w Gazie, trafiła go rakietą Hellfire wyrzuciona z wysłanego na specjalną misję izraelskiego helikoptera. Natomiast Maszał w 1999 r. został wygnany z Jordanii i ostatecznie osiadł w katarskiej Dosze, skąd po rozpoczęciu toczącej się obecnie wojny zaapelował do wszystkich muzułmanów na świecie do przystąpienia do dżihadu przeciwko Izraelowi i jego sojusznikom.

Do niedawna jedną z najmniej znanych kart w historii Mosadu była rola

Kadr z filmu „Monachium”, opartego na faktach związanych z operacją „Gniew Boga” FOT. MATERIAŁY PRASOWE



kobiecych agentek znanych jako lohemet. Jedną z bardziej znanych była Marcelle Ninio, młoda Żydówka z Kairu, żarliwa zwolenniczka syjonizmu, która w 1952 r. została zwerbowana przez agenta Mosadu Awrahama Dara. Należała do owej grupy atakującej miejsca odwiedzane przez Europejczyków. Gdy wpadła w 1954 r., okazało się, że Mosad nie zaplanował żadnej ewakuacji. W więzieniu poddana została takim torturom, że usiłowała popełnić samobójstwo, wyskakując przez otwarte okno z drugiego piętra. Przeżyła jednak i spędziła kolejne 14 lat w więzieniu. Po normalizacji relacji Egiptu z Izraelem została wypuszczona i pozwolono jej wyjechać do Izraela, gdzie otrzymała stopień podpułkownika. Inna agentka, Inszrah Szahin, nie mogła jednak liczyć na uznanie Izraela, bo nie była Żydówką, lecz rodowitą Egipcjanką. Wraz z mężem Ibrahimem, skazanym po wpadce w 1974 r. na śmierć, szpiegowała dla Izraela od 1967 r., przy czym robiła to

dla pieniędzy. Jak sama później twierdziła, to jej mąż wysłał do Izraela informacje o przygotowaniach do ataku w Jom Kipur, zlekceważone przez Aman. Po kilku latach spędzonych w więzieniu została uwolniona w ramach wymiany więźniów i wyjechała do Izraela, gdzie przeszła na judaizm i przyjęła nazwisko Dina Ben-Dawid, ale jedyne, na co mogła poza tym liczyć, to praca kucharki za 500 dol. miesięcznie.

SPECJALNOŚĆ: ZABÓJSTWA

Jedną ze specjalności Mosadu zawsze było dokonywanie zabójstw wrogów Izraela, przede wszystkim terrorystów, ale nie tylko. Instytucja ta odpowiedzialna jest prawdopodobnie (nigdy się nie przyznała) za serię zabójstw irańskich naukowców zaangażowanych w program nuklearny tego kraju. Większość z nich zginęła w wyniku eksplozji po przyłączeniu ładunku wybuchowego do samochodu. Intensywna działalność



kogoś przez pomyłkę, ktoś ich pociągnie do odpowiedzialności.

Profesor Marek Górka, autor wydanej w 2015 r. książki o Mosadzie, zwraca uwagę na to, że mit Mosadu jako „wszechwiedzącej i wszechobecnej organizacji, analogicznej do ośmiornicy z mackami, mogącymi sięgnąć do każdego miejsca i każdego przypadku na świecie” został do pewnego stopnia sztucznie wykreowany przez istniejącą w świecie muzułmańskim „tendencję, aby każdy zamach lub tragiczne wydarzenie przypisać Mosadowi”. W rzeczywistości jednak Mosad zawsze miał na swoim koncie również wpadki, w tym kompromitujące. Górka wskazywał też, że w interesie Izraela jest, by Mosad wyzbył się przekonania o swojej wyższości i wyeliminował brawurę, arogancję oraz rutynę ze swych działań. Nie wydaje się, by to zostało zrealizowane, i jest to zapewne jeden z powodów najbardziej tragicznej dla Izraela kompromitacji wywiadowczej w historii tego państwa, której skutkiem była masakra 7 października i tocząca się w jej wyniku wojna.

Izrael z całą pewnością czekał na rozliczenia, ale nastąpią one po wojnie. Zapewne, podobnie jak było po wojnie Jom Kippur, zostanie powołana komisja śledcza i spadną głowy szefów wszystkich służb wywiadowczych. A także szefa wszystkich szefów, czyli Beniamina Netanjahu. Interesującym faktem jest przy tym to, że spośród 13 dyrektorów Mosadu aż sześciu podlegało w różnych okresach obecnemu premierowi, a trzech on mianował. Obecny, Dawid Barnea, piastuje tę funkcję od dwóch lat, ale służy w wywiadzie od 1996 r. Podobnie jak w 1973 r. bardziej krytykowany jest jednak Aman, kierowany także od dwóch lat przez gen. Aharona Halivę.

WYWIAD WCALE NIE ZAWIÓDŁ?

Istnieje kilka wyjaśnień tego, co się stało 7 października. Według jednej z wersji wywiad wcale nie zawiódł, a do Netanjahu dotarło ostrzeżenie od służb egipskich, ale zostało zignorowane. Taką informację podał dziennik „Haaretz” i choć sam Netanjahu ją szybko zdementował, to później potwierdził ją przewodniczący komisji spraw zagranicznych amerykańskiej Izby Reprezentantów Michael McCaul.

Izrael z całą pewnością czekał na rozliczenia, ale nastąpią one po wojnie

Jeśli to prawda, to powodem mogła być obawa, że konieczność podjęcia jakichś działań wyprzedzających w Strefie Gazy zaszkodzi staraniom o doprowadzenie do normalizacji stosunków z Arabią Saudyjską. A to była idee fixe izraelskiego premiera. Są jednak również takie opinie, że Izrael, choć wiedział o ćwiczeniach przeprowadzanych przez Hamas przy granicy, to uznał, że organizacja ta jest zbyt słaba i nie odważy się podnieść ręki na „potęgę” państwa żydowskiego. Tymczasem to państwo znajdowało się od wielu miesięcy w stanie postępującego rozkładu. Plan reformy sądownictwa doprowadził do największej w jego dziejach polaryzacji społeczeństwa, a przez cały kraj przetaczały się największe w historii demonstracje, rezerwiści zaczęli strajkować, a chaos w instytucjach bezpieczeństwa pogłębiany był konfliktami między ministrem obrony Joawem Gallantem a ministrem bezpieczeństwa wewnętrznego Itamarem Ben-Gewirem. Ten ostatni, a także nadzorujący siłami Izraela na Zachodnim Brzegu Becalel Smotricz to żydowscy ekstremiści i antyarabscy rasiści. Były dyrektor Mosadu Tamir Pardo miesiąc przed atakiem Hamasu oskarżył rząd o wprowadzanie antypalestyńskiego apartheidu. Tymczasem skuteczność Mosadu zawsze zależała od dobrej współpracy z partnerami, w tym wypadku służbami Jordanii, Egiptu i Autonomii Palestyńskiej. Smotricz i Ben-Gewir nie stanowili zachęty do takiej współpracy.

Mosad długo będzie musiał odbudowywać swoją renomę i nie ma gwarancji, że mu się to w ogóle uda. Wpłynie to negatywnie na jego możliwości operacyjne. Wybitny amerykański politolog Hans Morgenthau przestrzegał, by niczego w stosunkach międzynarodowych nie traktować jako wartość stałą. I pasuje to jak ulał do skuteczności izraelskich służb wywiadowczych, zarówno tej realnej, jak i wyobrażonej.

szpiegowska Izraela w Iranie prawdopodobnie opiera się na współpracy Mosadu z antyreżimowymi grupami, w tym takimi jak oskarżani o terroryzm Mudżahedini Ludowi. Nie byli to zresztą jedyni kontrowersyjni partnerzy Mosadu, gdyż współpracował on również z służbami RPA w okresie, gdy państwo to było izolowane ze względu na apartheid, a także z mającym złą sławę irańskim SAVAK-iem za czasów rządów szacha. Fundamentalną zasadą Mosadu było bowiem zawsze kierowanie się interesem Izraela bez zważania na prawo, moralność czy lojalność wobec sojuszników. Nie zawsze jednak było to rzeczywiście z korzyścią dla Izraela, jak pokazuje przykład z próbą otrucia Maszala. Swobodzie działania agentów Mosadu sprzyjało też niewątpliwie to, że w przeciwieństwie do Amanu podlega on wyłącznie premierowi i nikto, włączywszy Kneset, nie ma nad nim kontroli. Agenci nie musieli się zatem nigdy obawiać, że za to, iż zabiją

Od lat powtarzam, że wielką korzyścią dla polskiej demokracji byłaby reforma wieku wyborczego: mężczyźni głosowaliby kilka lat później, a kobiety kilka lat wcześniej” – powiedział w wywiadzie na łamach „Wysokich Obcasów” prof. Przemysław Sadura, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego. Rozmowa ukazała się nieco ponad tydzień przed wyborami parlamentarnymi i była jedną z wielu emanacji przedwyborczego stanu środowiska liberalno-lewicowego. Strach przed możliwym rządem PiS i Konfederacji mieszał się z ideologicznym wzmożeniem. Dziś już wiemy, że kobiety do urn poszły tłumnie. Być może nie zagłosowały dokładnie tak, jak życzyłyby tego sobie prof. Sadura i jemu podobni (jak podał Ipsos, 36,5 proc. kobiet postawiło na PiS; na KO zagłosowało 33 proc. kobiet, na Trzecią Drogę 13 proc. wyborczyń, a na Konfederację 3,4 proc.), jednak widać wyraźne różnice między tym, jak głosują panie, a jak panowie. Wśród mężczyzn także wygrał PiS – 37,1 proc.; 30,2 proc. postawiło na KO, 12,9 proc. na Trzecią Drogę, i aż 9,3 proc. na Konfederację. O ile różnice dotyczące poparcia dla partii Jarosława Kaczyńskiego nie są tak duże, o tyle w przypadku Konfederacji już tak. Warto też zwrócić uwagę, że wyraźnie więcej kobiet niż mężczyzn oddało głos na Lewicę (10,1 proc. do 6,9 proc.).

Tutaj właśnie należy się doszukiwać źródeł skrajnie antydemokratycznej postawy cytowanego socjologa – zbyt wielu mężczyzn wciąż wybiera partie prawicowe i dlatego trzeba im tę możliwość ograniczyć. Co prawda, wyniki wyborów parlamentarnych, które wskazują raczej na utworzenie rządu przez obecną opozycję, być może ostudzą nieco zapal antydemokratów wystrojonych w piórka, ale jednak nawet jeśli tak, to chwilowo.

Profesor Przemysław Sadura chce odłożenia w czasie przyznania mężczyznom praw wyborczych uzasadnia ich „opóźnieniem” w stosunku do płci przeciwniej. „Powód jest jeden i jest związany z dojrzałością polityczną dziewczyn. Już te nastoletnie są niezwykle świadome procesów politycznych i zagrożeń, jakie niosą ze sobą rządy prawicowych populistów” – wyjaśnia. Następnie przytacza wnioski płynące z badań przeprowadzonych wśród uczniów szkół branżowych

Antydemokraci w przebraniu



Zuzanna Dąbrowska

Przeciwnicy demokracji założyli maski zatroskanych o tę demokrację państwotwórców i bez cienia zażenowania zaczęli postulować rozwiązania skrajnie antydemokratyczne. Przekonują, że chcą uzdrowić Polskę, choć tak naprawdę chcą odebrać decyzyjność tym, których poglądów nie tolerują

na Warmii. „Dziewczyny opowiadały o świecie językiem socjaldemokratycznym, łączyły swoje własne prawa reprodukcyjne z prawami człowieka, potrafiły przełożyć codzienne doświadczanie seksizmu w szkole na błędy systemowe, doskonale odczytywały mechanizmy polityczne”. A chłopcy? „No cóż, nic im się z niczym nie łączyło. Chcieli głosować na Konfederację, bo wiedzę o świecie czerpali z TikToka” – wskazuje socjolog.

Sadura dodaje, że generalnie kobiety są bardziej świadome od mężczyzn, co – jak wynika z jego wypowiedzi – czyni je bardziej nowoczesnymi obywatelkami. „Niedawno prowadziłem z »Krytyką Polityczną« badania dotyczące stosunku młodych do produkcji i konsumpcji mięsa w kontekście zmian klimatu. Okazało się, że to dziewczyny zachęcają swoich partnerów do zmiany diety na wegańską. Być może kobiety będą rzeczniczkami

progresywnych haseł w swoich związkach, zobaczymy” – podsumowuje badacz z UW.

„INSPIRUJĄCE” ODBIERANIE PRAW

Socjolog nie jest pierwszym, któremu się marzy zmniejszenie wpływu na państwo tej grupy, która w jego ocenie nie rozumie, co dla tego państwa dobre. – To był bardzo kontrowersyjny pomysł, zgadzam się, ale jakże inspirujący. To nie jest tak, że chciałabym wam to koledzy odebrać na wieczność albo na stulecia czy tysiąclecia – jak to się stało z prawami wyborczymi kobiet, w końcu mamy je od bardzo niedawna. Tak, odebrałabym mężczyznom prawa wyborcze na 12 lat, czyli na trzy kadencje parlamentu – to z kolei wypowiedź reżyser Agnieszki Holland, która padła podczas ostatniego Campusu Polska Przyszłości (wydarzenie



ROT. ADBE STUCK

premierem może zostać mężczyzna, ale wybrany przez kobiety będzie miał inne priorytety. Wiem, ale kobiety przez tysiąclecia nie miały żadnych praw. Byłoby sprawiedliwe, żeby choć przez kilkanaście lat mężczyźni odpoczęli. Dajmy im czas na refleksję”. Jej zdaniem „nie chodzi o to, że kobiety są jakieś mądrzejsze od mężczyzn, ale mają inny punkt widzenia, inne doświadczenia, inną wrażliwość i wybierałyby innych ludzi”. Po tych trzech kadencjach bez głosujących mężczyzn, według reżyser, polityka zaczęłaby mieć „zupełnie inne cele niż walka o władzę. Chodzi nie o władzę, ale o priorytety. Myślę, że świat musi się zmienić, bo dochodzimy do ściany. Sprawa klimatu jest tego najbardziej brutalnym dowodem. Pytanie, czy świat zmieni się bez globalnego konfliktu i milionów trupów”.

Niezwykle ciekawie analizuje się takie deklaracje dziś, gdy stoimy w obliczu nowego rządu koalicyjnego, który będzie stanowić urzeczywistnienie marzeń o „końcu PiS”, a w którym to być może zobaczymy niezbyt troszczącego się o klimat Michała Kołodziejczaka czy szefa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza (według niektórych nawet w roli premiera, choć to raczej mało prawdopodobne), potrafiącego krytykować skrajnie ideologiczne pomysły, jak „piątka dla zwierząt”. Dziś Agnieszka Holland cieszy się z wyborczego rozstrzygnięcia. Nie martwi się już jednak o klimat, ale o to, że „dwa nadchodzące miesiące PiS wykorzysta, by poukrywać różne niewygodne dla siebie rzeczy, popalić teczki i uruchomić kolejne bezpieczniki, którymi już wcześniej naszpikowali prawo”.

SAMIEC TWÓJ WRÓG

Do grona „obrońców demokracji” śniących o maksymalnym zepchnięciu na margines jednej z płci dołączyła prof. Magdalena Środa. Pytana przed 15 października, dlaczego kobiety powinny iść głosować, stwierdziła, że to temat tak ważny, iż najchętniej wygłosiłaby cały wykład. „Rozpoczęłabym od tego, że polityka w rzeczywistości jest czymś bardzo ważnym. Grecy mówili, że jest dobra, bez niej nie ma szczęśliwej wspólnoty, a bez szczęśliwej wspólnoty nie ma szczęśliwych ludzi. Polityka nie ogranicza się jedynie do wyborów, głosowań czy decyzji podejmowanych przez różnych polityków.

Polityka to całe nasze życie, również to prywatne, seksualne, prokreacyjne, edukacyjne, kulturowe” – oceniła feministka. „Musimy więc brać w niej udział, bo inaczej ważne dla nas decyzje będą podejmowali mężczyźni albo służące im kobiety. Niewolnice patriarchy – jak nazywam polityczki PiS. To nie polityka jest zła, ale politycy. Trzeba więc ich usunąć i zastąpić mądrymi kobietami. Na listach wyborczych jest takich bardzo dużo. Jest w czym wybierać. Polityka wprowadza (powinna wprowadzać) w nasze życie ład, powinna łagodzić konflikty, harmonizować interesy, zapewniać bezpieczeństwo. Nie da się żyć bez polityki, choć doskonale da się żyć bez wielu polityków” – oznajmiła.

W pewnym sensie wizja Środy może zostać w nowej kadencji zrealizowana. – Cieszę się, że KO zgadza się z nami, że jedną z priorytetowych spraw do załatwienia jest legalizacja prawa aborcyjnego, czyli legalna, bezpieczna, darmowa i dostępna aborcja, darmowe środki antykoncepcyjne – przyznała poseł Lewicy Katarzyna Kotula. Pytanie, czy tak faktycznie się stanie, bo – jak wylicza socjolog, ekspert do spraw sondaży Marcin Palade – „w nowym Sejmie będzie ponad 240 konserwatystów. Ci, którzy liczą na radykalne zmiany w segmencie obywatelowym, mogą być już niebawem mocno zawiedzeni”.

Przedstawiciele świata liberalno-lewicowego w ostatnich tygodniach skupili się na podważaniu kompetencji wyborczych mężczyzn, ponieważ ich zdaniem to oni stanowili przeszkodę w zmianie władzy. Jednak patrzenie z góry i mające sprawiać wrażenie akademickich dysputy o odbieraniu głosu tym, których poglądów nie akceptujemy, nie są niczym nowym. W 2007 r., gdy w wyniku upadku rządu PiS-LPR-Samoobrona rozpisano przyspieszone wybory, w sieci pojawiło się hasło „Uratuj Polskę. Zabierz babci dowód na wybory”. Choć wymyślił je anonimowy, 27-letni wówczas informatyk, to na stałe wpisało się w rytm politycznej walki pokoleń. Udający demokratów antydemokraci marzą de facto o systemie, w którym prawo głosu mają tylko ci, którzy zagłosują „bezpiecznie”. Czyli nie na prawicę i konserwatystów. Dotychczas mówili o tym z pozycji teoretycznych. Pytanie, czy zmiana władzy w kraju nie sprawi, że z teoretyków staną się praktykami.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

firmowane przez Rafała Trzaskowskiego, którego partnerami są m.in. Open Society Foundations Sorosa oraz Fundacja Konrada Adenauera).

W ten sposób Holland tłumaczyła własną wypowiedź z 2019 r. Wtedy bowiem, tuż przed kolejnymi zwycięskimi dla PiS wyborami parlamentarnymi, przedstawiła swój „projekt polityczny”. „W męskim, testosteronowym, nacjonalistycznym projekcie politycznym, który jest jednocześnie lękowy i narcystyczny, doszliśmy do granicy, za którą bardzo trudno jest zmienić politykę tak, by nagle inne wartości zaczęły grać główną rolę. Mam więc prosty pomysł, żeby na trzy kadencje zawiesić prawa wyborcze mężczyzn. Tylko czynne – nie będą mogli głosować, ale będą mogli być wybierani” – mówiła Holland – co znamienne – również na łamach „Wysokich Obcasów”. Reżyser wykazała się swoistą łaskawością: „Nadal



Łukasz Zboralski

Wśród obietnic wyborczych opozycji ta padła wyrażnie: koniec prac domowych w szkołach. Prawdą jest, że większość nauczycieli zadaje ich zbyt wiele. Jednak całkowita likwidacja byłaby najgorszym, co można wyrządzić polskiej szkole – zatrzymałaby prawdziwe zmiany na lepsze

Debata przedwyborcza, do której doszło 9 października w TVP, została raczej wśród wyborców niesmak. Zamiast o tym, co chcą zmienić w Polsce, politycy skupili się na złośliwościach i przedszkolnych przepychankach. Stąd może jako jedyny konkretny – co samo komentuje jakoś tych rozmów – przebił się najwyraźniej wygłoszony przez Szymona Hołownię postulat likwidacji prac domowych w szkołach. Wzbudziło to w sieci falę ironicznych komentarzy, że tym sposobem Trzecia Droga zagarnęła elektorat w wieku 7–15 lat. W rzeczywistości jest to jednak ciekawy problem szkolny.

Warto też zaznaczyć, że postulowały go nie tylko Trzecia Droga, lecz także największy koalicjant prawdopodobnego przyszłego rządu opozycji – Koalicja Obywatelska. Jeszcze we wrześniu o konieczności skończenia z pracami domowymi mówili mediom Donald Tusk i Rafał Trzaskowski. Dlaczego? – Chodzi nam o to, aby odciążyć rodziców i od prac domowych, i od korepetycji. Żeby mieli czas z tymi dziećmi się pobawić albo pogadać o sporcie – mówiła „Faktowi” Katarzyna Lubnauer z KO.

Politycy PO też jednak nie wymyślili tego postulatu na potrzeby kampanii sami. Cyklicznie powraca on przy rozmowach dotyczących polskiego systemu edukacji. Już w 2017 r. Rzecznik Praw Dziecka pisał do ówczesnej minister edukacji Anny Zalewskiej, że zadawanie zbyt wielu zadań uczniom w polskiej szkole narusza ich prawo do wypoczynku i zabawy. Jego zdaniem stanowiło to naruszenie art. 31 Konwencji o prawach



Szkoła bez pracy domowej

dziecka. Prosił resort o rozważenie sposobów zmniejszenia obciążenia uczniów w tym zakresie.

Rok później tą sprawą zajmował się też Rzecznik Praw Obywatelskich. Adam Bodnar wskazał minister edukacji, że otrzymuje skargi od rodziców, których niepokoi nadmierne obciążanie uczniów pracami domowymi. „Zakłóca to ich życie rodzinne, utrudnia podejmowanie innych wspólnych aktywności i uniemożliwia odpoczynek. Sprawa dotyczy więc realizacji z jednej strony prawa do nauki, wyrażonego w art. 70 Konstytucji RP,

oraz prawa do ochrony życia prywatnego i rodzinnego, określonego w art. 47 Konstytucji RP, z drugiej” – pisał Bodnar.

Ministerstwo w tej sprawie nie zadziałało. Kolejny szef resortu – Przemysław Czarnek – odpowiadał, że prace domowe całkowicie zniknąć nie powinny, bo kształtują m.in. nawyk samodzielnej pracy nad sobą, systematyczności.

WADLIWE PRZEKONANIA NAUCZYCIELI

Żeby ocenić skrajny postulat koalicyjnych polityków, trzeba przyrzeć

się bliżej temu, czy rzeczywiście prace domowe nie mają sensu. Z pomocą przychodzi badanie edukacyjne – wykonane, jak na ironię, za czasów rządów PO-PSL w 2015 r. przez Instytut Badań Edukacyjnych. Zresztą do tego badania odwoływał się wcześniej m.in. RPO. (Na marginesie – te naukowe dowody są bardzo dobrze znane posłance Lewicy Agnieszce Dziemianowicz-Bąk, która jest typowana na nową minister edukacji, bo posłanka wcześniej pracowała naukowo w IBE).

Autorzy raportu „Szkolne pytania. Wyniki badań nad efektywnością nauczania w klasach IV–VI” stwierdzili, że polscy nauczyciele zadają prace domowe wręcz masowo. Aż 56 proc. nauczycieli przyznało, że zadaje materiał do domu na większości zajęć. Nie znaleźli nikogo, kto deklarowałby, że zleca zadania domowe rzadziej niż na co drugiej lekcji. To pierwszy sygnał, że problemem nie jest sama praca domowa, tylko podejście nauczycieli.

Większość badanych polonistów i matematyków szacowała, że na prace domowe z ich przedmiotów uczniowie muszą poświęcać ok. 30 min dziennie. Polskie dzieci ślęczą nad wykonaniem zadań z matematyki i języka polskiego cztery–pięć godzin dziennie. A przecież to nie są jedyne przedmioty szkolne. Oznacza to kolejne godziny prac domowych. W efekcie traci to sens dydaktyczny. Z badania PISA z 2009 r. wiadomo, że odrabianie prac domowych w wymiarze większym niż cztery godziny tygodniowo ma nieznaczny wpływ na osiągnięcia ucznia.

Tego nauczyciele po prostu nie wiedzą. Dowód? Wystarczy spojrzeć na ich motywacje do zadawania zadań domowych. W badaniu IBE prawie wszyscy stwierdzili, że prace domowe mają „utrwalić przekazany uczniom materiał”. Dochodzi do tego drugi problem z motywacją nauczycieli. Także prawie każdy z nich twierdzi, że zadaniami domowymi rozwija motywację uczniów do nauki oraz rozwija zainteresowanie swoim przedmiotem. W rzeczywistości przeładowując uczniów pracą, która już nie przekłada się na ich lepsze osiągnięcia, polscy nauczyciele demotywują uczniów i zniechęcają ich do prowadzonych przez siebie przedmiotów. Ile dekad może im jeszcze zająć zrozumienie tej prostej prawdy?

To nie koniec problemów z nauczycielską motywacją. Ponad 40 proc. z nich zadaje do domu, by „zaangażować rodziców w naukę dziecka”. To spory nietakt, gdy przytłoczone zadaniami dzieci wraz z rodzicami nie przeżywają miłych chwil na nauce, tylko raczej stresujące. Nie wspominając o problemach tych dzieci, których rodzice ani nie mają ochoty pracować, ani nie posiadają zdolności intelektualnych do takiej pracy.

Nauczyciele przyznali też, że zadają do domu dlatego, że sami nie zdążą z dziećmi przerobić materiału na lekcjach (43,4 proc.) oraz by przygotować dzieci do nowego materiału (także 43,4 proc.).

domowych, ani szacowany czas konieczny do ich odrobienia nie są związane ze wzrostem wiedzy uczniów”. I, co gorsza, nie ma to znaczenia dla osiągnięć uczniów „lepszyc” ani „słabszych”.

W przypadku języka polskiego jest podobnie. „Częstość zadawania prac domowych z języka polskiego ma więc wprawdzie statystycznie istotny, lecz marginalny wpływ na ostateczne osiągnięcia uczniów” – czytamy w raporcie Instytutu.

Oczywiście oznacza to tylko, że polscy nauczyciele wybierają po prostu złe strategie – prace domowe nie rozwijają polskich uczniów, nie zachęcają do nauki,

Efekty zadawania prac domowych w polskiej szkole są zatrważające: **nie przyczyniają się do wzrostu wiedzy uczniów**

Co wskazuje tylko na to, że wadliwy system – mimo obiegowych opinii podstawy programowe wciąż na poziomie szkoły podstawowej są przeładowane – sprawa, iż szkoła swoje zadania przerzuca na dzieci i ich rodziny.

CZY PRACE DOMOWE MAJĄ SENS?

Jak na dłoni widać więc, że problemem w szkole nie są same prace domowe w swej istocie. Problemem są słabo przygotowani do zawodu nauczyciele – którym nikt potem nie pomógł zrozumieć, jak uczyć lepiej. I tego nie zmieni obiecywana przez opozycję podwyżka nauczycielskich pensji o 30 proc. – ona tylko da im trochę godniej żyć. Natomiast utrwalony od dekad awans zawodowy polegający na tym, że niezależnie od zdolności na starcie tej pracy dostaje się niską pensję, a podwyżka jest po prostu odroczone na wiele lat, nijak nie przyciągnie do zawodu młodych zdolnych, którzy sytuację – także z pracami domowymi – mogliby odmienić.

Efekty zadań domowych w polskiej szkole są wręcz zatrważające. Jak wynika z analiz badaczy IBE dotyczących przyrostu wiedzy między III a VI klasą szkoły podstawowej – „w przypadku matematyki sytuacja okazuje się stosunkowo prosta. Ani częstość zadawania prac

nie rozwijają współpracy (rzadkie zadania projektowe i grupowe).

Zamiast likwidować prace domowe, które w opinii badaczy i samych nauczycieli mają też pozytywny wpływ na dzieci (uczą odpowiedzialności, wyrabiają nawyk systematycznej pracy, mogą rozwijać motywację do nauki), trzeba po prostu zadawać je rzadziej i rozsądniej. „Mniejsza ilość prac domowych lub rzadsze ich zadawanie może przyczynić się do zwiększenia ich efektywności w kontekście osiągnięć edukacyjnych uczniów” – wskazują raport IBE. W dodatku – co będzie największym problemem w polskiej szkole, w klasach liczących po 30 osób – nauczyciele powinni dostosowywać zadania domowe do każdego z uczniów. Nie wszyscy powinni pracować samodzielnie nad tym samym.

Wśród wiodącej prym w edukacji i stawianej w Europie za przykład Finlandii 15-letni uczniowie spędzają średnio niecałe trzy godziny tygodniowo na odrabianiu zadań domowych.

Całkowita likwidacja prac domowych w polskiej szkole byłaby więc w istocie wymiganiem się od poważnych i wciąż odkładanych zmian systemu, który pozwoliłby dzieci kształcić efektywniej i przyjemniej dla nich samych. To byłaby polityczna łatwizna z przykrymi konsekwencjami.



Z Izabelą Szwarocką, niewidomą od urodzenia absolwentką Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niewidomych w Laskach

rozmawia Katarzyna Cichosz

Tożsamość osoby



KATARZYNA CICHOSZ: Skąd pani wie, że świeci słońce?

IZABELA SZWAROCKA: Są osoby niewidzące, które mają poczucie światła. Ja doświadczam słońca wyłącznie w postaci ciepła. Natomiast jeśli słońce bardzo świeci, to odczuwam coś w rodzaju światłowstrętu. Nie mam gałek ocznych, ale mogę mieć jakieś szczątkowe nerwy wzrokowe. Podobnie jest, kiedy fryzjer suszy mi włosy – lecą mi łzy i mam zaciśnięte oczodoły.

Jak uczyła się pani czytać?

Trafiłam do Lasek, kiedy miałam cztery i pół roku. W drugiej grupie starszaków dowiedzieliśmy się, że dostajemy tzw. suwaki – to był prostokąt, w który wsuwane były małe prostokąciiki. Miały imitować sześciopunkt, który jest podstawą alfabetu brailowskiego. W te prostokąciiki wkładali-

śmy kołeczki, które pokazywały nam literki. Pani mówiła np., że mamy ułożyć punkcik pierwszy i trzeci. Potem uczyliśmy się literek, które zawierają punkt piąty, czyli na przykład literki: w, r, n. Pamiętam, że w tej nauce była systematyka, najpierw kombinacji było niewiele, potem robiło się ich coraz więcej. Uczyliśmy się w ten sposób koncentrować. Obecnie dzieci uczą się inaczej niż ja wtedy. W szkole podstawowej poznawaliśmy literki seriami, to właśnie bł. Matka Czacka opracowała polski alfabet z francuskiej wersji alfabetu Ludwika Braille'a. W drugiej klasie podstawówki już sami zaczęliśmy wypożyczać książki z biblioteki.

Które palce czytają?

Czytają obie ręce, dwa palce wskazujące; lewa ręka podąża za prawą, a kiedy prawa ręka zatrzymuje się na końcu liniiki,

to lewa przechodzi na linijkę poniżej. Trzeba pamiętać, że brajlem czyta się trochę wolniej niż czarnym drukiem, bo osoba niewidząca obejmuje tylko te pół liniжки, które ma pod palcami. Czasami niektóre osoby widzące mówią, że są wzrokowcami, coś podobnego można powiedzieć o czytaniu brajlem; zapamiętuję więcej, kiedy sama czytam, niż kiedy słucham audiobooków. U osób niewidzących wielozmysłowość spostrzegania odgrywa dużą rolę, mimo że tego jednego zmysłu są pozbawieni.

Jak dziecko niewidome uczy się samodzielnie poruszać?

W internacie uczono nas rozkładu pomieszczeń, a jak nie trafialiśmy do pokoju, to wychowawcy nam pomagali. Od lat jest tak, że dość wcześnie wprowadzane są zajęcia z orientacji przestrzennej. One nie tylko uczą chodzenia z białą laską, lecz także odnalezienia się w przestrzeni. W szkole uczyliśmy się, jak dojść do dworców, z których wyjeżdżaliśmy do domów, albo jak dojść do sklepów. Świat osoby widzącej jest bardziej wielowymiarowy, nasz bardziej płaski, zwłaszcza osoby niewidomej od urodzenia. Po to, żeby umieć samodzielnie trafić, trzeba się odpowiednio ustawić. Jeśli ktoś powie: „Najpierw pójdziesz prosto, potem w lewo”, to ten skręt nie będzie w konkretnym miejscu. Uczymy się odpowiednio odwrócić, np. nie o 120 stopni, ale o 90. Osoba niewidząca ma dużą trudność, żeby pójść równo prosto. Tylko pojedyncze osoby mają świetną orientację. Ważne jest wypracowanie schematu własnego ciała. Na przykład kiedy pływałam, nie czułam tego, że moje ciało fałduje w górę albo w dół, długo myślałam, że leżę prosto – to są problemy związane z czuciem głębokim.

Na co należy zwrócić uwagę przy poznawaniu nowej trasy?

Na punkty charakterystyczne: słupki, ale nie wszystkie, tylko te najbliższe światła czy ulicy, na drzewo, mur, nawierzchnię, która jest inna, może informuje, że zaraz będą schody albo że trzeba skrócić. Pewne rzeczy się słyszy. Słyszymy, że przestrzeń jest bardziej pusta bądź zabudowana. Jeśli idę obok drzewa, to też trochę inaczej słyszę przestrzeń.

Jestem osobą aktywną zawodowo, często się przemieszczam i bardzo często

zahaczam o leżące hulajnogi. Słupki przy jezdni czy chodnikach to też trudny temat, bo nie można ich usłyszeć. Jeśli wyczuje się je laską, to dobrze, ale jeśli nie, to potem bolą kolana. Niebezpieczne są też otwarte w połowie drzwi – lepiej je zamknąć lub otworzyć na oścież.

Zwykle kierowcy zatrzymują się na światłach, gdy widzą mnie z białą laską, ale bywa, że tego nie robią. Już słyszę głośno: „A może pani weszła na jezdnię nie na przejściu”. Być może, chociaż staram się tego przejścia szukać, ale mogłam się pomylić. Zdarza się, że kierowcy najeżdżają na laskę albo na niej hamują. A to uniemożliwia osobie niewidomej dalsze funkcjonowanie. Piesi też wchodzą na nasze laski. To zdarza się często, prawdopodobnie dlatego, że robimy nią duży łuk. Jesteśmy uczeni, żeby te łuki robić trochę szerzej niż na poziomie własnych nóg, bo robiąc mniejszy łuk, nie wyczułibyśmy np. tych słupków przy ulicy. Zdarzyło się, że ktoś postanowił skleić mi laskę taśmą – tylko że ich się nie skleja, ponieważ wtedy ona ma inną amortyzację, kształt i dźwięk. One są wykonane

najczęściej z włókien węglowych albo szklanych. Zdarzyło mi się też kilkanaście razy, że ktoś o tę moją laskę się przewrócił. Nie jest to dla mnie przyjemne. To do osób widzących należy inicjatywa – przejście na drugą stronę, zatrzymanie się, poproszenie osobą niewidzącą, żeby się zatrzymała. Ja nie mam wyjścia, muszę robić łuki laską.

Dwa lata temu w czasie Mszy św. beatyfikacyjnej kard. Wyszyńskiego i Matki Czackiej przeczytała pani pierwsze czytanie. Za co podziwiał pani bł. Matkę Elżbietę Różę Czacką?

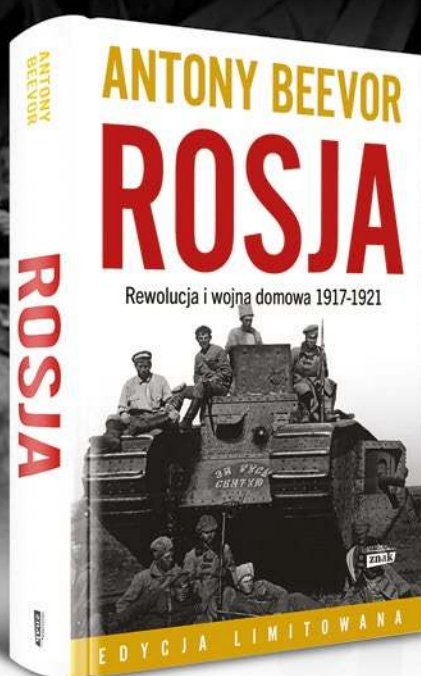
Wiedząc, że nie odzyska już wzroku, i usłyszawszy zachętę, żeby zająć się sprawami osób niewidomych w Polsce, zamknęła się na trzy dni. Nie wiem, co wtedy przeżywała, na pewno wiązało się to z cierpieniem, z jakimś ważnym spotkaniem z Panem Bogiem. Może się buntowała? Nie wiem. Te trzy dni są bardzo znamienne. Po ich upływie po prostu wzięła się do roboty. Podziwiam ją również za to, że potrafiła najpierw sobie samej, a potem nam, osobom niewidomym, powiedzieć, że nasze cierpienie

ma sens. W swoich materiałach mówiła wprost, że to cierpienie jest po to, żeby objawiła się chwała Boża. Jest to odniesienie do mojego ulubionego fragmentu z Ewangelii. Ja się w tej scenie spotkania Pana Jezusa z niewidomym od urodzenia najbardziej utożsamiam. Uczniowie pytają: „Kto zgrzeszył, że urodził się niewidomy?”. A Pan Jezus odpowiada, że nikt nie zgrzeszył – ani on, ani jego rodzice, tylko stało się to po to, żeby wypełniła się chwała Boża.

Matka Czacka pokazywała, że nasze fizyczne niewidzenie jest częścią życia, że nie determinuje mnie do jakiejś roli, do jakiegoś sposobu działania, że na tyle, na ile potrafię, mam się w życiu odnaleźć. Ona mówiła: „osoby niewidome”, a nie „niewidomi”. Czasem wydaje się, że jest to zabieg językowy, jednak „niewidomy” nadaje tożsamość osobie. Mówiła, że tożsamość nie wypływa z niewidzenia, tylko z tego, kim jesteśmy, co możemy zrobić, jacy jesteśmy jako ludzie. Dla mnie oznacza to, że jestem osobą wysoką, pracuję jako psycholog, lubię pływać i nie widzę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



ANTONY BEEVOR
ROSJA
Rewolucja i wojna domowa 1917-1921
EDYCJA LIMITOWANA

**KRWAWA
NARODZINY
SOWIECKIEJ
ROSJI!**

Premiera 25 października

Film „Chłopi” powstał w takiej samej technice jak „Twój Vincent”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Klasyka od nowa



Piotr Gociek

„Chłopi”, „Znachor”, „Dewajtis” – literackie przeboje sprzed stulecia okazują się lepszym materiałem na scenariusze filmów i seriali od pojękiwań autorów współczesnych

Po co nam klasycy? Kto pamięta wiersz Zbigniewa Herberta, ten wie, że po to, by tematem sztuki nie była „mała rozbita dusza z wielkim żalem nad sobą” i aby to, co po nas zostanie, nie było „jak płacz kochanków w małym brudnym hotelu kiedy świtają tapety”. Odwoływał się polski poeta do wielkiej, nieśmiertelnej klasyki, do mądrości i moralnej prostoty dzieł antyku. Italo Calvino w książce „Po co czytać klasyków” wymieniał liczne i ważne powody, by na koniec stwierdzić po prostu, że „jedyny powód, jaki można tu podać, jest taki, że lepiej jest czytać klasyków niż ich nie czytać”. I też zaczął od antyku, od

Homera, Ksenofonta, Owidiusza. Ale przypominał też Roberta Louisa Stevensona, bo literatura popularna również ma swoich klasyków i również często do niej wracamy.

A JEDNAK NIEZBĘDNI

Dziś klasykę częściej się ogląda, niż czyta, bo taka jest natura epoki mediów obrazkowych. Francuzi nieustannie wracają w kinie i telewizji do Balzaca i Dumasa, Anglicy bez końca powtarzają Dickensa w formie serialowej lub filmowej. W Polsce kłopot, bo po 1989 r. jednym marzyło się, że będziemy bliżej świata, jeśli spróbujemy swoimi kryminałami i komediami podrobić Hollywood, a klasyków – także tych literatury niekiedy bardzo, bardzo popularnej – ogłoszono niemodnymi, nieważnymi, przebrzmiałymi. A jednak do czegoś są niezbędni. I oto w minionych tygodniach spotykają się na ekranach małych i dużych trzy przedsięwzięcia, które na różne sposoby i w różnym celu wracają do skarbnicy literatury sprzed niemal stu lat, a czasem i więcej. Wspominałem tydzień temu o światowym sukcesie nowej wersji „Znachora” wyprodukowanej przez Netflix, zachowującej

klimat prozy Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Dwumilionową widownię zbiera każdy odcinek serialu „Dewajtis”, opartego na jednej z najsłynniejszych powieści Marii Rodziewiczówny. I mamy wreszcie nową kinową wersję „Chłopów” wedle słynnej powieści Władysława Reymonta, za którą w 1924 r. pisarz otrzymał Literacką Nagrodę Nobla.

„Chłopi” to także tegoroczny polski kandydat do Oscara – nie bez szans, jak mniemam, bo rzecz jest oryginalna wizualnie, świetnie zagrana i będzie zrozumiała pod każdą szerokością geograficzną dokładnie z tych powodów, dla których wielu krytykuje ten film w Polsce. Pojawiają się bowiem głosy jednych, że uwspółcześniono przesłanie z Reymonta, czyniąc je odpowiednim dla wymogów współczesnych obsesji ideowych Hollywood (feminizm, klasizm, nietolerancja). A jednocześnie inni mają pretensje, że to cepelia na eksport.

NOWA JAGNA

Widzowie (na razie tylko w Polsce) zagłosowali nogami i portfelami, czyniąc z „Chłopów” rodzimy rekord oglądalności w pierwszy weekend dystrybucji, bo

wówczas to wybrało się do kin na ten film ponad 141 tys. Polaków. Więcej niż na niesławną „Zieloną granicę”, która przecież i tak miała wynik zawyżony przez to, że dzieło Agnieszki Holland stało się przedmiotem kampanii wyborczej. Jestem dziwnie spokojny, że i poza Polską bardzo wielu będzie chciało „Chłopów” obejrzeć. Na pierwszy plan wysuwa się trójkąt miłosny między Jagną a młodym i starym Boryną, a w owym trójkącie Jagna okazuje się prawdziwą heroiną wieku XXI, szukającą niezależności i wolności. Trafi taka interpretacja w gust widowni światowej, to oczywiste. Ale pamiętajmy, że mamy tam znakomite kreacje Kamili Urzędowskiej jako Jagny, Mirosława Baki jako Macieja Boryny i Soni Mielniczycy jako Hanki, żony Antka Boryny. I właściwie wszystko jest tu na światowym poziomie, łącznie z muzyką Łukasza Rostkowskiego. No i jest jeszcze warstwa wizualna, osiągnięcie niezwykle.

Twórcami nowej wersji „Chłopów” są bowiem Dorota Kobiela (obecnie jako DK Welchman) oraz Hugh Welchman, którzy w 2017 r. dobyli rozgłos filmem „Twój Vincent” (nominacja do Oscara i Złotego Globu). Tamta opowieść wywidziona była z życia i obrazów Vincenta van Gogha, a każdy kadr precyzyjnie namalowany, tak by wskrzesić na ekranie płótna holenderskiego geniusza. „Chłopi” nakręcenie zostali podobnie: to znaczy najpierw tradycyjnie, ale potem na grę aktorską i pejzaże nałożone zostały obrazy olejne, zamieniające opowieść w nieco odrealniony świat obrazów Chełmońskiego i Gierymskiego. Efekt jest oszałamiający. A w odróżnieniu od „Twojego Vincenta”, gdzie wątki scenariusz zawodził, a animacja zdawała się sztuką dla sztuki, w „Chłopach” wszystko łączy się płynnie w fascynującą opowieść. Cóż, jednak Reymont jest lepszym scenarzystą od Jacka Dehnela.

Film duetu Welchman & Welchman jest znakomitą przykładem, jak sięgać można po polską klasykę i osiągać trzy cele: odświeżyć zainteresowanie oryginałem, odnieść sukces kasowy nad Wisłą i wzbudzić ciekawość poza granicami Polski. Melodramat melodramatem, ale ten barwny obraz wiejskiej Polski sprzed ponad stulecia zapiera dech w piersiach. A scena wesela jest arcydziełem, i do brze, bo czas najwyższy, żeby w kategorii

„najlepsza uczta weselna na ekranie” ktoś zdetronizował Wajdę.

WSPÓŁCZESNY „ZNACHOR” PODBIJA ŚWIAT

Twórcy nowej wersji „Znachora” – i tu przechodzimy już nie do klasyki, ale literatury popularnej – dokonali podobnego zabiegu co twórcy „Chłopów”. Zrezygnowali z pewnych wątków, które nie byłyby dziś zrozumiałe dla publiki światowej (Kresy stały się Mazowszem), skoncentrowali się na wątku miłosnym. Tytuł angielski w globalnej dystrybucji brzmiał „Forgotten Love”, a historia rozdzielonych przez amnezję ojca i córki wzruszyła wszystkich – od Kanady do Indii, od Argentyny do Francji. Kilka dni po premierze „Znachor” w reżyserii Michała Gazdy stał się drugim najchętniej oglądanym filmem Netflixu na świecie, w wielu krajach osiągając pozycję numer jeden. Tu także wszystko zagrało – odświeżenie i przystrzyżenie literackiego oryginału odbyło się z szacunkiem dla jego ducha, obsada była trafiona (są tacy, którzy głoszą herezję, że Leszek Lichota stał się lepszym profesorem Wilczurem od Jerzego Bińczyckiego). Było i mrugnięcie okiem do miłośników wersji z 1982 r. – Artur Barciś, który wtedy grał młodego Wasyłkę, syna Prokopa, teraz wystąpił jako Józef, kamerdyner Czyńskich.

Oczywiście żadne to filmowe arcydzieło, ale miło widzieć, jak polski film robi niebywałą karierę za granicą, bo wyśmienicie się go ogląda. Nie mam wątpliwości, że Netflix nie sięgnął po powieść Dołęgi-Mostowicza z miłości do literatury dwudziestolecia międzywojennego. Wyciągnięto raczej wnioski z tego, że

każda powtórka telewizyjna poprzedniej wersji znajduje liczną widownię; zapewne algorytmy szukające ukochanych przez widzów „piosenek, które już znamy” musiały wyrzucić i „Znachora”. Ale co w tym złego? Myślę, że gdyby dziś nakręcić w Polsce nowy serial „Lalka”, nową „Rodzinę Połanieckich” – nie mówiąc o morzu klasyki jeszcze nieekranizowanej – to też byłby sukces. I w wielu przypadkach można byłoby liczyć także na sukces zagraniczny.

„Znachor” udowadnia, że o Polsce może być głośno w świecie nie poprzez wielkie produkcje historyczne, które mają podkreślać, w ilu miejscach i za co przelewaliśmy krew. Pokazuje potęgę dobrze skrojonego kina gatunków. Dobra opowieść miłosna, przygodowa, fantastyczna (wspomnijmy, jak pół świata śpiewało o Netflixowym „Wiedźminie” – „Grosza rzuć wiedźminowi!”) znajdzie odbiorcę wszędzie. O Polsce można opowiedzieć w tle (oczywiście nie w opowieściach fantasy) – mam nawet przekonanie, że ten typ perswazji jest skuteczniejszy od rozpoczynania od wskazywania na zęby i przypominania: „Wybili, panie, za wolność wybili”. Jedno zastrzeżenie: Czy nowy „Znachor” i nowi „Chłopi” uczą zagraniczną publikę czegoś o Polsce i naszej historii? Niewiele, ale wskazują drogę – dobre kino gatunków, a nie kino pretensji.

OPOWIEŚĆ HEROICZNA

Przejdźmy do „Dewajtis”. Jeden był przed wojną król literatury polskiej – Tadeusz Dołęga-Mostowicz. I jedna królowa – Maria Rodziewiczówna (nie wiem, kto pierwszy rzucił te zdania, ale



Odświeżony „Znachor” został hitem Netflixu nie tylko w Polsce

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Serial „Dewajtis” w TVP gromadzi gigantyczną publiczność

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

powtarzam z przyjemnością). Chichot losu – schyłkowy PRL zezwolił na powrót Rodziewiczówny, której przesłanie (Bóg, honor, ojczyzna, Kresy) stało w skrajnej sprzeczności z teorią i praktyką Polski „ludowej”. A jednak można było nakręcić seriale „Lato leśnych ludzi” (1984) oraz „Między ustami a przegięciem pucharu” (1987). Po roku 1989 słuch o dokonaniach Rodziewiczówny zaginął.

„Dewajtis”, serialowa ekranizacja jednej z jej najsłynniejszych powieści, zbierała co tydzień przed ekranami telewizorów w Polsce ponad 2 mln widzów. Kolejny hit TVP1 nie należy jednak do kategorii wystawnych seriali premium – jak „Krucjata” czy „Polowanie na cmy”. Nie jest to jednocześnie ta sama półka co telenowele – ot, po prostu solidna telewizyjna robota środka: tam, gdzie rzecz prosi się o większy oddech i szersze plenery, wiadomo, że budżetu nie starczy, ale z drugiej strony tam, gdzie jest kameralnie, ogląda się nieźle.

Kto zna powieść, ten wie, jakiego typu historii może się spodziewać. Kto nie zna, niech czyta się w słowa niespodziewanego sojusznika, którym okazał się swego czasu Czesław Miłosz, charakteryzując utwory pisarki tak: „Losy bohaterów Rodziewiczówny ciekawią nas, bo są oni obdarzeni silną wolą i ta wola, zgodnie z dydaktycznym zamiarem autorki, zwrócona jest ku dobremu. Pojawiają się przeszkody, te przeszkody są pokony-

Potrzeba nam nowego podejścia do wielkiej klasyki – nie rewizjonistycznego, ale odświeżającego

wane, a zwycięstwa i klęski składają się na główną perypetię. Byłoby ryzykowne twierdzić, że tam, gdzie nie ma woli, nigdy nie ma ciekawej narracji, ale człowiek bierny, rozproszkowany na okruchy doznań, jest w dużym stopniu odpowiedzialny za nikłość fabuły w powieści nam współczesnej”.

Opowieść o rodzinach Czertwanów i Orwidów wyrasta wprost z pozytywistycznej tradycji polskiej prozy XIX stulecia, stając się jednocześnie opowieścią heroiczną. Do tego heroizmu nie jest potrzebna wielka batalistyka, bo walka o Polskę jest codziennym bojem – o utrzymanie majątku w polskich rękach, o dobre nim gospodarzenie, o odpowiednie wykształcenie młodego pokolenia [tak by nawet na zagranicznych uniwersytetach nie zapominało, że trzeba być rozumnym, a nie tylko uczonym – jak przypomina na łożu śmierci Paweł Czertwan (Miroslaw Baka)].

Dom rodzinny jest bastionem polskości, wiary i miłości. Kto tego nie rozumie, ten sprowadza na mikroświat – a także

na ojczyznę – wielkie niebezpieczeństwo. Proste przesłanie, które w PRL i w III RP wykpiwano jako zaściankowe, staje się znów ważne w czasach, kiedy nowe ideologie (czy raczej stare, udające nowe) uczyniły z rodziny główny cel ataków. A kto nie ma ziemi, rodziny, żony, ten nic nie ma – przypomina Rymko Ragis (Tomasz Sapryk).

Wyśmiewana proza Rodziewiczówny może być wyśmienitym źródłem fabuł i konfliktów zrozumiałych także współcześnie. O tym przypomina serial „Dewajtis” wyreżyserowany przez Filipa Żylbera, którego wciąż pamiętam jako autora poruszającego „Pożegnania z Marią” (1993) na motywach słynnego opowiadania Tadeusza Borowskiego, a który przez ostatnie dwie dekady specjalizował się głównie w narracjach telewizyjnych.

Trzy rozmaite ekranowe podejścia do polskiej klasyki (dużej i małej), które się uzupełniają. Potrzeba nam i opowieści dydaktycznych, formacyjnych – jak „Dewajtis”. Zapewne na rynek wewnętrzny, ale myślę, że i zagraniczni widzowie zrozumieliby tę fabułę. Potrzeba hitów lekkiego kina gatunków, które staną się atrakcjami globalnych hegemonów streamingu. Potrzeba nowego podejścia do wielkiej klasyki – nie rewizjonistycznego, ale odświeżającego – jak dzieje się w „Chłopach”. Rodzina, miłość, wierność, wolność. Kiedy ktoś pyta, jaką narrację Polska ma do zaoferowania światu, trzeba przede wszystkim pamiętać o wolności. Zwłaszcza w czasach, gdy Polskę i Polaków oskarża się o wsteczność i wskazuje jakieś wymaginowane formy opresji kobiet, mniejszości czy inności. Bo to w Polsce, długo zanim dojrzałe demokracje przyznawały prawa wyborcze kobietom, Maria Rodziewiczówna pisała: „Ogólny prąd emancypacji ogarnia od dawna świat. Była emancypacja Murzynów, chłopów, teraz kolej na kobiety. Nie potępiano Murzynów i chłopów, nie trzeba potępiać kobiet. Niech nie będzie niewoli, niech każdy ma drogę otwartą. Ale myli się ten, kto sądzi, że zmiana prawa zmienia postać rzeczy. Będzie triumf, gdy nie litera prawa, ale człowiek sam się wyemancypuje. Ale na to nie trzeba wiele gadania, pisanie, narad i debat – na to trzeba każdemu siebie tylko pilnować”. Pilnujmy się zatem, zwłaszcza że czasy niełatwe.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

DODAJE BLASKU

CHWIŁOM



KOLEKCJA FJORD

W kolekcji Fjord znajdują się niskie i wysokie szklanki oraz ręcznie formowana karafka do whisky. Ta ekskluzywna linia została wykonana z najwyższej jakości szkła, z dbałością o każdy detal. Fjord zachwyca swoją designerską bryłą z charakterystycznymi wgłębieniami przywodzącymi na myśl kryształki lodu. To zestaw obowiązkowy każdego dżentelmena.

100^{LAT} krosno[®]

Krosno.com.pl



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK



★★★★★
REŻ. MIKE FLANAGAN
„ZAGŁADA DOMU USHERÓW”
USA 2023

wyst. Bruce Greenwood, Mary McDonnell, Carla Gugino,
 dystr. Netflix

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Śmierć na bogato

Zagłada domu Usherów” to święto dla miłośników Poeo i „Sukcesji”, serial utkany jest z pomysłów, bohaterów i wątków z twórczości amerykańskiego klasyka. Mike Flanagan zrobił z nich podobny użytek jak twórcy nowego „Sherlocka” z BBC – odświeżył i przetworzył. „Maska czerwonego moru”, „Czarny kot”, „Serce oskarżyciela” – odcinki noszą doskonale nam znane tytuły. Nie jest to czcza zabawa, Flanagan splótł znane motywy w oryginalny sposób.

Ramą narracyjną jest rozmowa Rodericka Ushera (szefa skompromitowanej korporacji) z tropiącym od lat jego występki Augustem C. Dupinem, czyli postacią także wyjętą z Poeo (pierwsza w literaturze postać detektywa).

Usher spowiada się z grzechów; czyni to w chwili, gdy członkowie jego rodu zginęli już straszną śmiercią.

Cofamy się w czasie ku trzem okresom. Są to: dzieciństwo rodzeństwa Usherów (Roderick ma siostrę bliźniaczkę, równie bezwzględna), początki kariery pozbawionego skrupułów duetu oraz ostatnie dni rodziny, która swą fortunę zbudowała na cudzym nieszczęściu. Fortunato Pharmaceuticals stało się bowiem potęgą dzięki lekowi przeciwbólowemu Ligadone, który wywołuje uzależnienie. Usherowie mają więc na sumieniu tyle ofiar, co rodzina Sacklerów w realnym świecie (ich Purdue Pharma wypromowała Oksykodon, rozpoczynając epidemię opioidową w Stanach Zjednoczonych).

N

Całość opowiedziana jest niezwykle zręcznie, z dużą narracyjną inwencją, aczkolwiek makabryczne sceny cierpienia i śmierci kolejnych Usherów przeznaczone są raczej tylko dla miłośników horroru. Ale warstwa obyczajowa jest znakomita: wywód Ushera o tym, jak funkcjonują korporacje czy relacje wewnątrz klanu. Potomstwo, dodajmy, mają Usherowie mało udane (Logan Roy, patriarcha z „Sukcesji”, powiedziałby do nich: „Nie jesteście poważnymi ludźmi”).

Świetna jest wreszcie postać adwokata, który chroni Usherów przed konsekwencjami; w rolę Artura Pyma wcielił się Mark Hamill. Znakomita jest Carla Gugino w roli tajemniczej kobiety prześladowującej Usherów.

Morał? Możemy zakwalifikować serial Flanaganą do tradycyjnych przypowieści o zgubnych skutkach paktowania z samymi wami. Nawet mimo prostaczej tyrawy pożegnalnej Madeline Usher, brzmiącej niczym manifest współczesnego lewaka. © ©



NOWE SERIALE: „WSZYSCY KOCHAJĄ DIAMANTY”

Pewnego razu w Antwerpii, czyli inspirowana prawdziwymi wydarzeniami (rok 2003) opowieść o tym, jak włoska szajka włamywaczy porywa się na skok stulecia. Celem są diamenty warte miliard dolarów. Przeciwnikiem grupy utalentowanych kryminalistów (hakerzy, mistrzyni

otwierania zamków, spec od alarmów itd.) jest inspektor Mertens, który z drobnych okrucich poszlak próbuje zbudować prawdziwy obraz zagrożenia. Warto opowiedziane i wciąga. **Piotr Gociek**

• „Wszyscy kochają diamanty”,
 Włochy 2023

prime video

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „*Lekcje chemii*” („*Lessons in Chemistry*”), USA 2023
- miniseria dokumentalna „*Beckham*”, Wielka Brytania/USA 2023
- sezon 2 „*Pozłocany wiek*” („*Gilded Age*”), USA 2023

apple tv

netflix

max

Zielona karta

KINO

Nie każdy nadaje się na emigranta. Są tacy, którzy nawet po wielu latach spędzonych na obczyźnie nadal myślą i śnią tylko w ojczystym języku. A jeśli w kraju pozostawiło się bratnią duszę, przyszłego niedoszlęgo męża? Taki wariant rozpatruje w debiutanckim filmie Celine Song, Amerykanka urodzona w Korei. I czyni to w nader subtelnym stylu. W „Poprzednim życiu” nie ma cudownych zbiegów okoliczności, namiętnych pocałunków na lotniskach przy wtórze oklasków współpasażerów tudzież fabularnych schematów doprowadzonych do absurdu w polskich komediach romantycznych. Na Young i Hae Sung znają się od podstawówki, historię ich związku poznajemy w trzech

odślonach: od dziecięcej sympatii, przez młodzieńcze zauroczenie (któremu sprzyja to, że potencjalni kochankowie mogą się widywać co najwyżej na ekranach laptopów), aż do próby definitywnego rozstania. Ona chce latać wysoko, mierzy w Nobla albo Pulitzera. On jest flegmatykiem i, jak sam o sobie

mówi, przeciętniakiem.

Wątek miłosny jawi się pretekstem do stawiania niepokojących pytań. Czy ceną bycia dorosłym i odpowiedzialnym musi być rezygnacja z marzeń? Czy można wyjechać na drugi koniec świata i mimo to pozostać sobą? Jak się okazuje, wierzący w reinkarnację też mają problem z udzieleniem jednoznacznych odpowiedzi.

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. CELINE SONG
„POPZEDNIE ŻYCIE” („PAST LIVES”)
USA/KOREA PŁD.

wyst. Greta Lee, Teo Yoo, John Magaro



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PAMIĘTNIK KAMELEONA

HBO MAX

Tomasz Mann może i nie miał poczucia humoru, lecz u schyłku życia wymyślił zabawną historię oszusta idącego przez życie przebojem. Feliks Krull każdemu mówi to, co rozmówca chce usłyszeć.

Żadna kobieta mu się nie oprze, choć zaczyna skromnie – od posady windziarza w paryskim hotelu. Feliks jest czarujący i amoralny do szpiku kości, a świat, który go otacza, to dżungla, w której człowiek ambitny, ale pozbawiony wpływów i pieniędzy musi wykazać się nie lada sprytem tudzież aktorskim talentem. Znać tę opowieść, nawet jeśli klasykę zwykliście omijać szerokim łukiem. Krull jest bowiem krewniakiem utalentowanego pana Ripleya, Tyrmadowskiego Filipa, a nawet Nikodema Dyzmy. Film Bucka jest trzecią i bodaj najlepszą ekranizacją „Wyznań”, mimo że przesadnie eksponuje wątek romansowy. Fabuła urywa się nagle – noblista zmarł, nie zdążywszy ukończyć powieści. Szkoda, Feliks to postać godna serialu. © ©



★★★★★
REŻ. DETLEV BUCK
„WYZNANIA HOCHSZTAPLERA FELIKSA KRULLA”
NIEMCY 2021

wyst. Jannis Niewöhner, Liv Lisa Fries, David Kross

OCZY STALINA

NINATEKA

„Ktoś powinien nam dać po pysku”. W październiku Ninateka przypomina filmy, które współtworzył Witold Sobociński, jazzman i założyciel dynastii mistrzów kamery. Jest wśród nich zablokowany przez cenzurę komediodramat „Ręce do góry”. Oto jeden z paradoksów PRL: dało się nakręcić film antysystemowy, ale nie było szans, by trafił on na ekrany. Partia, która przyznała sobie monopol na patriotyzm i uszczęśliwianie rodaków, miała bowiem alergię na rozliczenia z okresem błędów i wypaczeń, a Skolimowski i spółka w dodatku kpili z Gomułkowskiej małej stabilizacji (posiadanie auta oznaczało przynależność do elity) tudzież „niezdolnego do bohaterstwa” pokolenia ZMP. Dla Sobocińskiego formuła kojarząca się z eksperymentalnym teatrem była wyzwaniem, któremu zwycięsko sprostał. W annałach na zawsze pozostanie scena z Bogumiłem Kobielą, krzyczącym: „Jezus Maria, wszystko na nic!” **Wiesław Chelminiak**



★★★★★
REŻ. JERZY SKOLIMOWSKI
„RĘCE DO GÓRY”
POLSKA 1967

wyst. Jerzy Skolimowski, Tadeusz Łomnicki, Adam Hanuszkiewicz

GRA TYGODNIA: „WORLD OF TANKS”, „WORLD OF WARSHIPS”, „WORLD OF WARPLANES”

Branża gier od początku wojny na Ukrainie okazywała (symboliczne i bardzo wymienne finansowo) wsparcie dla zaatakowanego przez Rosję kraju. „Pasją ludzi pracujących w firmie Wargaming są gry wojenne, jednak brzydzimy się prawdziwą wojną” –

deklaruje deweloper, który prowadzi właśnie kolejną akcję pomocową. Do sześciu swoich gier („World of Tanks”, „World of Tanks Blitz”, „World of Tanks Modern Armor”, „World of Warships”, „World of Warships: Legends”, „World of Warplanes”) przygotował inspiro-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wane Ukrainą pakiety i przedmioty kosmetyczne. Można je nabyć do 1 listopada, a cały dochód zostanie przekazany na rzecz fundacji UNITE24, oficjalnej platformy do zbiorów publicznych na rzecz Ukrainy. © ©

Radosław Wojtas

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Mondo cane

Dlaczego to, co złe, wstrętne i głupie, na dodatek jest jeszcze tak brzydkie? Prawdopodobnie to proste pytanie, będące jedną sensowną refleksją nasuwającą się normalnemu człowiekowi po zetknięciu z wykwitami współczesnej ideologii, kultury czy sztuki, legło u podstaw książki Janusza Szewczaka sławiącej piękno, którego próżno dziś szukać w świecie zdegradowanym. Świetnie dobrana szata graficzna „Piękna zdeptanego, kultu brzydoty” dobitnie pokazuje przerażający zjazd po równi pochyłej, którego dokonaliśmy w ostatnich dziesięcioleciach, by ohydne uczynić wspaniałym czy co najmniej interesującym, a to, co wzniosłe, szlachetne lub choćby urocze, wdeptać w ziemię, zniszczyć, upodlić.

Wprawdzie już Markiz de Sade ponad 200 lat temu orzekł, że „piękno przynależy do sfery prostoty i zwyczajności, szkaradność natomiast to coś nadzwyczajnego”, ale powiedzmy, że ludzkość niekoniecznie wzięła te słowa za dobrą monetę. Podobnie jak z maniackim uporem powtarzaną maksymę de gustibus non est disputandum, celnie uzupełnioną nie tak dawno przez Krzysztofa Zanussiego następującym komentarzem: „To powiedzenie nie znaczy, że każdy gust jest równie dobry, ale raczej, że albo się gust ma, albo się go nie ma; jak się nie ma gustu, to nie ma o czym dyskutować”.

Jak to! Gówno w stoiku może być takim samym dziełem sztuki jak Nike z Samotraki, bluzg sceniczny funkcjonuje we współczesnym teatrze na równych prawach z frazą Szekspira, gacie z obniżonym krokiem są przejawem elegancji, podobnie jak kolczyk w nosie, bez tatuaży kobieta czy mężczyzna, wszystko jedno – trans, bi, poli czy



FOT. WOJCIECH STRZYK, REPORTER

queer, są zapóźnieni w rozwoju, a jak komuś się to nie podoba, niech wyp..... Ma być zaje..... fajnie i już.

Naturalnie nie wszyscy pokładają uszy po sobie. Na przykład papież Benedykt XVI wielokrotnie przypominał, że „życie jest poszukiwaniem prawdy, dobra i piękna. Taki właśnie cel przyświeca naszym wyborom, to dla niego korzystamy z naszej wolności i w tym – w prawdzie, dobru, pięknie – znajdujemy szczęście i radość. Nie dajcie się zwieść tym, dla których [...] nowość uchodzi za piękno”. Tyle że na te słowa nakładają się obrazy darcia Biblii na strzępy, łamania krzyży, profanacji świątyń. A zdaniem naszej literackiej noblistki, Olgi Tokarczuk: „Mesjasz będzie czysty i nieskalany, żeby jednak dostosować się do świata upadku, musi się wytarzać w jego ekskrementach jak pies, który tarza się w odchodach, żeby zgubić i zniwelować własny zapach”.

Zdawałoby się, że coś nas od psów, mimo wszystko, różni. A skąd! Sezonowa gwiazda myśli współczesnej, wzięty mędrzec z Izraela, Juwal Harari, daje wyraz oburzeniu, że „bezprawnie stawia-

my ludzkie dzieci wyżej prosiat”, i pyta: „Czy ludzie mają w sobie jakąś iskrę oprócz wyższej inteligencji i większych możliwości, która odróżnia ich od świń, kur, szympanśów...”. No właśnie mają i to ona pozwala przynajmniej części ludzkości nazywać brzydactwo – brzydactwem, a piękno – pięknem, pomimo zadziwiających postępów transhumanizmu, gender, LGBTQ i wszystkiego innego, co obraża Boga i człowieka.

Musimy się bronić – powiada autor wydanej przez Białego Kruka książki. Jak? Celebrując to piękno, które jeszcze istnieje, a plugastwo nazywając po imieniu. Z tym że Janusz Szewczak, kierując się zapewne najlepszymi intencjami, przedobrzył, niemal każdą miłą jego sercu osobę opatrując przymiotnikiem „wielki” lub „wybitny” w przeciwieństwie do postaci obojętnych lub, nie daj Boże, wrogich – bezprzymiotnikowych. A już bardziej serio: kompletnym nieporozumieniem jest nazwanie pocziwego Przybosa turpistą (od łac. turpis – brzydki), podczas gdy to ten właśnie poeta w swojej „Odzie do turpistów” skrytykował poetów młodszego pokolenia, ze Stanisławem Grochowiakiem na czele, za uprawianie przez nich kultu brzydoty i stosowanie rekwizytów fizycznego rozkładu, za podejmowanie słowami upiornej, dewiacyjnej gry z życiem i śmiercią. I w jasnych, zdawałoby się, intencjach pytał:

Czyżbyście wierzyli [...]

Że brzydkie to piękne, ładne to szkaradne i na odwrót?

No i po latach został nazwany „wielkim wyznawcą brzydoty w sztuce, poetą i turpistą”. Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. ©



★★★★★

**JANUSZ
SZEWCZAK**
„PIĘKNO
ZDEPTANE, KULT
BRZYDOTY”
**BIAŁY KRUK,
KRAKÓW 2023**



POCZYTANKI

Zwyczajni ludzie

PIOTR GOCIEK

Biada czasom, w których ambasadorów rozumu i rozsądku stawia się pod pręgierzem. Autorem „Przewodnika łowcy i zbieracza po XXI wieku” to właśnie się przydarzyło: doktoraty, badania i długie lata owocnej uniwersyteckiej kariery zdały się na nic, gdy przebudźcowa polityczną poprawnością studentki motłoch zmusił ich do rezygnacji z Evergreen State College. Co ciekawe, pozwala uczelnię, zarzucając jej brak ochrony pracowników przed prześladowaniami – i wygrali, bo tak należy interpretować odszkodowania, które otrzymali w wyniku ugody (po 250 tys. dol każdy). Tak oto para biologów ewolucyjnych, Heather Heying i Bret Weinstein, zapisała się w annałach współczesnej nauki w sposób, który nie przynosi chwały amerykańskiemu systemowi edukacji.

Jakież to herezje głosili? Co dopingowało młodych wyznawców cancel culture, woke culture itp. do wyzisk i gróźb rękoczynów? Ano m.in. to, co znajdziemy w wydanej właśnie w Polsce książce. W największym skrócie: nic strasznego. W opowieści z podtytułem „Ewolucja i wyzwania współczesnego życia” naukowcy przypominają, że biologii nie da się ośzukać, że gdy ktoś

urodzi się kobietą lub mężczyzną, to z punktu widzenia nauki tym właśnie jest, niezależnie od tego, jakich dokona na sobie operacji i kim ogłosi, że się czuje. To tylko jeden z wielu przykładów czegoś, co inżynierowie dusz uważają za herezję.

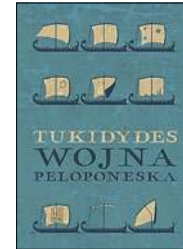
Ale nie bez powodu cywilizacja i rodzaj ludzki rozwijały się dotąd tak, a nie inaczej. I osiągały sukces. „Żyjemy w grupach i posiadamy hierarchie. Stosujemy wzajemność, wymianę zarówno prezentów, jak i ciosów. Współpracujemy, by konkurować. Mamy prawo i przywódców, obrzędy i religie. Podziwiamy gościnność i hojność, piękno natury i innych ludzi. Tańczymy i śpiewamy. Bawimy się”. Oczywiście oczywistości, które idą dziś pod prąd nowych ideologii próbujących ogłosić, że wszystko wynajdą na nowo: moralność, cnoty polityczne oraz naukę – której przecież nie da się ośzukać. No tak, w tradycyjnym jej rozumieniu. Lecz to, co tradycyjne, jest dziś synonimem zła. Od obyczajów reprodukcyjnych do zasad rządzących ekonomią, od rytuałów do mediów, od rodzicielstwa do diet – autorzy „Przewodnika...” tłumaczą, dlaczego nie można bezkarnie zmieniać tego, kim jesteśmy. Oto jedna z ważniejszych książek roku. Nie można jej przegapić. © ©



★★★★★
**HEATHER HEYING,
BRET WEINSTEIN**
**„PRZEWODNIK
ŁOWCY
I ZBIERACZA PO
XXI WIEKU”**
ZYSK I S-KA 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jedno z najważniejszych ocalałych dzieł antyku w nowej edycji. Plus przedmowa prof. Kazimierza Kumanieckiego (autora przekładu), ilustracje, mapa całego teatru działań wojennych i indeks.



TUKIDYDES
**„WOJNA
PELOPONESKA”**
CZYTELNIK

Architekci, bukińscy, artyści, kurtyzany – imponujący obszernym materiałem ilustracyjnym portret stolicy Francji z czasów, gdy była także stolicą świata. Współautorka: Marta Orzeszyna.



**MAŁGORZATA
GUTOWSKA-
ADAMCZYK**
**„PARYŻ BELLE
ÉPOQUE”**
REBIS

Rozmowy o Śląsku z prof. Franciszkiem Antonim Markiem. Czy Polska traci Śląsk? Konkluzje raczej smutne. Cennym uzupełnieniem jest zapis dyskusji z udziałem prof. Zbigniewa Zielenki i dr Leona Korca.



**RYSZARD
SURMACZ**
**„PRZESZŁOŚĆ DLA
PRZYSZŁOŚCI”**

Indianin, w którym żyje duch gen. Custer, Ameryka XIX stulecia i medytacja nad losem przegranych i wygranych – najbardziej nieoczywista powieść mistrza współczesnej fantastyki. © ©

recenzuje Piotr Gociek



DAN SIMMONS
„CZARNE GÓRY”
VESPER

KOMIKS TYGODNIA:

„DZIENNIK Z ZAGINIĘCIA”

„Nobody Loves You (When You're Down and Out)” śpiewał niegdyś John Lennon. Popularny japoński twórca komiksów (aktywny w zawodzie przez cztery dekady) w obsypanym nagrodami dziele powraca do czasów, gdy przechodził depresję i miał poważne kłopoty z alkoholem. Opowieść wyrzutek na kartach tej mangi jest



HIDEO AZUMA
**„DZIENNIK
Z ZAGINIĘCIA”**
HANAMI 2023

fikcyjna, ale emocje wyjęte z prawdziwego życia. Udało się jednak wzbogacić je o humor (fakt, że czasem czarny). **Piotr Gociek**



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Picasso. Po prostu

Czasem mniej znaczy więcej. „Picasso” – i więcej nie trzeba. Tak zatytułowana wystawa, otwarta niedawno w Muzeum Narodowym w Warszawie, bez wątpienia przyciągnie tłumy. I nic dziwnego. Prezentowanych jest na niej 127 dzieł Pabla Picassa, z czego 75 przyjechało do

stolicy Polski z hiszpańskiej Malagi, z Museo Casa Natal Picasso (Muzeum – Dom Narodzin Picassa). Pozostałe 52 prace pocho-

dzą ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie. Większość z nich podarował polskiemu muzeum sam Pablo, gdy przebywał w Warszawie w 1948 r. Zostawił zatem w stolicy Polski (nasz kraj odwiedzić miał na kilka dni, został na kilkanaście) znacznie więcej niż tylko kłopotliwy rysunek na ścianie kamienicy, który ściągał na głowy mieszkańców tłumy gapiów.

Ekspozycję podzielono na cztery sekcje: 1. Refleksje Picassa na temat piękna; 2. Jego fascynacja postaciami mitologicznymi; 3. Ceramika; 4. Poloniki w twórczości artysty, zwłaszcza dzieła ze zbiorów Muzeum Narodowego. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Warszawie



FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



FOT. TEATR POLSKI W SZCZECINIE

TEATR NA PLAKACIE

Tu z kolei tytuł mówi długo, ale mówi niemal wszystko, przytoczę więc w całości: „Europejski plakat teatralny i kabaretowy od końca XIX wieku do lat 30. XX wieku z kolekcji Muzeum Etnografii i Przemysłu Artystycznego Instytutu Etnologii Narodowej Akademii Nauk Ukrainy we Lwowie”. Plakaty reklamowe m.in. przedstawień teatralnych, filmów, a także bałów maskowych i pokazów gimnastyki. Wśród autorów m.in. Alfons Mucha z przełomowym w jego karierze plakatem do „Gismondy” z 1894 r. ©©

GDZIE? Teatr Polski w Szczecinie
KIEDY? do 30 listopada

NA SŁUCH

„Niech starzy wciąż wierzą, że są młodzi”



GRZEGORZ BRZozowicz

Dwa lata po śmierci perkusisty Charliego Watts, 18 lat po ostatniej płycie z premierowymi piosenkami i 61 lat po założeniu zespołu The Rolling Stones są znowu na ustach całego świata. Właśnie wydali 24. album studyjny, którego tytuł w londyńskim slangu oznacza rozbitą przez włamywaczy szybę w słynącej z przestępstw dzielnicy Londynu.

Możliwe że „Hackney Diamonds” to najciekawsza płyta Jaggera i kompanów od ponad 40 lat, czyli od albumu „Tattoo You” w 1981 r. Jednak składa się z „diamencików”, które lśnią światłem odbitym od znacznie szlachetniejszych kamieni. Otwierający album singel „Angry” od razu rodzi skojarzenia

ze „Start Me Up”, a „Sweet Sounds of Heaven”, zaśpiewana przez Micka w duecie z Lady Gagą, jest gospelowo-rockową epopeją w stylu „You Can’t Always Get What You Want” sprzed ponad pół wieku.

W pierwszej połowie płyty Jagger na przemian kipi wściekłości albo na establishment, albo na natarczywą partnerkę. W drugiej części jest bardziej melancholijny. Natomiast Keith Richards pyta w śpiewanym przez siebie „Tell Me Straight”: „Czy moja przyszłość to przeszłość?”.

Dwa nagrania zdążył zarejestrować Charlie Watts. W pozostałych na perkusji gra Steve Jordan. Na żadnej płycie grupy nie było aż tylu znamienitych gości. Oprócz Lady Gagi w nagraniach

wzięli udział: Stevie Wonder, Elton John, Paul McCartney i... współzałożyciel grupy, Bill Wyman, dla którego było to pierwsze od 34 lat spotkanie w studiu z dawnymi kumplami. Producentem albumu jest Andrew Watt, znany ze współpracy m.in. z Ozzyem Osbourne’em, Iggyem Popem i Eddiem Vedderem. Watt doskonale się sprawdził, gdyż z jednej strony nie ingerował w piosenki, a jednocześnie wzbogacił je błyszczącymi elementami z bogatej przeszłości zespołu.

„Hackney Diamonds” wprawdzie nie przejdzie do mitologii Rolling Stonesów, ale zawiera wystarczająco dużo atutów, by przypomnieć wszystkim, że kiedyś był to Najlepszy Zespół Na Świecie. ©©



★★★★★
THE ROLLING STONES
„HACKNEY DIAMONDS”
POLYDOR



TANI
PARKING



WYGODNY
DOJAZD



DARMOWY
BUS

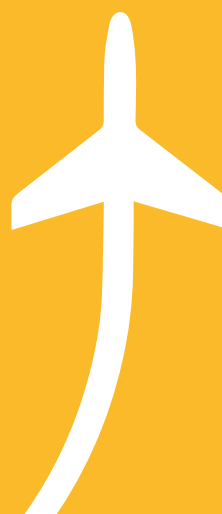
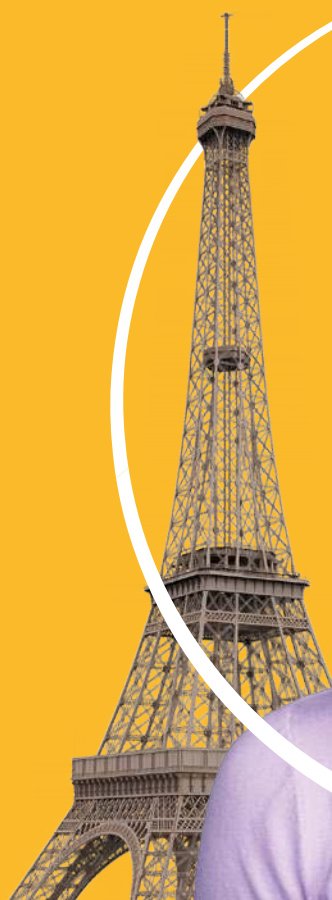
LOTNISKO
WARSZAWA-RADOM



KOMFORT NA STARCIE

MODNY LOT Z RADOMIA DO PARYŻA

LEĆ NA LOTNISKO RDO.WAW.PL
SPRAWDŹ LOT.COM



POLSKIE LINIE LOTNICZE

LOT

A STAR ALLIANCE MEMBER



eprasa.pl 54003b5efe



Krzysztof Masłoń

Niech nikt nie opowiada, że pakująca się właśnie ekipa zalegająca ostatnimi laty studia na Woronicza żyła w medialnej bańce, łudząc się, że tak będzie zawsze. Gdyby tak było, nie zaplanowanoby na noc tużpowyborczą emisji Bonda krzepiąco zatytułowanego „Nie czas umierać”. No pewnie, że nie. Na razie przewidujemy wzmożony ruch na Dzielnej w TV Republice, gdzie w końcu można przeczekać najbardziej gorący czas, a potem się zobaczy.

Dlatego zupełnie niepotrzebnie dramatyzowała sytuację Telewizja Puls, wybierając na wyborczy wieczór sensacyjny film „Uciec, ale dokąd?”. W końcu wojak Szwajk, tak chętnie cytowany przez redaktora Stanisława Janeckiego z dogorywającego właśnie programu TVP Info „W tyle wizji”, powtarzał często: „Jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było”.

Jeśli chodzi o inne telewizje, to TVN-owska ramówka wyborów oczywiście nie zauważyła, jako że już dawno teoretycznie główny program tej stacji stał się jedynie nic nieznaczącym dodatkiem do tego, co najważniejsze, czyli kanału TVN24, godnie kontynuującego najlepsze tradycje Fali 49 Wandy Odolskiej i Stefana Martyki. Jak skończył ten ostatni, wiedzą chyba już tylko historycy z IPN, w każdym razie na Wiertniczej wyraźnie o tym nie słyszeli.

Polsat zrobił swoje, czyli po wieczorne wyborczym nadał w zasadzie obojętny „Wyścig z czasem”. Stacja ta skupia się zresztą jak nie na rozrywkowych listach gończych, „Twoja twarz brzmi znajomo”, to na reality show „Ona mówi, on go-



Daniel Craig i Ana de Armas w „Nie czas umierać” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Majufesa Czas zacząć

tuje”, co w każdej chwili można podmienić na „Ona tłumaczy, on tyra”. Ona, czyli władza, która tłumaczyć będzie narodowi, że tyrać ma do usranej śmierci i jeden dzień dłużej. Zgodnie ze swoją wolą wyrażoną w dumnie przez niego odrzuconym, a podstępnie podsuwanym przez PiS, referendum.

Kompletne niezainteresowanie tematyką wyborczą – równe niemal temu, jaki wykazują twórcy i realizatorzy ulubionych seriali Polaków, czyli „Klanu” i „M jak miłość” – zademonstrował ślicznie wabiący się kanał Romance TV, wyświetlający, jeden za drugim, dzieła znanej w świecie z wysokiego poziomu kinematografii niemieckiej, w rodzaju komedii romantycznej „Między młotem a kowadłem”, też komedii, ale mniej romantycznej, za to bardziej obyczajowej „Straszliwie bogata para” czy melodramatu „Czas, żeby żyć”.

O właśnie. Rozradowany wynikiem wyborów Donald

Tusk zakończył swoje pierwsze wystąpienie podretuszowanym cytatem z piosenki Vox: „Szczęśliwej Polski już czas”. Tym samym Jerzy Kryszak, który pięć miesięcy temu ołsnął tymi słowami publikę Sopotkiego Hitu Kabaretowego, w nowym rozdaniu wszedł w buty Jana Pietrzaka. I teraz będzie już chadzał w glorii, przynajmniej do następnych wyborów. Przy okazji demontując pogłoskę, jakoby Voxowy przebój ze słowami Ryszarda Rynkowskiego (i Mariana Skolarskiego) nadawany był od nowego roku na początek i koniec programu telewizji publicznej, niczym kiedys „Mazurek Dąbrowskiego”.

Możemy za to, i powinniśmy, spodziewać się zalewu programów nadrabiających haniebne zaniedbania wynikłe z prowadzenia przez rządzącą ekipę niezrozumiałej polityki wymierzonej w naszych sprawdzonych przyjaciół zza zachodniej granicy. I tu będzie potrzebna praca u podstaw. Na początek

rozhułane po szklanym ekranie swojskie „Biesiady” zastąpione zostaną „Festami”. W programach kulinarnych podawane będą przepisy na Eintopf i organizowane konkursy na najlepszą Kartoffelsalat.

Po zwolnieniu nieznosnej cenzury obyczajowej telewizjom należy się także solidna porcja bezpruderyjnej rozrywki i dlatego warto sięgnąć do klasycznych pozycji, jakże swego czasu popularnego, Lederhosenfilmu. W radiowej Jedynce przypomnieć należy cenioną audycję „Moskwa z melodią i piosenką słuchaczom polskim”, z tym że naturalnie „Moskwę” zmieni się na „Berlin”, a w sygnale kremłowski kuranty zastąpi lubiany, najbardziej w Gdańsku, utwór „Ein Heller und ein Batzen” znany również jako „Heili, Hailo”.

Przed wszystkim jednak raz na zawsze zaprzestać należy produkcji „Dewajtisów” i im podobnych nacjonalistycznych bzdetów. Oczywiście należy dbać o korzenie, ale podążając ścieżkami, na których tak zgrabnie poruszał się reżyser Gazda, dostosowując „Znachora” do współczesnych wymogów i przywracając zakłamaną prozie Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, bezmyślnie zekranizowaną przez Jerzego Hoffmana, właściwy wydzźwięk. Do czego, o czym dobitnie przekonał się na Netflixie, nie trzeba było specjalnego wysiłku. Teraz powinno pójść z górki: np. w nowej wersji „Pana Tadeusza” Podkomorzy nie będzie ruszał do poloneza, a do lendlera, no i o majufesie nie zapomni, co się rozumie samo przez się.

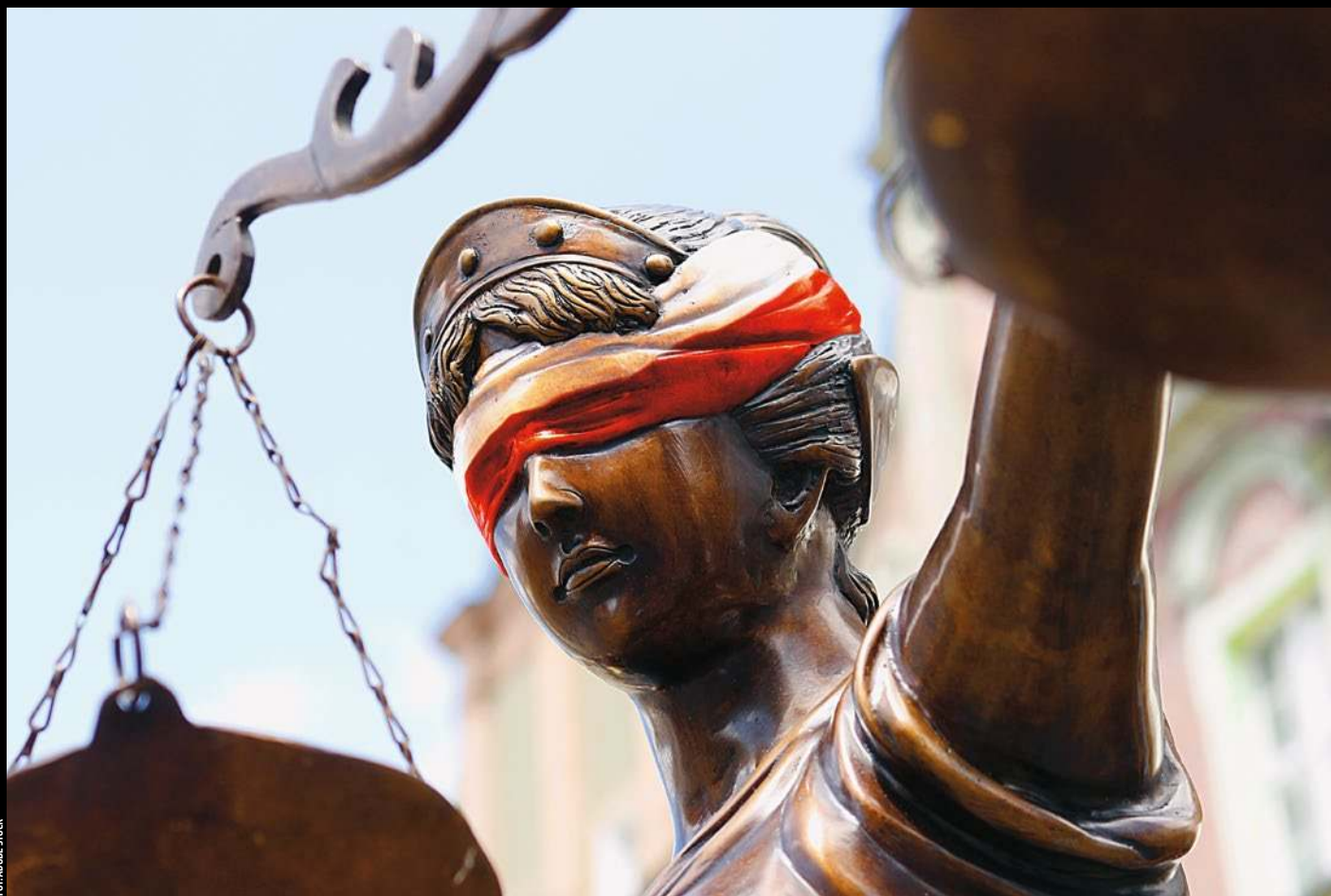
A naprawdę co właściwie się stało 15 października? Polska grała z Mołdawią i mogła przegrać, a przecież zremisowała. Tylko po co? Poza tym Prawo i Sprawiedliwość mogło ponieść klęskę w wyborach, a wygrało. Tylko po co? © ©



DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 16

Jak wygrać z polonofobią

- Kłamcy przed sądem – jak Polacy bronią dobrego imienia swojego narodu
- Skuteczna polityka historyczna – czego Polska może się nauczyć m.in. od Izraela
- Manipulacje, kłamstwa i pomówienia – jak działają środowiska wrogie Polsce
- Edukacja i walka o prawdę historyczną na temat drugiej wojny światowej



FOT. ADAM STOK

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



funduszsprawiedliwosci.gov.pl



Ministerstwo
Sprawiedliwości



eprasa.pl 54003b5efe



FOT. ANDRZEJ STOK

SPIS TREŚCI

51 PRZECIW POLONOFOBII

Jak walczyć o dobre imię Polski? Gdzie szukać najlepszych przykładów? Które narzędzia są najskuteczniejsze, jeżeli chodzi o ściganie ludzi kłamiących na temat historii Polski, posądzających nasz naród o najgorsze zbrodnie? To główne pytania, na które redakcja tygodnika „Do Rzeczy” starała się znaleźć odpowiedzi, tworząc dodatki na temat walki z polonofobią

54 SĄDOWA WALKA O PRAWDĘ

3 października odbyła się konferencja „Prawna obrona przed polonofobią”, organizowana przez tygodnik „Do Rzeczy”. Podczas spotkania prawnicy, historycy, publicyści i politycy dyskutowali na temat najlepszych sposobów na walkę z polonofobią i zakłamywaniem historii Polski, szczególnie roli Polaków w trakcie drugiej wojny światowej

58 SKUTECZNA POLITYKA HISTORYCZNA

Jednym z powodów skuteczności polityki historycznej Izraela jest panujący w nim daleko idący konsensus – zauważyli uczestnicy drugiego panelu. Dostrzegając, że Polska potrzebuje państwowej polityki historycznej i jasno określonych celów, które dzięki polityce pamięci chciałaby osiągnąć

61 OBRONA POPRZEC ATAK

Jakie mechanizmy wykorzystują środowiska, które oczerniają Polskę w oczach międzynarodowej opinii publicznej? Kto inspirował takie ataki i czy państwo powinno wspierać działalność jednostek badawczych, które wytwarzają kontrowersyjne publikacje o roli Polaków w drugiej wojnie światowej? – rozważali uczestnicy panelu „Manipulacje, kłamstwa i pomówienia – jak działają środowiska wrogo Polsce”

64 EDUKACJA HISTORYCZNA FUNDAMENTEM PRZYSZŁOŚCI

Państwo musi przykładać jeszcze większą rolę do nauczania historii w szkołach podstawowych i średnich. Tylko świadomi swej przeszłości obywatele są w stanie budować sprawnie funkcjonującą wspólnotę narodową – to najważniejsze wnioski z panelu „Edukacja i walka o prawdę historyczną na temat drugiej wojny światowej”

Chronienie pamięci o naszej historii jest o tyle trudne, że kłamliwe wypowiedzi o dziejach Polski (szczególnie w kontekście drugiej wojny światowej), które bardzo poważnie szkodzą reputacji naszego państwa, często są kolportowane przez cudzoziemców i podmioty zagraniczne. O mechanizmach, które polscy prawnicy mogą wykorzystywać, by ścigać kłamców historycznych, opowiadał w szczegółach w jednym z dodatków mec. Lech Obara ze Stowarzyszenia Patria Nostra, które zajmuje się walką o dobre imię Polski.

„Spośród narzędzi, których można używać do obrony prawdy historycznej, zdecydowanie najlepszym jest prawo cywilne. W ciągu ostatnich lat pojawiły się mechanizmy, które pozwalają skutecznie reagować na próby fałszowania naszych dziejów – tłumaczył mec. Obara. – Zdaje sobie przy tym sprawę, że sięganie po środki cywilne jest często sprzeczne z wolą wielu Polaków, którzy chcieliby ostrzejszej reakcji na najbardziej podłe kłamstwa historyczne, w rodzaju twierdzeń o »polskich obozach zagłady« czy przypisywania nam współudziału w innych w niemieckich zbrodniach. Niektórzy bowiem chcieliby takich kłamców przede wszystkim ścigać w oparciu o kodeks karny”.

Prawnicy, którzy wypowiadali się w naszych dodatkach, opowiadali o problemach związanych z pozywaniem największych zagranicznych mediów (szczególnie niemieckich), w których kolportowane były informacje wprost lub pośrednio sugerujące, że to Polacy odpowiadali za masowe mordowanie Żydów w czasie drugiej wojny światowej. Wiele wskazuje jednak na to, że te procesy sądowe okazały się skuteczne.

„Gołym okiem widać, że pozywanie niemieckich portali zaczęło przynosić dobre owoce. Właściwie nie słyszy się już w tej chwili, żeby niemieckie media mówiły o »polskich obozach zagłady« czy też »polskich gettach«. Obecnie, gdy niemieccy wydawcy wiedzą już doskonale, że Polacy walczą przed sądami z takimi stwierdzeniami, a polski sąd może nakazać przeproszenie lub wypłatę zadośćuczynienia, niemieccy dziennikarze wiedzą, jakich słów powinni się wystrzegać. To najlepszy, najbardziej satysfakcjonujący owoc naszej pracy” –

tłumaczyli w udzielonym nam wywiadzie mec. Monika Brzozowska-Pasieka oraz mec. Jerzy Pasieka, którzy od lat walczą w sądach z kłamcami historycznymi.

Wśród Polaków szczególnie zasłużonych na tym polu wspomnieć należy również śp. Karola Tendere, więźnia niemieckiego obozu Auschwitz-Birkenau. Pan Tendera (zmarł w 2019 r.) poczuł się urażony artykułem, który ukazał się w 2013 r. na stronie internetowej ZDF. Tekst omawiał film dokumentalny o niemieckich obozach zagłady. Znalazła się w nim fraza: „Odkrycie polskich obozów zagłady na Majdanku i w Oświęcimiu w lipcu 1944 r. i styczniu 1945 r.”. Były więzień niemieckiego obozu postanowił

na ten temat ma się bowiem jeszcze Europejski Trybunał Praw Człowieka.

POLITYKA HISTORYCZNA

W naszych dodatkach analizowaliśmy również politykę historyczną państw, które szczególnie wyraźnie korzystają z tego mechanizmu kształtowania wizji własnych dziejów. Mowa o Izraelu, Rosji i Niemczech. Każde z tych państw posiada wyspecjalizowane instytucje, które dbają o spójność przekazu. W przypadku Rosji problem polega na tym, że polityka historyczna Moskwy, szczególnie na temat dziejów XX w., składa się głównie z kłamstw. Dobrze jest jednak rozumieć, w którą

Przeciw polonofobii

Jak walczyć o dobre imię Polski? Gdzie szukać najlepszych przykładów? Które narzędzia są najskuteczniejsze, jeżeli chodzi o ściganie ludzi kłamiących na temat historii Polski, posądzających nasz naród o najgorsze zbrodnie? To główne pytania, na które redakcja tygodnika „Do Rzeczy” starała się znaleźć odpowiedzi, tworząc dodatki na temat walki z polonofobią

wytoczyć ZDF sprawę sądową. Zasądzone w polskim sądzie przeprosiny nie zostały jednak wykonane w Niemczech – sędziowie Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe wzięli niemieckich dziennikarzy w obronę i stwierdzili, że oświadczenie nakazane w orzeczeniu polskiego sądu, mówiące o tym, iż nie było polskich obozów śmierci, jest jedynie opinią. A dziennikarze nie mogą być zmuszeni do głoszenia cudzych opinii... To pokazuje, jak trudne bywają takie sprawy sądowe. Jednak wciąż jest nadzieja, że sprawa śp. Karola Tendery ostatecznie zakończy się pomyślnie – wypowiedzieć

stronę opowieść o dziejach naszej części Europy ciągnie Kreml, ponieważ – jak pokazuje to przykład wojny na Ukrainie – Moskwa sygnalizuje w swojej polityce historycznej kierunki agresji.

„Oblężona twierdza, która od wieków broni się przed agresją Zachodu. A jednocześnie pogromca Hitlera, co samo w sobie zasługuje na aureolę świętości. Tak wygląda przeszłość Rosji z perspektywy kremlowskiej polityki historycznej – tłumaczył na naszych łamach publicysta „Do Rzeczy” Maciej Pieczyński. – Sakralna metafora jest tu w pełni uzasadniona. Rosja, odizolowana od świata zachodniego, nie przeszła

■ szkoły renesansu, sekularyzacji, humanizmu, a racjonalizm dotarł tam w powierzchownej, zinstrumentalizowanej formie w dobie oświeceniowego otwarcia na Europę Zachodnią i nigdy się zbyt głęboko nie zakorzenił. Nawet sowiecki komunizm, szczególnie w epoce Stalina, przypominał religię, ze swoim kultem jednostki wodza, nieprzypadkowo nazywanego »czerwonym carem« – prawosławny Bóg został tylko zastąpiony bożkiem komunizmu. Pamięć historyczna Rosjan, szczególnie ta oficjalnie krzewiona przez władze, nie jest przedmiotem analizy ani rozliczeń, lecz kultu własnie”. Musimy rozumieć, że Rosja stworzyła z historii potężny instrument polityczny do zapewniania poparcia własnego społeczeństwa dla każdej agresji, co dziś widzimy na Ukrainie. Niestety, coraz częściej w rosyjskiej debacie słychać też historyczne wątki antypolskie, co powinno zapalać w Warszawie czerwone światła alarmu.

Jak z kolei pokazuje w udzielonym nam wywiadzie prof. Bogdan Musiał, Niemcy w swojej polityce historycznej postawili głównie na przekonywanie świata, że doskonale rozliczyli się ze swoją historią i dziś sami mogą pouczać innych, jak to robić. Fakty pokazują jednak, że rzeczywistość jest zupełnie inna. Większości niemieckich zbrodniarzy z czasów drugiej wojny światowej włos z głowy nie spadł, ponieważ powojenne Niemcy zrobiły wszystko, by nie doszło do rozliczeń na większą skalę.

„Przypomnijmy, co było priorytetem po stworzeniu RFN: ochrona zbrodniarzy i zapobieżenie wypłacaniu odszkodowań za straty wojenne. Pomogła im w tym oczywiście zimna wojna. Zachodowi potrzebny był silny sojusznik w postaci

Rola Polski i Polaków w trakcie drugiej wojny światowej jest jasna i mamy prawo opowiadać o niej światu

Niemiec. Chodziło nie tyle nawet o siłę wojskową Niemiec, ile o potencjał gospodarczy, świetny przemysł zbrojeniowy. Kiedy alianci przyjęli Niemcy do NATO, musieli zmienić narrację – tłumaczył w dodatku „Do Rzeczy” prof. Bogdan Mu-



siał. – Niemieckich zbrodniarzy było tylu, że aby uczciwie ich rozliczyć, Niemcy musieliby wprowadzić specjalne zespoły prokuratorskie. Tymczasem RFN działała w tym kontekście na podstawie starego prawa karnego. Zbrodniarzom trzeba było więc udowodnić bezpośredni udział w konkretnej zbrodni, mnożono warunki, które trzeba było spełnić, by pociągnąć ich do odpowiedzialności. Zwykle to się kończyło tak, że ci nieliczni zbrodniarze, którzy stanęli przed obliczem niemieckiej Temidy, nie siedzieli w więzieniach dłużej niż 10 lat i wychodzili z powodu słabego stanu zdrowia. Ludzie, którzy obsługiwali komory gazowe, co do zasady żyli zaś sobie spokojnie i umierali we własnych łóżkach”.

Wydaje się, że w polityce historycznej absolutne mistrzostwo osiągnął Izrael ze swoją opowieścią o państwie twierdzy zabezpieczającym Żydów przed

powtórką z drugiej wojny światowej. Efekty tego widać choćby w USA, gdzie lobby proizraelskie ma ogromne wpływy.

Zdaniem ekspertów, którzy brali udział w projekcie „Do Rzeczy” „Prawna obrona przed polonofobią”, izraelska polityka historyczna to dobry przykład dla Polski. Problemem jest jednak to, że izraelska klasa polityczna jest zgodna w kwestii postrzegania własnych dziejów, natomiast w Polsce widać w tym kontekście ogromne podziały na linii prawica – lewica.

Polityka historyczna nie musi być propagandą i wcale nie trzeba wykorzystywać do jej prowadzenia instytucji zajmujących się „naukowym” fabrykowaniem kłamstw. Rola Polski i Polaków w trakcie drugiej wojny światowej jest zupełnie jasna i państwo polskie ma wszelkie prawo, by w sposób



„Prawo do prawdy” wciąż wypełniane jest treścią.
Ta koncepcja coraz bardziej zyskuje na znaczeniu

znania prawdy. To element tzw. sprawiedliwości tranzytywnej. Ale wydaje się też, że beneficjentami tego prawa mogłyby być całe narody lub grupy etniczne – tłumaczył w wywiadzie prof. Michał Balcerzak, prawnik z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. – »Prawo do prawdy« wciąż wypełniane jest treścią. Ta koncepcja coraz bardziej zyskuje na znaczeniu. Nic nie stoi na przeszkodzie, by grupa państw postanowiła, żeby prawo do prawdy potraktować jeszcze szerzej – jako prawo człowieka do zgodnej z prawdą narracji historycznej na temat tego, co dotyczy jego samego, jego rodziny lub narodu, z którego pochodzi, a także reagowania w przypadku pojawienia się szczególnie niebezpiecznych kłamstw historycznych”.

Profesor Balcerzak podkreślił, że to wielka szansa dla Polski i zarazem ogromne zadanie dla polskiej dyplomacji. Gdyby definicja „prawa do prawdy” została tak dalece rozszerzona, ułatwiłoby to Polakom zwalczanie kłamstw historycznych godzących w wizerunek naszego narodu, zrównujących Polaków z nazistami.

„Z pewnością nie jest to łatwa droga. Taka inicjatywa wymaga »pracy u podstaw« i zabierze zapewne wiele lat. Jako państwo nie powinniśmy tu sobie stawiać zbyt ambitnych celów, ponieważ nie sądzę, by udało się przyjąć w tej sprawie traktat międzynarodowy. Widzę jednak szansę, by małymi krokami wprowadzić tu standardy tzw. soft law, czyli wspomnianego »miękkiego prawa« – podkreślił prof. Balcerzak. – Pamiętajmy, w prawie międzynarodowym niekiedy kodyfikujemy to, co początkowo funkcjonuje jako »soft law«. Potrzebujemy do tego odpowiedniego forum, zapewne najlepsze byłoby forum Organizacji Narodów Zjednoczonych. Myślą przewodnią powinna być troska o prawdziwość narracji historycznej w oparciu o rzetelną wiedzę historyczną”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

instytucjonalny i profesjonalny opowiadać o niej światu.

„PRAWO DO PRAWDY”

W naszych dodatkach opisywaliśmy również m.in. kontekst i konsekwencje głośnego sporu z 2018 r. wokół nowelizacji ustawy o IPN. Europosel Patryk Jaki, który był wówczas wiceministrem sprawiedliwości i jednym z pomysłodawców tych zmian ustawowych, podzielił się w rozmowie z „Do Rzeczy” gorzką diagnozą: „Dziś już rozumiem, że jeżeli chcemy podejmować tak wymagające tematy, to najpierw musimy sami »przepracować« to, w którym miejscu jesteśmy i czy my w ogóle chcemy jeszcze walczyć o coś, co można nazwać polskim duchem. Burza, która się wówczas przetoczyła, pokazała, jak niedoświadczona jest znaczna część polskiej opinii publicznej, mediów, ale przede wszystkim elit politycznych. Pytanie, czy chcemy nawiązy-

wać do czasów wielkości Rzeczypospolitej, czy godzimy się, że tamtej Polski i tamtego wyjątkowego narodu polskiego już nie ma i nie będzie, w związku z czym – nie ma o co walczyć” – powiedział Patryk Jaki.

W cyklu na temat polonofobii zajmowaliśmy się też „Prawem do prawdy”, koncepcją stworzoną ok. 30 lat temu, gdy wobec upadku dyktatur w różnych państwach świata tamtejsze społeczeństwa domagały się poznania prawdy na temat popełnionych zbrodni. Chodziło tu nie tylko o ustalenie losów ofiar reżimów, lecz także o ujawnienie prawdy na temat zbrodni międzynarodowych.

„Artykuł 32. I Protokołu dodatkowego do konwencji genewskich zobowiązuje państwa do dbania o »prawo do wiedzy rodzin o losie ich członków«. Ta koncepcja pojawia się też w orzecznictwie m.in. Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Rodziny mają prawo do po-



Otwierając konferencję, redaktor naczelny „Do Rzeczy”, Paweł Lisicki, wyjaśnił, skąd w ogóle wziął się pomysł, aby rozmawiać o walce z polonofobią. Jak przyznał, to kontynuacja idei sprzed wielu lat. – Zaczęło się to jeszcze, gdy byłem redaktorem naczelnym „Rzeczpospolitej”. Powołałem wówczas coś, co się nazywało Klub Przyjaciół Rzeczypospolitej. Jedną z pierwszych poruszonych przez nas kwestii była ochrona pamięci historycznej. Było to o tyle ciekawe, że pierwszy raz rozmawialiśmy publicznie o tym, jak odróżnić pamięć historyczną od propagandy oraz w jaki sposób podchodzić do polityki historycznej i czym się ona różni od propagandy. Ówczesny prezes IPN Janusz Kurtyka powiedział wówczas, że podstawowym kryterium odróżniającym jest stosunek do prawdy. Rzeczywiście, tak w istocie jest. Propaganda zakłada, że mamy zestaw emocji, które chcemy

Sądowa walka o prawdę

3 października odbyła się konferencja „Prawna obrona przed polonofobią”, organizowana przez tygodnik „Do Rzeczy”. Podczas spotkania prawnicy, historycy, publicyści i politycy dyskutowali na temat najlepszych sposobów na walkę z polonofobią i zakłamywaniem historii Polski, szczególnie roli Polaków w trakcie drugiej wojny światowej



Konferencję otworzył redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ/ARSLUMEN.PL

pobudzić u ludzi. Pamięć historyczna opiera się zaś na tym, że odwołujemy się do rzeczywistości. Element pozytywny – prawda – jest podstawą polityki historycznej – mówił.

Podczas pierwszej części – „Kłamcy przed sądem – jak Polacy bronią dobrego imienia swojego narodu” – głos zabrali adwokaci, którzy przed sądami walczyli z mediami zakłamującymi historię Polski. Mecenas Szymon Topa ze Stowarzyszenia Patria Nostra wraz z mec. Lechem Obarą reprezentowali m.in. śp. Karola Tenderę, więźnia niemieckiego obozu Auschwitz-Birkenau, który postanowił wytoczyć niemieckiej stacji telewizyjnej ZDF sprawę sądową za nazwanie obozów zagłady na Majdanku i w Oświęcimiu „polskimi”. Sprawa zyskała szeroki rozgłos i toczyła się nie tylko w Polsce, lecz także w Niemczech. Niemieccy sędziowie przyznali, że fraza „polskie obozy” nie może być

uznawana za określenie geograficzne, ponieważ niewyrobiony czytelnik uzna, iż jest to określenie narodowości sprawców zbrodni. Potwierdzili tym samym zasadność wyroku polskiego sądu i nakazali przeproszenie Karola Tendery. Jednak adwokaci ZDF odwołali się do Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, który podważył wcześniejsze wyroki.

Z kolei mec. Monika Brzozowska-Pasieka oraz mec. Jerzy Pasieka już od dekady prowadzą sprawę z powództwa kpt. Zbigniewa Radłowskiego oraz Światowego Związku Żołnierzy AK, którzy pozwali twórców niemieckiego serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”, żądając przeprosin za to, w jaki sposób przedstawieni zostali w nim żołnierze Armii Krajowej. To jeden z najgłośniejszych przykładów walki ofiar niemieckiej okupacji przeciwko przypisywaniu Polakom współudziału w Holokauście. W pozwie kpt. Radłowski stwierdził, że szczególnie dotknęły go nieprawdziwe sceny, w których pada sugestia, iż żołnierzom AK ludność sprzedawała żywność pod warunkiem, że w formacji tej nie było Żydów oraz fragment, na którym AK-owcy dokonują napadu na pociąg, po odsunięciu drzwi okazuje się, że jadą nim ludzie w pasiakach, a żołnierze AK ich zostawiają, mówiąc, że „to Żydzi, a ci są gorsi niż komuniści”. Panel moderował Karol Gac, szef portalu DoRzeczy.pl.

Na wstępie prelegenci zostali poproszeni o przybliżenie słuchaczom prowadzonych przez siebie spraw oraz walki, którą musieli toczyć w polskich sądach. Mecenas Brzozowska-Pasieka zwróciła uwagę słuchaczy, że sprawa dotycząca filmu „Nasze matki, nasi ojcowie” toczy się w Polsce już od 10 lat. – Mamy pozytywną decyzję Sądu Apelacyjnego, ale została złożona kasacja i od dwóch lat jest ona w Sądzie Najwyższym, ponieważ w składzie występują sędziowie, którzy, zdaniem drugiej strony, zostali powołani nieprawidłowo, i co chwila jest wniosek o wyłączenie sędziów – tłumaczyła. – Pan kapitan Radłowski, który za pół roku będzie miał 100 lat, powiedział nam jednak, że nigdzie się nie wybiera dopóty, dopóki nie będzie miał wyroku z Sądu Najwyższego – mówiła. Prelegentka przyznała, że w 2013 r., na samym początku sprawy,

wraz z mec. Pasieką nie wiedzieli nawet, na jakiej podstawie oprzeć pozew. – Ogromnym wsparciem byli dla nas mec. Obara i mec. Topa, którzy wykuwali tę doktrynę. To najgłośniejsza sprawa, ale było też wiele innych, co wykuwało linię orzeczniczą. Dość powiedzieć, że przez pierwsze trzy lata czekaliśmy na decyzję dotyczącą zwolnienia nas z kosztów procesowych – wspominała.

Mecenas Brzozowska-Pasieka za-uważała jednak, jak wiele zmieniło się na przestrzeni ostatnich 10 lat w tym zakresie. – Początkowo sądy chciały nas wysłać do Berlina, Monachium czy Frankfurtu. Obecnie sądy nie zastanawiają się, czy mają się tym zająć, tylko się tym zajmują. To ogromny sukces wielu kancelarii. W 2013 r. nie mieliśmy żadnego orzecznictwa w kraju. Korzystaliśmy wyłącznie z europejskiego orzecznictwa – mówiła.

Sprawa dotycząca filmu „Nasze matki, nasi ojcowie” toczy się w Polsce już od 10 lat

Reprezentujący Stowarzyszenie Patria Nostra mec. Szymon Topa zwrócił uwagę, że dotychczasowe sprawy pokazały, iż prawo to nie tylko przepisy i orzeczenia. – Prawo jest determinowane przez ludzi, zwłaszcza w tych dziedzinach, które prawnu są nieznane. Walka z kłamstwem historycznym w latach 2008 czy 2009 była nowością w dziedzinie prawa. Wówczas atmosfera także była inna. Obecnie mówię głośno o tym temacie i odbywają się liczne dyskusje. Wcześniej tego nie było, ale istniała za to potrzeba społeczna. Mówiono, że trzeba jakoś zatrzymać tę falę fałszywych określeń o „polskich obozach”, gdy dyplomatyczne starania nie przynosiły efektu – mówił. Jak dodał, wszystko zaczęło się od Zbigniewa Osewskiego, który nie bacząc na przeciwności, postanowił pozwać koncern Axel Springer. – Był on głuchy na wszystkie przeszkody i to spowodowało, że znalazło się to na wokandzie. Mecenas Obara stwierdził, że nie zostawi go samego, i pomimo tych przeciwności walczyliśmy. Wszyscy

■ mówili, że się nie da, ale naszą rolą było reprezentowanie Zbigniewa Osewskiego. Chcieliśmy przekonać sąd, że to nie jest zwykła sprawa o naruszenie dóbr osobistych. W tamtym czasie prawnicy uważali, że nie można indywidualnie dochodzić roszczeń, jeśli obrażana jest zbiorowość. To była podstawowa przeszkoda. Pewnym rozwiązaniem było to, by przekonać sąd, że mamy do czynienia ze specyficznym dobrem, którym jest przynależność narodowa [...]. Ten sposób postrzegania tego dobra i tych wypowiedzi, uderzających w tę wartość, kształtował się przez wiele lat. Sędziowie wiedzieli, że to proces, który odpowiada na pewne potrzeby społeczeństwa – ocenił.

Ważne jest, by pamiętać o tym, że to ludzie, sędziowie nadają sens przepisom prawa

Mecenas Pasięka został zapytany o trudności, które wraz z mec. Brzozowską-Pasięką napotkał przez ostatnie 10 lat w polskich sądach. Jak powiedział, były to problemy, które „dotykają każdego prawnika występującego przed sądem”. – Trzy lata walczyliśmy po wniesieniu sprawy do sądu, by sprawa w ogóle się zaczęła. Złożyliśmy wniosek o zwolnienie z kosztów, a sąd potrzebował trzech lat, by się do niego przychylić. Już wtedy baliśmy się, że każdy miesiąc, każdy rok to może być za dużo dla kpt. Radłowskiego. Warto pamiętać, że są to sprawy o bardzo specyficznym „smaczku”. Adwokaci reprezentujący stronę niemiecką od początku przyjęli taktykę gry na czas. Były składane wnioski, które nie wносиły niczego nowego do sprawy. Są to rzeczy, z którymi musieliśmy się mierzyć, mając obawy o stan zdrowia kpt. Radłowskiego – mówił. Jak dodał, podstawowy problem, który wystąpił na początku, wynikał z tego, że sprawy dotyczyły naruszenia dóbr osobistych. – To katalog otwarty, a kodeks cywilny nie specyfikuje, co jest naruszeniem dobra, a co nie. Wytworzenie tego katalogu to wynik praktyki sądowej. Wykuwaliśmy więc poprzez orzecznictwo

określenie tych rzeczy, które są teraz pomocne. Praktyczna trudność polegała na tym, że przy takim pozwie dochodzi do starcia dwóch wartości – prawa do poczucia godności ze swojej historii, a z drugiej strony prawa do wolności artystycznej. Są to w tym przypadku wartości konkurujące, sprzeczne. Mieliliśmy świadomość, że wyrok nie musi być dla nas pozytywny, ale na szczęście sąd uwzględnił nasze powództwo i uznał, że ważniejsze jest prawo do godności niż wolność artystyczna – wskazywał.

DROGA CYWILNA CZY KARNA?

Karol Gac zauważył, że istnieją dwa podejścia do ścigania kłamców historycznych: droga cywilna i droga karna. Zwłaszcza że nie brakuje państw, które w sprawach historycznych wchodzi na tę drugą drogę. Która z nich wydaje się więc praktykom bardziej skuteczna i lepiej odstraszająca potencjalnych sprawców? Czy nie mamy do czynienia z pewnym napięciem – między oczekiwaniami społecznymi (droga karna) a rzeczywistością i pragmatyką (droga cywilna)?

Mecenas Monika Brzozowska-Pasięka przyznała, że choć nie jest przeciwnikiem drogi karnej, to jeśli chodzi o kwestię polonofobii czy „polskich obozów”, to mamy „tak dobrze przygotowane orzecznictwo cywilne, że jesteśmy tu w stanie prowadzić procesy”. – Myślę, że można byłoby iść także w inną stronę, czyli kwestii związanych z prawem prasowym. Te procesy także kończyły się sukcesem, czyli prostowaniem kłamstw. Jestem za tym, by korzystać z drogi cywilnej. Jedyną rzeczą, która powinna być jednak inaczej postrzegana, jest kwestia zadośćuczynienia, które z punktu widzenia praktyki są bardzo duże, ale ogólnie nie robią one wrażenia na firmach, które wrzucają je w koszty i jest to dla nich opłacalne – oceniła. Z takim podejściem zgodził się mec. Pasięka, który stwierdził, że ścieżka cywilna jest rozsądniejsza. – Przy tak nieokreślonych wartościach przejście na ścieżkę karną byłoby obciążone pewnym niebezpieczeństwem – dodał.

Nieco inne podejście zaprezentował mec. Topa. Jego zdaniem sens sięgnięcia do ścieżki karnej istnieje, ale należy pamiętać o jej złożoności. – Musimy pamiętać o pewnych ograniczeniach. Dużo trudniej jest ścigać przestępcę niż



W dyskusji prowadzonej przez redaktora naczelnego portalu dorzeczy.pl Karola Gaca (pierwszego z lewej) wzięli udział mec. Monika Brzozowska-Pasięka, mec. Jerzy Pasięka oraz mec. Szymon Topa

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ/ARSLUMEN.PL

dochodzić roszczeń na drodze cywilnej. Trzeba przygotować Europę do tego, że chcemy to robić w sposób cywilizowany i realizujemy pewien cel, który nie będzie kontrowersyjny na poziomie krajowym i europejskim. Zwalczanie wypowiedzi o „polskich obozach” ma szansę powodzenia – ocenił.

KONFLIKT WARTOŚCI

Goście zostali również zapytani, w jaki sposób pogodzić wolność słowa i wolność badań naukowych z ochroną pamięci historycznej oraz czy da się to w ogóle zrobić, a jeśli tak, to gdzie powinna przebiegać linia graniczna. Mecenas Jerzy Pasięka przyznał, że nie widzi takiej możliwości, by jasno określić taką granicę. – To bardzo zindywidualizowana sytuacja, która musi być rozważona każdorazowo przez stronę, a później przez sąd. Nie sądzę, by można to było uregulować na gruncie normatywnym. Orzecznictwo może tylko w pewnym stopniu wypracować takie ramy [...]. Ten problem wystąpił w sprawie p. Filomeny Leszczyńskiej przeciwko prof. Barbarze Engelking i Janowi Grabowskiemu, którzy



sieka podniosła przy tej okazji kwestię kosztów sądowych. – Postulowałabym zwolnienie z kosztów ludzi, którzy dochodzą swoich praw. To różnego rodzaju opłaty dotyczące zażaleń, biegłych itd. Mamy np. roszczenie majątkowe, w którym trzeba zapłacić 5 proc. wartości przedmiotu sporu, gdy składa się pozew. Mielśmy też sprawę, gdzie np. opinia biegłego wynosiła 15 czy 25 tys. zł. Na ogół organizacje [walczące o dobre imię narodu polskiego – przyp. red.] utrzymują się z darowizn i nie mają instytucjonalnego wsparcia. To są duże lub bardzo duże koszty, o których ludzie nawet nie wiedzą – wskazywała.

Mecenas Pasięka ocenił z kolei, że prawo polskie procesowe i materialne wymagałoby wielu korekt. – Jestem bardzo ostrożny, bo mam wrażenie, że przeprowadzenie zmian, które spowodowałyby ułatwienie pewnych spraw i udrażnianie by proces, jest na ten moment bardzo trudne do przeprowadzenia. Wolę to ułomne prawo, które jest kaleką, ale jest obudowane linią orzeczniczą, którą udało się uzyskać – stwierdził.

Mecenas Szymon Topa podkreślił, że obecnie nie ma dobrego czasu na jakiegokolwiek zmiany w przepisach. – W prawie karnym można byłoby mieć w perspektywie sankcjonowanie wypowiedzi o „polskich obozach”, ale po stworzeniu odpowiedniego gruntu i przekonaniu Europy, że ma to sens. Zgadzam się też co do kosztów – mówił.

– Proszę sobie wyobrazić, że w Niemczech musieliśmy wynająć niemieckiego prawnika. Zresztą ostatecznie Karol Tendra został obarczony kosztami, gdy niemiecki Trybunał [Federalny Trybunał Sprawiedliwości – najwyższa instancja niemieckiego sądownictwa – przyp. red.] uznał, że nie można wykonać polskiego wyroku, co zresztą jest osobną historią. Niemiecki Trybunał odmówił egzekucji polskiego wyroku, mimo że sądy niemieckie nie widziały przeszkód, by go egzekwować. Niemieckie sądy uznały, że polski wyrok nie odbiega od niemieckich standardów i można go egzekwować. Trybunał odwrócił całkowicie tę argumentację i stwierdził, że absolutnie nie można go egzekwować, bo to przewróci w Niemczech porządek do góry nogami – powiedział mec. Topa.

Not. kg

© Wszelkie prawa zastrzeżone

57

w książce „Dalej jest noc” opisali jej wujka jako szmalcownika. Prawda historyczna była jednak taka, że ten człowiek ratował Żydów i im pomagał. Tu mieliśmy klasyczny konflikt wartości. W pierwszej instancji wygraliśmy w całości sprawę, co było dla nas oczywiste, gdy wykazaliśmy całkowitą nieprawdę, ale w drugiej sąd ocenił tę sprawę dokładnie odwrotnie i uznał, że ważniejsze jest prawo do wolności badań. To są te podstawowe problemy – wskazywał mec. Pasięka.

Podobnie na sprawę patrzył mec. Szymon Topa. – Autorytet sędziów decyduje o tym, jak będzie przebiegała ta granica. Dlatego tak ważne jest, by pamiętać o tym, że to ludzie, sędziowie nadają sens przepisom prawa. Znam różne sprawy dotyczące wolności naukowej i wiem, że sędziowie podchodzą do niej w różny sposób – mówił.

Mecenas Brzozowska-Pasięka przy tej okazji przywołała historię ze Szwajcarii, która ma bardzo restrykcyjne przepisy dotyczące negocjowania ludobójstwa Ormian. – Jeden z profesorów tureckich miał wykład w Szwajcarii, podczas któ-

rego całkowicie zanegował ludobójstwo Ormian, mówiąc, że czegoś takiego po prostu nie było. Przez wszystkie instancje sądów szwajcarskich, łącznie z Sądem Najwyższym, przeszedł wyrok skazujący. Dopiero w Europejskim Trybunale Praw Człowieka zaczęto się zastanawiać, czy te przepisy karne w stosunku do Turka, który siedzi w Szwajcarii, mają w ogóle zastosowanie. To bardzo głośna sprawa z 2015 r. Przyłączył się do niej rząd Armenii. Ostatecznie ETPC w powiększonym składzie orzekł, że jest wolność słowa. Od tego momentu Turcy mówią, że mogą twierdzić, że nie było ludobójstwa Ormian – mówiła.

CO DALEJ?

Na koniec paneliści zostali zapytani o ewentualne zmiany w polskim prawodawstwie, które powinny nastąpić, by lepiej chronić pamięć historyczną i tożsamość Polaków. Jak powinna wyglądać ustawa, która chroniłaby naród polski przed groźnymi pomówieniami na temat roli Polaków w trakcie drugiej wojny światowej? Mecenas Brzozowska-Pa-



Jednym z powodów skuteczności polityki historycznej Izraela jest panujący w nim daleko idący konsensus – zauważyli uczestnicy drugiego panelu. Dostrzegając, że Polska potrzebuje państwowej polityki historycznej i jasno określonych celów, które dzięki polityce pamięci chciałaby osiągnąć

Zust publicystów i komentatorów kojarzonych ze stroną liberalno-lewicową pojawiają się stwierdzenia, że państwo nie powinno zajmować się historią, ponieważ gdy państwo się tym zajmuje, to wychodzi z tego propaganda – zauważyła publicystka tygodnika „Do Rzeczy” i portalu dorzeczy.pl Zuzanna Dąbrowska. Prowadząca drugi panel

podczas konferencji zapytała panelistów: „Gdzie jest pole dla państwa, aby budować politykę historyczną?”

– Po roku 1990, gdy lewica znalazła się u władzy, pojawiły się też pewne oczekiwania rozliczeń. Wówczas kandydujący na prezydenta Aleksander Kwaśniewski rzucił hasło „Wybermy przyszłość”, co złośliwi tłumaczyli jako „Wypierzmy

przeszość”. W gruncie rzeczy chodziło to, aby przeszłością się nie zajmować, zwłaszcza przeszłością polską, bo była ona niewygodna dla tych, którzy akurat byli u władzy – zauważył prof. Wiesław Wysocki, historyk i nauczyciel akademicki, który za wybitne zasługi w upowszechnianiu wiedzy o najnowszej historii Polski został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, tłumacząc, że to wówczas pojawił się pomysł rozdzielenia kwestii historii i bieżącej polityki. Profesor Wysocki przypomniał także, iż po drugiej wojnie światowej wśród różnych myślicieli pojawiło się przekonanie, że „historia umarła i że właściwie nie powinno się nią zajmować”, które



– Czy państwo powinno zajmować się historią? – pytała panelistów red. Zuzanna Dąbrowska

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ/ARSLUMEN.PL

na błogosławionych 10 września 2023 r.). – Relacjonowały ją nie tylko media polskie, lecz także media na całym świecie. Czy Polska dobrze wykorzystała tę szansę, aby mówić o naszej pięknej i bogatej historii? – pytała red. Dąbrowska.

– Proszę sobie wyobrazić, czy byłoby możliwe upamiętnianie rodziny Ulmów na poziomie wyłącznie indywidualnym? Trudno to sobie wyobrazić – stwierdził historyk i publicysta Tadeusz M. Płużański, zauważając, że współcześni politycy powinni promować i eksponować państwowe postawy. – Bardzo dobrze, że rodzina Ulmów została doceniona na poziomie państwowym [...]. Nie wyobrażam sobie takich uroczystości tylko na poziomie samej Markowej czy społeczności wyłącznie lokalnej. To jest nasza historia zbiorowa. Wynika z niej pewna postawa, która jest sprzeczna z propagandą ośmieszania polskiej historii czy z propagandą wstydu głoszoną przez środowiska komunistyczne i postkomunistyczne – dodał znany polski publicysta i historyk, którego specjalnością jest historia powojennej Polski, zauważając, że tak jak były prezydent Aleksander Kwaśniewski kazał Polakom zbiorowo przeproszać za Jedwabne, tak obecny prezydent Andrzej Duda dziękuje rodzinie Ulmów i innym polskim rodzinom za wspaniałą postawę. – To całkowite odwrócenie wektorów – podkreślił Tadeusz M. Płużański.

Jako reprezentant Stowarzyszenia Rodzin Żołnierzy Wyklętych przywołał również przykład pozwu wniesionego w 2019 r. przeciwko Joannie Senyszyn o naruszenie dóbr osobistych i szerzenie „krzywdzących opinii na temat Żołnierzy Wyklętych zamieszczanych przez posłankę w mediach społecznościowych”. – Ja bym sobie życzył, żeby taki pozew przeciwko towarzyszce Senyszyn wniosło z urzędu państwo polskie. My wyręczamy w tej kwestii Rzeczpospolitą, tymczasem ta osoba nie tylko obrażała potomków Żołnierzy Wyklętych, lecz także obrażała naszą historię, obrażała polskie prawo i bardzo łatwo to wykazać – przekonywał red. Płużański. I zauważył, że Joanna Senyszyn „nie uznaje porządku historycznego w Polsce”, przypominając, że 1 marca 2011 r. został ustanowiony Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, czyli oficjalne święto państwowe poświęcone pamięci naszych bohaterów narodowych.

– W takich przypadkach oczekiwałbym większej pomocy czy interwencji państwa. Rzeczpospolita ma bowiem obowiązek reprezentować nas, obywateli, w tego typu sprawach – stwierdził historyk i publicysta.

HISTORIA POPRZECZ FILMY

Redaktor Zuzanna Dąbrowska zauważyła, że politykę historyczną jako narzędzie do realizacji swoich celów skutecznie od dekad wykorzystuje m.in. Izrael, który nie tylko używa bardzo ostrej retoryki do obrony swoich racji, lecz także poza swoimi granicami organizuje szkolenia dla dziennikarzy dotyczące m.in. tego, jak powinno się pisać o Żydach i innych mniejszościach. Czy Polska – będąca krajem, którego polityka historyczna dopiero się odradza – może więc brać przykład z Izraela?

– Jak najbardziej powinniśmy brać przykład z tego typu postaw i prowadzić politykę historyczną nie tylko reaktywną,

W Izraelu nie ma środowisk, które krytykowałyby rządzących za myślenie o przeszłości

lecz także aktywną. Powinniśmy promować nasze dziedzictwo, naszą historię, tradycję, kulturę – nie tylko wewnątrz, lecz także na zewnątrz. Tych momentów historii, którymi powinniśmy się szczycić, mamy szalenie dużo, a świat i Europa nie wiedzą o naszym dorobku zbyt wiele. – Tu widać wielkie pole do popisu dla fundacji i stowarzyszeń, które – jeśli miałyby wsparcie państwa – powinny prowadzić politykę pamięci, politykę kulturalną także na terenie innych państw, co robi zresztą Izrael – przekonywał historyk i publicysta, zauważając, że chociaż często zarzuca się Polakom, że potrafią jedynie celebrować klęski, to przecież Izraelczycy zrobili z jednej z największych klęsk w swojej historii, czyli upadku twierdzy Masada, wielką narodową uroczystość. I nie wstydzą się tego!

– W Izraelu nie ma środowisk, które krytykowałyby rządzących za myślenie o przeszłości. Niestety, to jest pewna domena środowisk opozycyjnych w Polsce, że krytykując bieżące działania

było na rękę zwłaszcza środowiskom lewicowym. – W Polsce mieliśmy pewien model państwa odwróconych wartości – zaznaczył historyk, zwracając uwagę na to, że lewicowe władze w Polsce nie tylko rozpowszechniały przekonanie, że historię nie należy się zajmować, lecz także wręcz wprowadziły swój własny system polegający na szerzeniu ojkofobii, czyli nienawiści do rodzimego dziedzictwa.

BEATYFIKACJA RODZINY ULMÓW

Zuzanna Dąbrowska zwróciła uwagę na beatyfikację rodziny Ulmów zamordowanych przez niemieckich okupantów za ukrywanie w swoim domu Żydów (papież Franciszek włączył rodzinę Ulmów do gro-

polityczne, krytykują wszystko, łącznie z polską historią czy podejściem do naszej tradycji. Powinniśmy więc rzeczywiście wiele czerpać z tej ekspansywnej polityki historycznej Izraela i innych państw też – zaznaczył Tadeusz M. Płużański. I dodał, że obśmiewana przez niektórych w Polsce polityka historyczna czy też polityka pamięci w innych krajach jest realizowana bez żadnych kłopotów. – Nawet Rosja realizuje swoją politykę historyczną. Oczywiście jest ona bardzo zakłamana i opiera się na tezie, że Związek Sowiecki, a teraz Rosja, nigdy nie był państwem agresywnym, tylko niczym gołąbek pokoju prowadził jedynie wojny obronne. Zobaczmy, co robią Niemcy, szczególnie partia AfD, której członkowie wprost zakłamują i rewidują historię, twierdząc, że Polska spowodowała Niemcy do wywołania drugiej wojny światowej – zauważył historyk i publicysta.

– Powinniśmy więc wspólnie pracować nad tym, by móc chwalić się naszą historią. Na przykład wciąż niewykorzystanym polskim bohaterem jest rtm. Witold Pilecki – podkreślił redaktor Płużański, dodając, że, niestety, na razie nie potrafimy zrobić o nim dobrego filmu skierowanego nawet do polskiego odbiorcy, a co dopiero przygotować produkcję przybliżającą tę postać społeczeństwu zachodnim. – Na polu tej kultury masowej mamy ogromne zaniedbania, bo właśnie przez filmy powinniśmy opowiadać naszą historię. Rosjanie potrafią to robić, a my jakoś nie za bardzo – konkludował Tadeusz M. Płużański.

HISTORIA A POLITYKA PAMIĘCI

Prowadząca panel redaktor Dąbrowska zauważyła, że polityka historyczna krajów takich jak Niemcy coraz mocniej idzie w takim kierunku, aby przekonywać światową opinię publiczną, że to nie kat był katem, ale że „kat był ofiarą, a to ofiara była katem”. – W Izraelu, chociaż politycy kłócą się na scenie krajowej niezwykle mocno, to na zewnątrz tworzą jeden, wspólny front – zauważyła także Zuzanna Dąbrowska.

– Warto odróżnić historię, która jest uprawiana przez historyków jako dyscyplina nauki, od polityki historycznej i polityki pamięci. Otóż historię uprawia się po to, aby poznać prawdę, natomiast politykę historyczną uprawia się po to, aby osiągnąć cel. Historię uprawiają amatorzy lub historycy dyplomowani po to, by zrozu-

Niemcy coraz mocniej próbują przekonywać światową opinię publiczną, że „kat był ofiarą, a to ofiara była katem”

mieć i zgłębić jakąś część świata minionego, by dowiedzieć się, jak naprawdę było. Politykę historyczną uprawia państwo, a cele są strategiczne. I z konieczności ma ona charakter zbiorowy – podkreślił podczas dyskusji dr Michał Sopiński, prawnik, wykładowca akademicki i rektor Akademii Wymiaru Sprawiedliwości (AWS).

Dlaczego zatem Izrael jest tak skuteczny w uprawianiu polityki historycznej? Według dr. Sopińskiego odpowiedź, że państwo uprawia ją od wielu lat, nie wyczerpuje tego zagadnienia. – Przede wszystkim polityka historyczna Izraela została stworzona w konkretnych celach. Pierwszy to cel wewnętrzny. Po 1948 r. Izrael pragnął zjednoczyć obywateli swojego państwa i połączyć tych, którzy w ramach akcji zasiedlania Palestyny przybyli tam przed drugą wojną światową, z tymi, którzy przeżyli Holokaust, a także z tymi, którzy przybywali do kraju już po 1948 r. z różnych zakątków Europy. Pojęcie Holokaustu jako swoistego symbolu było najlepszym środkiem do zbudowania tożsamości współczesnego Izraela – stwierdził rektor Akademii Wymiaru Sprawiedliwości.

– Jednym z powodów skuteczności Izraela jest panujący w nim daleko idący konsensus. Dzięki temu, że najpierw „wyczyszczono pole” i wyznaczono Izraelowi rolę państwa, któremu wolno więcej z uwagi na ogromne cierpienia Żydów w trakcie drugiej wojny światowej. To zostało ukonstytuowane jako dogmat wewnątrz Izraela. W Polsce to nie może się udać, ponieważ tego konsensusu nie ma. A im głośniejsza polska prawica mówi o potrzebie prowadzenia polityki historycznej, tym głośniejsza polska lewica i różne środowiska liberalne, postliberalne, postmarkistowskie czy komunistyczne deklarują swoją niezgodę i używają wszelkich narzędzi, żeby podważać aktualną politykę historyczną za granicą, w mediach, w filmach – wyjaśnił rektor AWS. I dodał, że powodem nieskuteczności polskiej poli-

tyki pamięci jest także to, że jesteśmy z jej rozpowszechnianiem spóźnieni. – Izrael robi to doskonale, skutecznie broniąc monopolu na bycie ofiarą. Dziś nie ma już miejsca na to, aby Polska mówiła, że jest ofiarą drugiej wojny światowej, i używała tego argumentu w celach strategicznych, np. w celu uzyskania reparacji wojennych od Niemiec. To mogłoby być nadrzędnym celem polskiej polityki historycznej, czyli wszystkich zagadnień od beatyfikacji rodziny Ulmów do postaci rtm. Witolda Pileckiego i innych osób, którymi chcemy pochwalić się światu – tłumaczył dr Michał Sopiński, zaznaczając, że on tego nadrzędnego celu nie dostrzega.

– Widziałem jedynie multum celów o charakterze incydentalnym lub polegającym na reakcyjnym działaniu, opartym na tym, że my, Polacy, musimy pokazać prawdę, tymczasem nas się obraża i mówi się o „polskich obozach” czy „polskich szmalcownikach”. Chodzi zaś o to, aby zamiast tylko reagować, podejmować aktywne działania w celu uzyskania jakichś korzyści metapolitycznych bądź zwiększenia pozycji Polski na arenie międzynarodowej – stwierdził rektor Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. – Polska może więc próbować przełamać monopol Izraela na bycie ofiarą, co jest bardzo trudne [...]. Pomaga nam w tym jednak współczesna Ukraina, która w języku dyplomacji używa właśnie języka Izraela – konkludował dr Michał Sopiński.

Historyk prof. Wiesław Wysocki, przywołując słowa żydowskiej pisarki i filozofki Hanny Arendt, mówiącej o tym, że „państwo jest wspólnotą zorganizowanej pamięci”, stwierdził, że Polacy tej zorganizowanej pamięci wciąż nie mają. – Moi znajomi Izraelczycy otwarcie mówią, że oni potrafią się bardzo kłócić wewnątrz kraju, ale na zewnątrz są zwarci. I to jest to zorganizowanie pamięci. My tego, niestety, nie mamy – skonstatował prof. Wysocki. – O ile wcześniej byliśmy państwem odwróconych wartości [...], o tyle dziś mamy politykę historyczną o charakterze resortowym. Wciąż nie mamy polityki o charakterze państwowym. Każdy resort prowadzi ją po swojemu, z dobrymi intencjami i czasem nawet z doraźnymi efektami. Ale państwowa polityka historyczna jest ciągle w powijkach – zaznaczył historyk. (oprac. WS)

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W panelu wzięli udział mec. Jerzy Kwaśniewski, prezes Instytutu Ordo Iuris, wiceminister sprawiedliwości, dr Marcin Romanowski, oraz publicysta „Do Rzeczy” Rafał A. Ziemkiewicz. Dyskusję moderował szef portalu DoRzeczy.pl, Karol Gac.

Jako pierwszy głos zabrał redaktor Rafał A. Ziemkiewicz, który został zapytany o źródło fake newsów. Publicysta „Do Rzeczy” zauważył, że niemal wszystkie powstają w Polsce lub ich autorami są Polacy. – To jedna z zasadniczych cech złej prasy Polski na świecie. Niemal wszystkie antypolskie materiały są wyprodukowane w Polsce i przesłane do druku w mediach zachodnich albo są dziełem ludzi, którzy zaczynali w „Gazecie Wyborczej” czy mediach z nią spokrewnionych. Dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź kryje się w kompleksie niższości. Elity Michnikowe mają takie podejście do polskości – Polacy mają kompleks niższości – i świetnie, niech go mają. Inaczej byłoby trudno ich formować oraz przekonać, że mają być Europejczykami. Taka jest misja, którą widzi dla siebie środowisko elit liberalno-lewicowych – mówił.

Rafał A. Ziemkiewicz dodał, że w środowisku liberalno-lewicowych elit widać prawidłowości znane z państw kolonialnych. – Teoria mówi, że kiedy podbija się kolonię i chce się ją eksploatować trwale, trzeba mieć miejscowych kolaborantów, którzy będą obsługiwać interesy okupanta. Kiedy okupant odchodzi, te elity na ogół zostają i dalej rządzą krajem. W kraju postkolonialnym istnieje przepaść między elitą a ludem. Nikt nie lubi myśleć o sobie jako o kimś, kto się sprzedał, więc wmawiają sobie misję zaimplementowania tego, co jest w cywilizacji. Dzicz nie lubi elit, bo wie, że to kolaboranci. To przykład Polski – opisywał. – Elita marksistowska czuła się tu tak wyobcowana, że jedyną nadzieję widziała w sprowadzeniu zewnętrznej pomocy. To stałe marzenie polskiego lewicowca, by oświecać polską ciemnotę. Potrzebne są eurodyrektywy i strofowanie przez media zachodnie, tak jak kiedyś były potrzebne kolby sowieckie. Fake newsy produkuje się po to, by pani z „Gazety Wyborczej” mogła napisać o tym w „New York Timesie”, a następnego dnia „Wyborcza” może się powołać, że „NYT”

krytykuje Polaków. Kto się ośmieli wtedy to podważyć? – dodawał.

W JAKI SPOSÓB WALCZYĆ?

Wiceminister sprawiedliwości został z kolei zapytany o to, w jaki sposób walczyć z fake newsami, które szkalują Polskę i Polaków. Doktor Marcin Romanowski zauważył, że wszystko zaczyna się od właściwej diagnozy. – Mamy bardzo istotny czynnik wewnętrzny, jeśli chodzi o środowiska, które szkodzą Polsce i uprawiają polonofobię. Widzę zarazem większą rolę środowisk zewnętrznych,

Jednocześnie wiceminister zauważył także, że można próbować wprowadzać działanie pozytywne. – Zaproponowałem np., by uczcić powstanie zamojskie w formie święta państwowego. Warto pamiętać, że to jedno z dwóch zwycięskich powstań. Ważne, byśmy pokazywali pewne sukcesy. Oczywiście ten sukces był okupiony olbrzymią ofiarą, ale jednak pokazujemy, że potrafimy wygrywać mimo trudnych okoliczności. Nie tylko obrona, lecz także atak jako najlepsza forma obrony, by wskazywać najlepsze wzorce – tłumaczył. – Wiemy wreszcie,

Obrona poprzez atak

Jakie mechanizmy wykorzystują środowiska, które oczerniają Polskę w oczach międzynarodowej opinii publicznej? Kto inspirowa takie ataki i czy państwo powinno wspierać działalność jednostek badawczych, które wytwarzają skrajnie kontrowersyjne publikacje na temat roli Polaków w drugiej wojnie światowej? Nad tymi kwestiami zastanawiali się uczestnicy trzeciego panelu pt. „Manipulacje, kłamstwa i pomówienia – jak działają środowiska wrogie Polsce”

bo mamy także do czynienia z rozgrywaniami interesów innych państw, przede wszystkim Niemiec, a także środowisk kosmopolitycznych. W pewnym sensie to stare zjawisko realizowane innymi metodami. Jeśli słyszymy o tym, że łamana jest zasada w Parlamencie Europejskim, by nie organizować debat o państwie, w którym są wybory, a taka debata odbywa się w sprawie Polski, to są to właśnie takie działania. Nie byłyby one możliwe bez pseudoelit, które są dobrymi partnerami dla naszych przeciwników – wskazywał.

że jednym z podstawowych celów dla Polski jest odbudowa prawdziwych elit. Można zauważyć jedną ważną okoliczność, a mianowicie że potomkowie pełniący obowiązki Polaków, którzy przyjechali na sowieckich czołgach, pozostali w naszej ojczyźnie – i to nie tylko w sensie etnicznym, lecz także kulturowym. Na skutek faktów związanych z transformacją nie doszło u nas do głębszego oczyszczenia elit. Odpowiedzią na to musi być reforma wymiaru sprawiedliwości, by dokonać wymiany elit – podkreślił.

■ Jako trzeci głos zabrał mec. Jerzy Kwaśniewski, prezes Instytutu Ordo Iuris, który został zapytany, jak wygląda obrona dobrego imienia Polski i Polaków na sali sądowej, jeśli weźmie się pod uwagę kadry. – Sukcesy w wypracowywaniu linii orzeczniczej są rzadkością. Uda się to co prawda w sprawie „polskich obozów”, ale w sprawach, które dotyczą fake newsów czy głośnym przypadku Barta Staszewskiego, są one często uznawane za wyraz krytyki. Nie był to przecież happening, bo ich autor chciał stworzyć wrażenie, że w Polsce istnieje problem z segregacją ludności, nawiązując do III Rzeszy. To samo grono tworzy później tzw. Atlas nienawiści, w którym jedna trzecia kraju widnieje jako strefa nienawiści. W Parlamencie Europejskim ci ludzie mówili wprost, że w Polsce są samorządy, w których nie obsługuje się homoseksualistów. Wyobraźmy sobie skalę absurdu, który zaczyna funkcjonować, a polskie sądy nie są w stanie stanąć na wysokości zadania – opisywał.

LEWICY WOLNO WSZYSTKO?

Mecenas Kwaśniewski zauważył także, że jest to szerszy problem manipulacji dotyczących bieżących przypadków. – Na pierwszym miejscu mamy kwestię odpowiedzialności za Holokaust. Próbuje się przenieść odpowiedzialność z Niemców na inne grupy. Początkowo na osobowość autorytarną i szukanie winnych w kulturze chrześcijańskiej, później na nazistów i ich pomocników, na końcu zaś pojawia się ogólna odpowiedzialność antysemitów. Z każdym tym poziomem trzeba walczyć. Warto przypomnieć, że nowelizacja ustawy o IPN pozostawiła podstawę prawną, z której korzystamy, czyli możliwość występowania przez organizacje pozarządowe w imieniu Rzeczypospolitej z powództwem wobec tych, którzy naruszają dobre imię Polski i narodu. Jest tu jasne przesądzenie o istnieniu roszczenia. Mamy więc narzędzie prawne. Czekamy na pierwsze rozstrzygnięcia, bo może się za chwilę okazać, że mamy jakieś nowe rozwiązanie – powiedział.

– Mamy też drugi obszar manipulacji, dotyczący ludobójstwa na Wołyniu. Mamy problem z prowadzeniem badań historycznych, blokadę ekshumacji, problem z kwalifikacją prawną i przypisaniem odpowiedzialności historycznej do



W panelu wzięli udział wiceminister sprawiedliwości dr Marcin Romanowski (drugi z lewej), prezes Instytutu Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski (drugi z prawej) oraz publicysta tygodnika „Do Rzeczy” Rafał A. Ziemkiewicz. Dyskusję moderował szef portalu DoRzeczy.pl Karol Gac. FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ/ARSLUMEN.PL

organizacji państwowej, czyli roszczenie o przeprosiny. Mamy wreszcie pielęgnowanie polskiego kompleksu niższości. Tu też powinniśmy poszukiwać ścieżek prawnych, bo przez niego mamy np. oczernianie Żołnierzy Wyklętych. Mamy też ataki na św. Jana Pawła II, by uderzyć w fundament współczesnych Polaków. W każdym z tych obszarów mamy próby podejmowania działań prawnych – ocenił.

Prezes Instytutu Ordo Iuris został także zapytany, czy nie odnosi wrażenia, że strona lewicowo-liberalna może niemal wszystko, bo na końcu i tak będzie uniewinniona w sądzie.

– Nie tylko mamy tych, którzy pełnią obowiązki Polaków, lecz także mamy do czynienia z tymi, którzy pełniąc funkcję elit, świadomie wybierają tożsamość niepolską. O tym swego czasu pisał w innym kontekście Jürgen Habermas, który wskazywał, że Europa jest najdalej

zaawansowana, jeśli chodzi o kreowanie świadomości ponadnarodowej. Istnieje tożsamość europejska, która ma być nadrzędna, i trzeba ponieść ofiary, by wykazać się tą tożsamością. Niestety, polska grupa zawodowa prawnicza, z sędziami włącznie, jasno staje po stronie tożsamości europejskiej. Wybierając ją, muszą sponiewierać tożsamość polską. To jest ta podstawa do rozstrzygnięć na salach sądowych – wyjaśniał.

Zdaniem mec. Kwaśniewskiego, ilekroć sędzia orzeka na sali sądowej, włącza do tego swój system aksjologiczny

**Odpowiedzialność
za Holokaust
próbuje się przenieść
z Niemców na inne grupy**



i artystów, którzy szkalują tożsamość narodową. Wiceminister stanowczo podkreślił, że absolutnie nie.

– Już na gruncie obowiązującego prawa moglibyśmy wyłączyć takie podmioty z finansowania. Nie mówiąc już o tym, że ta filozofia stosowania prawa wśród sędziów jest po prostu antypolska czy antychrześcijańska w wielu wymiarach. Nawet fatalne przepisy można stosować w sposób racjonalny, gdyby się chciało, ale obecnie są one pretekstem dla tych ludzi, którzy zawsze walczyli z Kościołem. Przypominam sobie wiele kuriozalnych rozstrzygnięć, jak np. wtedy, gdy uznano, że kazanie nie jest częścią Mszy Świętej, więc można je zakłócić. Niezależnie od tego ważne jest podejście, by nie finansować tych działań, które uderzają w nasze wartości i interesy. Nie powinno tu być żadnych wątpliwości – mówił.

Wiceminister sprawiedliwości zwrócił również uwagę, że osobnym problemem są fundusze zagraniczne, które płyną do tych środowisk. – Lubię tu zawsze patrzeć na Węgry, które sobie z tym lepiej poradziły. Oprócz tego, że mamy do czynienia z wydeptywaniem kompetencji przez instytucje UE, mamy też do czynienia z innym syndromem, czyli obchodzeniem instytucji publicznych, które w efekcie nie mają żadnego wpływu na strumień pieniędzy, który wpływa do naszego kraju. Są to środki, które służą finansowaniu działań o charakterze publicznym. Warto wspomnieć o referendum w sprawie rozwodów w Irlandii. Ta walka była wyrównana, ale zdecydowała huraganowa propaganda finansowana z zewnątrz. W Irlandii łatwiej to było przeprowadzić, ale to działanie czynników zewnętrznych jest niezwykle ważne. To zabezpieczenie debaty publicznej, by mogłaby ona być realnie wolna i nie było nieuprawnionych wpływów podmiotów zewnętrznych. Mamy kilka flanków do naprawienia w tym zakresie – ocenił.

Na koniec głos zabrał Rafał A. Ziemkiewicz, który został zapytany, jaka droga walki jest jego zdaniem najskuteczniejsza. Publicysta „Do Rzeczy” bez chwili zastanowienia ocenił, że trzeba zastosować wszystkie środki, jakie tylko można. – Polski system sądowniczy jest systemem patologicznym. Kiedy tworzono Krajową Radę Sądownictwa, to nawet bandytom w togach, którzy orzekali podczas stanu

wojennego, nie tylko zagwarantowano, że dalej będą mogli orzekać, lecz także w ramach reformy dano im wszystkie instrumenty chroniące niezależność sędziowską. Cała to transformacja ustrojowa była hucpą. Wieczna hańba prof. Strzemboszowi za to, co zrobił – mówił.

Filozofia stosowania prawa wśród sędziów jest po prostu antypolska czy antychrześcijańska w wielu wymiarach

Publicysta „Do Rzeczy” dodał także, że najgorsze jest to, że „w antypolskiej działalności uczestniczą instytucje państwa polskiego”. – Sędziowie mogą robić sobie różne interpretacje. Ale co tu robią instytucje państwowe? Podam przykład: Muzeum Historii Żydów POLIN, które jest hojnie dotowane przez państwo polskie. Na tych dotacjach księciem został prof. Stola, który obchody Marca '68 zamienił w hucpę i za cel postawił sobie przekonanie świata, że Marzec '68 de facto wciąż trwa i tamten reżim jest tożsamy z obecnym. To była sterta niewiarygodnych bredni i uderzeń w rząd. Wszystko to było autoryzowane przez instytucję państwową. Jeśli więc państwo się włącza w szkalowanie samego siebie, to mamy dużo rzeczy do zrobienia – mówił. – Trzeba, za ks. Robakiem, oczyścić dom ze śmieci. Trzeba wreszcie odzyskać instytucję państwa polskiego, by działały tak jak trzeba. Mamy bowiem obecnie rozbięcie dzielnicowe. Przegonieni od władzy wyrwali sobie kawałek państwa, jak np. samorządy, i próbują tam rządzić. Sędziowie z kolei udali się pod protekcję obcych. To nic innego, jak tylko separatystyczna republika, jak w Ługańsku. Być może powinniśmy przywrócić staropolską tradycję egzekucji prawa i zacząć od wyegzekwowania prawa, które obowiązuje, a nie jest przestrzegane na dużych obszarach. Zwracamy uwagę na strefy no-go w Szwecji czy Niemczech, ale my też mamy takie strefy. Tyle że niewyznaczone terytorialnie, ale korporacyjnie – podsumował.

Not. kg

© Wszelkie prawa zastrzeżone

ny i wartości, które wyznaje. – To nie jest tak, że jest człowiekiem całkowicie neutralnym, a wprost przeciwnie. Jeżeli więc tym systemem jest europejskość, to to, co narodowe, będzie zawsze na drugim polu. Jesteśmy bezradni, bo od razu do tego dorabia się prawa do wolności artystycznej, wolności słowa, wolności badań etc. Jeżeli po drugiej stronie mamy ludzi, którzy grają z nami w bambuko, to jesteśmy bezsilni. Odpowiedzią na to musi być zmiana ustrojowa wymiaru sprawiedliwości, a także bardzo głęboka zmiana kształcenia, która jest w drodze. Ale trzeba na to poczekać przynajmniej jedno pokolenie – stwierdził.

CO Z PAŃSTWEM?

Doktor Marcin Romanowski został z kolei zapytany, jako polityk obozu rządzącego, czy państwo powinno wspierać, w imię źle pojętej wolności słowa czy badań, działalność jednostek badawczych

Państwo musi przykładać jeszcze większą rolę do nauczania historii w szkołach podstawowych i średnich. Tylko świadomi swojej przeszłości obywatele są w stanie budować sprawnie funkcjonującą wspólnotę narodową – to najważniejsze wnioski z ostatniego panelu pt. „Edukacja i walka o prawdę historyczną na temat drugiej wojny światowej”

Czy możemy być spokojni dziś, że dobrze uczymy historii? Niestety, jeszcze nie, to się nie zmienia tak szybko – stwierdziła Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty. – Jeszcze do niedawna, jeżeli uczono w polskich szkołach historii rzetelnie, to gdzieś pod koniec drugiej wojny światowej kończono naukę. Właściwe kształtowanie nowego pokolenia, które powinno bazować na najnowszej historii, żeby zrozumieć siebie, żeby dobrze ulokować się w rzeczywistości i żeby nieść dalej to polskie zadanie, po prostu nie funkcjonowało – oceniła Barbara Nowak.

Małopolska kurator oświaty dodała, że według niej młodzież jak najbardziej jest zainteresowana nauką historii, ale w czasach, gdy pełno jest atrakcyjnych treści odciągających uwagę uczniów od rzeczy ważnych, konieczne jest, by szkoła potrafiła zachwycić ich naszymi dziejami. To jednak wcale nie oznacza, że nauka historii powinna się opierać na nowinkach technicznych. Wręcz przeciwnie, zdaniem Barbary Nowak przede wszystkim należy postawić na ciekawą treść, a interaktywna forma to kwestia drugorzędna.

– Wydaje mi się, że już najwyższa pora, by zrewidować nasz zachwyt nad najnowszymi technologiami. Wiadomo już, że nie powinno się dawać od małego młodemu ludziom smartfonów czy dostępu do Internetu. To przecież musi być pod kontrolą. Najpierw trzeba nauczyć tych młodych ludzi tego, co istotne i ważne: nauka wymaga trudu i nic nie przychodzi samo – powiedziała Barbara Nowak. I dodała: – Kwestia klasycznego nauczania się nie zmieniła – to dążenie do prawdy, dobra i piękna. Trzeba to uświadomić na samym



Edukacja historyczna fundamentem

początku tym młodym ludziom. To dorosli za to odpowiadają i dopiero po pewnym czasie można dać dzieciom dostęp do nowych technologii i Internetu. Ci młodzi ludzie muszą stać się osobami, które będą ceniły wiedzę, by potem sami mogli formułować własne wnioski. Patrząc dziś na młodych ludzi, cierpię, widząc, jak nie są przygotowani do wyciągania samodzielnych wniosków, nie są uczeni logicznego myślenia. Ale dziś generalnie ludziom łatwo przychodzi robić to, co proste, a nie to, co trudne. Trzeba młodzież kształtować, dorosli muszą się tu sprawdzić jako wychowawcy, którzy są odpowiedzialni za młode pokolenie, które po nas będzie kształtować Polskę.

PRZEKAZ FORMATUJĄCY NAUCZYCIELI

Barbara Nowak zwróciła też uwagę, że obecnie należy jeszcze raz przemysleć

cały proces kształtowania nauczycieli. Szczególnie pod kątem etycznym. Kiedyś przekaz formatujący nauczycieli był powszechny i każdy, kto rozpoczynał pracę w tym zawodzie, rozumiał, że poza przekazywaniem konkretnej wiedzy – matematycznej, biologicznej czy historycznej – trzeba też zabiegać o kształtowanie uczniów pod kątem społecznym. Nie tylko pod kątem zwykłej kultury osobistej, lecz także w kontekście świadomości przynależności narodowej i budowania trwałej wspólnoty państwowej.

– Od czegoś trzeba zacząć ten proces odnowy. Patrząc z nadzieją na Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, gdzie pracownicy naukowi myślą o tym, jak kształtować młodych nauczycieli, żeby ci z kolei byli odpowiednio przygotowani do kształtowania swoich uczniów – powiedziała Barbara Nowak.



przyszłości

Jakub Ostromięcki, publicysta „Historii Do Rzeczy” i nauczyciel historii w jednym z warszawskich liceów, omówił natomiast raport IPN pt. „Edukacja dla pamięci. Przekaz wiedzy historycznej w kontekście postaw Polaków wobec ich przeszłości”, który pokazał stan wiedzy młodych Polaków oraz ich stosunek do nauczania tego przedmiotu. Najlepiej w teście, który był częścią badania IPN, wypadły osoby deklarujące patriotyzm, prawicowe poglądy i chętnie udzielające się społecznie. Z kolei najgorzej wypadły osoby deklarujące lewicowość, nikły patriotyzm i niechętnie działające na rzecz dobra wspólnego.

– Generalna zasada jest taka, że im bliżej do PRL, tym gorzej uczniowie rozpoznają wydarzenia i postacie historyczne. Jest to dziwne o tyle, że przecież ci uczniowie są z pokolenia „obrazkowego”, czyli łatwiej do nich

trafia obraz niż tekst, a mimo to niektóre ważne postacie są rozpoznawalne bardzo słabo. Przykładowo ks. Jerzy Popiełuszko kojarzony jest słabo, choć można się pocieszać tym, że jest on jednak lepiej rozpoznawany niż Edward Gierek – powiedział Jakub Ostromięcki. I dodał: – Pozytywne jest natomiast to, że badanie pokazuje, iż „kontestatorów”, czyli uczniów, którzy mówią, że nauczanie historii nie ma sensu, jest zaledwie 8 proc.

WIEDZA HISTORYCZNA POTRZEBNA WSZĘDZIE

Jakub Ostromięcki powiedział, że na lekcjach tłumaczy swoim uczniom, iż wiedza historyczna może się przydać w prawie każdej branży, a nierzadko braki w wykształceniu mogą prowadzić do kompromitujących sytuacji. Jako przykład w rozmowie z uczniami podaje

zazwyczaj wywiad, którego prof. Andrzej Nowak udzielił kilka lat temu dziennikarzowi „Gazety Wyborczej”. Gdy profesor wspomni o Oleandrach, dziennikarz – humanista – nie miał pojęcia, z czym kojarzyć to słowo, jaka historia za nim stała. Zapadło milczenie, ale prof. Nowak wyprowadził rozmówcę z zakłopotania, wspominając jedynie o „przepaści międzypokoleniowej”.

– Wyświetlałam uczniom fragment tej rozmowy, żeby rozumieć, z czym może się wiązać brak wiedzy historycznej – podkreślał Jakub Ostromięcki.

Publicysta „Historii Do Rzeczy” przywołał też skandal, do którego doszło w Polsce w 2015 r., gdy jeden z producentów wódki przeprowadził wyjątkowo nieudaną kampanię marketingową. Młoda pracownica firmy reklamowej, która została wynajęta do promowania wódki, umieściła na profilu marki w mediach społecznościowych czarno-białe zdjęcie. Przedstawiało ono kilku młodych mężczyzn niosących jakiegoś – mogłoby się wydawać – nieprzytomnego kolegę. Umieszczony przez nią żartobliwy podpis porównywał tę scenę do „kaca” po wieczorze kawalerskim. W rzeczywistości była to ofiara ZOMO, a zdjęcie z 1982 r. przedstawiało brutalnie sfilmowaną manifestację w Lubinie. Kobieta nie tylko straciła pracę, lecz także została uznana przez sąd za winną zniesławienia. Na nic zdały się jej tłumaczenia, że z powodu młodego wieku nie rozumiała, co się działo w PRL w czasie stanu wojennego. Według Jakuba Ostromięckiego to doskonały przykład tego, jak nieznamość polskiego kodu kulturowego, który przekazywany jest w podręcznikach i książkach historycznych, może nieoczekiwanie okazać się brzemienna w – bardzo negatywne – skutki. Okazuje się bowiem, że również praca w agencji reklamowej wymaga czasem podstawowej znajomości naszej historii.

Barbara Nowak podkreśliła z kolei, że nawet najlepsza szkoła nie zastąpi zaangażowania rodziców, którzy mają ogromny wpływ na kształtowanie postaw swoich dzieci, uczenia ich postaw patriotycznych i obywatelskich, bez czego nie sposób będzie w przyszłości utrzymać dobrze funkcjonującej wspólnoty narodowej Polaków.

Eutanazja. Strzykawką czy poduszką?



Krystian Kratiuk

Czy ma znaczenie, w jaki sposób medyk uśmierci pacjenta?



Marzec 2022 r., belgijskie miasto Oupeye. Zmagająca się od kilku miesięcy z nowotworem Alexina, odczuwając przewlekły ból, decyduje się na eutanazję. Rozmawiała o tym już ze swoim partnerem i z nastoletnią córką – nie sprzeciwili się jej decyzji, wszyscy bowiem dorastali w kraju, w którym eutanazja stała się codzienną praktyką. Alexina oznajmiła swą decyzję lekarzowi i czekała, aż ten wstrzyknie jej śmiertelny zastrzyk – co w mniemaniu chorej kobiety miało zakończyć jej cierpienia. Do zakończenia życia Alexiny dojść miało w jej domu.

Coś jednak poszło nie tak. Lekarz zastosował złą dawkę, kobieta po zastrzyku nie zmarła. Dwie pielęgniarki towarzyszące lekarzowi, widząc wciąż nieumarłą, lecz nadal męczącą się potwornym bólem kobietę, podjęły decyzję, że eutanazję trzeba dokończyć. Przepisy nie przewidywały możliwości ponownia zastrzyku – pielęgniarki po chwili narady chwyciły więc za poduszkę, a jedna z nich przytknęła ją do twarzy pacjentki. Członkowie

rodziny wcześniej musieli opuścić pokój, stanęli więc na tarasie i... usłyszeli krzyk Alexiny. Zdecydowali się więc wrócić do jej łóżka, ale kobieta już nie żyła, miała jednak otwarte oczy i usta.

I nie wiadomo tylko, co w tej historii jest najstraszniejsze. Śmierć przez uduszenie? Śmiertelny pomysł pielęgniarki? Oburzenie rodziny i zawiadomienie o przestępstwie, skoro przecież i tak zgodzili się na pozbawienie życia Alexiny? To, że na zabicie kobiety zgodziła się ona sama, jej rodzina, lekarze i pielęgniarki? A może sam fakt, że do czyjegoś domu przychodzi człowiek nazywany lekarzem i wstrzykuje – zgodnie z prawem – śmiertelny zastrzyk? A może jednak najstraszniejsze pozostaje to, że taka sytuacja, choć bez tak spektakularnych komplikacji, odbywa się wiele razy w tygodniu w Belgii i kilku innych krajach?

CO DWUDZIESTA ŚMIERĆ NA ŻYCZENIE

Historia z Oupeye nie mogła nie stać się zaczynem dyskusji o eutanazji. Inter-

nauci podkreślali w brutalnych, lecz przecież na swój sposób logicznych słowach, że kobieta prosiła o śmierć z ręki medyków i ją otrzymała. Że rodzina zgodziła się na to, by zakończyć życie pacjentki, i otrzymała, o co prosiła. Inni komentujący – co bardziej konserwatywni – zauważali natomiast, że sytuacja ta doskonale pokazuje, że eutanazja jest po prostu zabójstwem, a w kraju, w którym niektórzy ludzie mogą w majestacie prawa zabijać innych, jeśli tylko tamci sobie tego życzą, takie rzeczy muszą się zdarzać.

Coś w tym jest. W Belgii, która zalegalizowała eutanazję 21 lat temu, dorosło już jednak całe pokolenie, dla którego ten rodzaj zakończenia życia stał się całkowicie normalny – skoro dozwolony przez prawo, praktykowany i przez nikogo nieoprotestowywany. Według sondaży możliwość zabicia pacjenta na jego prośbę akceptuje ponad 90 proc. społeczeństwa, a do Belgii coraz częściej przyjeżdżają ludzie z innych krajów – tzw. turyści eutanazyjni – by tam właśnie zakończyć żywot. Liczba „zabiegów” w tym kraju sta-



FOT. ANDRZEJ STOK

le wzrasta, według raportu Federalnej Komisji Kontroli i Oceny Eutanazji w 2022 r. dostarczono 2966 dokumentów rejestracyjnych dotyczących eutanazji, co stanowi wzrost o 9,85 proc. w porównaniu z rokiem 2021. Spośród pacjentów 69,9 proc. było w wieku powyżej 70 lat, a 42,2 proc. w wieku powyżej 80 lat, a liczba przypadków w wieku poniżej 40 lat pozostała bardzo ograniczona (1,2 proc.). Największą grupę stanowili pacjenci w wieku od 80 do 89 lat (29,2 proc.).

W większej o jedną trzecią Holandii oficjalnie zgłoszono 8720 powiadomień o eutanazji. Jest to wzrost o 13,7 proc. w porównaniu z 2021 r. i stanowi 5,1 proc. wszystkich zgonów. Tak, dobrze państwo liczą, oznacza to, że co 20. osoba, która zmarła w Holandii w 2022 r. z jakiegokolwiek powodu, została uśmiercona przez lekarza (sic!).

MORDERCY DZIECI

Tak zwana eutanazja czynna w Europie jest legalna, oprócz Belgii i Holandii, także w Szwajcarii, Luksemburgu,

Co 20. osoba, która zmarła w Holandii w 2022 r. z jakiegokolwiek powodu, została uśmiercona przez lekarza

Niemczech, Hiszpanii, a ostatnio zalegalizował ją również – po wielu próbach – parlament Portugalii. Inne kraje, takie jak Austria, Finlandia i Norwegia, dopuszczają bierną eutanazję w ściśle określonych okolicznościach. Polega ona na decyzji o niepoddawaniu się zabiegom przedłużającym życie, takim jak sztuczne odżywianie lub nawadnianie – nie wolno jednak mylić biernej eutanazji z zakończeniem tzw. uporczywej terapii.

We wrześniu mija 21. rocznica pierwszej eutanazji w Belgii – od tego czasu wykonano tam już niemal 30 tys. egzekucji. Poza Europą eutanazja czy też „wspomagane samobójstwo” są legalne

w kilku stanach USA i w Australii, Kanadzie, Kolumbii i Nowej Zelandii.

Szczególne wrażenie na opinii publicznej wciąż robią statystyki dotyczące eutanazji dzieci. W Holandii i w Belgii nieletni pacjent może być poddany eutanazji, jeśli ma „odpowiednią dojrzałość i jest w stanie samodzielnie zrozumieć znaczenie swojej decyzji”. W Holandii za dość dorosłe, by podjąć decyzję o własnej śmierci, uważa się dzieci już od 12. roku życia, a w Belgii nie podaje się takiej granicy, jednak między 12. a 18. rokiem życia konieczna jest „dodatkowa ocena dojrzałości” przez specjalistę. W stosunku do młodszych, nieuleczalnie chorych dzieci decyzja pozostawiana jest rodzicom. W 2021 r. „British Medical Journal” podał wstrząsające dane – otóż w przypadku śmierci dzieci przed pierwszym rokiem życia we Flandrii aż 61 proc. wywołała decyzja rodziców i lekarzy o zakończeniu ich krótkiego życia.

W Holandii oficjalnie przeprowadza się ok. 15–20 eutanazji niemowląt rocznie, ale pod uwagę należy wziąć także jeszcze bardziej upiorne statystyki dotyczące tzw. protokołu z Groningen. To zbiór procedur sporządzonych przez naukowców ze szpitala uniwersyteckiego w Groningen we współpracy z miejscową prokuraturą i zatwierdzony jako ogólnokrajowe wytyczne przez Holenderskie Stowarzyszenie Opieki Pediatricznej. Według tych zapisów eutanazji można poddać niemowlę, które przeżyje bez intensywnej opieki medycznej, ale „jakość jego życia” będzie bardzo niska i związana z „nieznośnym, niemożliwym do złagodzenia cierpieniem”. W ten sposób pozbawia się życia nawet ok. 600 chorych niemowląt rocznie. Nie jest to proceder do końca legalny, a także... nie jest ścigany przez odpowiednie organa.

NIEZADOWALAJĄCA JAKOŚĆ ŻYCIA

Szczególnie istotnym sformułowaniem w całej tej sprawie pozostaje wspomniana „jakość życia”. Doszliśmy bowiem do niezwykle niebezpiecznego momentu – to bowiem poziom owej „jakości życia”, w dodatku ocenianej przez innych, ma rozstrzygać o tym, kto ma żyć, a kto nie. Nie jest to już nawet pytanie o to, które życie warto ratować, a którego nie, ale pytanie, kogo można, a kogo nie można zabić.

■ Kto w niedalekiej przyszłości będzie decydował o naszej „jakości życia”? Dziś robią to medycy, opowiadając z niemal boską pewnością, że skoro pacjent cierpi, to należy wstrzyknąć mu truciznę. Dziś na liście „do odstrzału” znajdują się np. niemowlaki z rozszczepem kręgosłupa, a także młodzież i dorośli z nowotworami i staruszkowie z demencją. Coraz częściej na listy te trafiają także ludzie z depresją.

Jednak to stan na dziś. Czy rzeczywiście trudno byłoby nam jednak wyobrazić sobie, że wkrótce społeczeństwa Zachodu uznają, że niewystarczająca jest także „jakość życia” niepełnosprawnych, np. niewidomych czy osób jeżdżących na wózku inwalidzkim? Tym bardziej że na wielu globalistycznych forach sformułowanie „jakość życia” i konieczność jej poprawy dla całych społeczeństw robią prawdziwą furorę. A jeśli połączymy to z analizą pomysłów tych samych gremiów na temat tego, w jaki sposób ową

kapsuły ciekłym azotem i utratę przytomności, a po paru minutach śmierć. „Kapsuła śmierci” miałyby być osiągalna dla wszystkich, została bowiem pomyślana jako dostępna w technologii druku 3D. Autor zapowiedział, że pliki do jej wydrukowania zamieści w Internecie do bezpłatnego pobrania.

ZABIJ MNIE, BO JESTEM SAMOTNY

W Polsce eutanazja jest nielegalna, traktowana w prawie jako „uprzywilejowane zabójstwo” (kara za nią może być niższa niż za zwykłe morderstwo), a dyskusja na jej temat nie jest prowadzona przez żadną ze stron politycznego sporu. Jednak już od dawna temat ten podnoszony jest w mediach liberalnych i lewicowych.

Eutanazji stanowczo sprzeciwia się Kościół katolicki, a papież Franciszek rozpoczął nawet swą wizytę w Portugalii od skrytykowania decyzji parlamentu. Mimo tego tekst dość przychylny idei eutanazji znalazł się jakiś czas temu na łamach „Tygodnika Powszechnego”, którego redakcja używa podpisu „katolickie pismo społeczno-kulturalne”. W październiku Tomasz Stawiszyński pisał tam, iż jest „przekonany, że możliwość bezpiecznej, godnej, spokojnej śmierci, kiedy wszystkie scenariusze leczenia zostały już wyczerpane, a jedynym horyzontem jest przedłużające się, nieznosne cierpienie, to jedno z fundamentalnych praw, jakie powinny człowiekowi przysługiwać”. Dodał jednak, że jego przekonanie zostało wystawione na próbę po zapoznaniu się ze statystykami z Kanady, gdzie w 2021 r. liczba przeprowadzonych eutanazji wzrosła o 32 proc. rok do roku, a 17 proc. wszystkich decyzji o poddaniu się eutanazji wynikało z oceny własnej sytuacji jako... „nieznosnej izolacji i samotności”.

Jeszcze bardziej przychylnie względem eutanazji wypowiadał się we wrześniu bieżącego roku Tomasz Witkowski w tekście dotyczącym nieco innego problemu, a opublikowanym na łamach „Plusa Minusa” – pisma wciąż uważanego przez wielu za zachowawcze.

Zwolennicy eutanazji powołują się w swej argumentacji na ludzką godność, której rzekomo nie można zachować podczas niektórych ciężkich, nieuleczalnych chorób, oraz na konieczność zapew-

nienia człowiekowi możliwości trwania w odpowiedniej „jakości życia”.

Przysłuchując się argumentom osób optujących za prawną legalizacją eutanazji, nie sposób nie przypomnieć sobie argumentów dotyczących aborcji. Zwolennicy aborcji, szczególnie dzieci chorych, również powołują się bowiem na jakość ich życia, ludzką godność i na to, by życie było warte zycia.

Jednak ten ostatni argument znany nam jest już od dziesięcioleci.

Otóż słuchając propagatorów eutanazji – biorąc pod uwagę ich dobre intencje i często najlepiej w ich mniemaniu rozumianą troskę o cierpiących – trudno także uniknąć skojarzeń z niemiecką, nazistowską akcją T4. Był to program realizowany w latach 1939–1944, polegający na – uważa, cytat będzie precyzyjny – „eliminacji życia niewartego życia” (niem. Vernichtung von lebensunwertem Leben). Mordowano więc chorych na schizofrenię, otępienie, płasawicę Huntingtona, stany po zapaleniu mózgowia, osoby niepełnosprawne, chorych przebywających w zakładach opiekuńczych ponad pięć lat oraz ludzi z niektórymi wrodzonymi zaburzeniami rozwojowymi, a także z niektórymi rodzajami padaczki. Według różnych statystyk zginęło wówczas nawet do 200 tys. osób.

O ile w przypadku dyskusji o aborcji niektóre środowiska cały czas próbują przekonywać, że zabicie nienarodzonego dziecka nie jest morderstwem, o tyle w przypadku eutanazji nikt nie jest w stanie zaprzeczyć, że lekarz rzeczywiście zabija pacjenta. Od żołnierzy III Rzeszy różni dzisiejszego lekarza dopuszczającego się eutanazji to, że belgijski, holenderski czy szwajcarski pacjent XXI w. wyraża na taki czyn zgodę. No, chyba że ma demencję, alzheimera albo jest noworodkiem. Wtedy rozkaz o likwidacji go wydaje rodzina uformowana w wykorzystanym z niedyskrecyjnej – chrześcijańskiej – moralności społeczeństwie.

Jednak przynajmniej nikt – w tym nie-szczęśna belgijska pielęgniarka z poduszką w dłoni – nie udaje, że eutanazja nie jest morderstwem. A czyn owej pielęgniarki, wynikający (jak sama twierdzi) z sympatii i współczucia wobec uśmierconej pacjentki, przypomina o tym również nam wszystkim.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

Słuchając propagatorów eutanazji, trudno uniknąć skojarzeń z niemiecką, nazistowską akcją T4

„jakość życia” ludzkości podnieść, i dojdziemy do wniosku, że wśród pomysłów tych prym wiedzie idea ograniczenia liczby ludności, to układa nam się przed oczyma niezwykle niepokojąca wizja przyszłości.

Podobną wizję, ale raczej jako pożądaną niż przerażającą, przedstawili twórcy happeningu sprzed dwóch lat. Oto w 2021 r. serwisy internetowe obiegała informacja, jakoby w Szwajcarii zalegalizowano Sarco – „kapsułę śmierci”, czyli specjalną maszynę do przeprowadzenia samobójstwa. Informacja o „legalizacji” okazała się fake newsem, ale niezwykle wypromowała rzeczywisty projekt urządzenia obmyślonego przez australijskiego lekarza i proeutanazyjnego aktywistę dr. Phillipa Nitschkego. Urządzenie posiada kształt kapsuły z miejscem dla jednej osoby. Po wejściu doń człowiek zdecydowany na samobójstwo będzie naciskał przycisk, który spowoduje wypełnienie

W poprzednich numerach „Do Rzeczy” moi redakcyjni koledzy – Łukasz Warzecha i Wojciech Golonka – napisali polemiki do mojego eseju „Tak! Należy wyjść z Unii Europejskiej”. Problem z odpowiedzią polega na tym, że z większością ich argumentów całkowicie się zgadzam. Pewne kwestie chciałbym jednak wyjaśnić i uszczegółowić.

Wbrew temu, co pisze Warzecha, bilans finansowy netto naszej obecności w Unii Europejskiej dla Polski nie jest „zaskakująco słaby”, czyli że w niewielkim stopniu, ale korzystny, lecz był prawdopodobnie niekorzystny od samego początku członkostwa. Z wielu powodów samo istnienie dotacji unijnych jest zjawiskiem niekorzystnym dla kraju, który je otrzymuje. Do tej pory Unia wstrzymuje Polsce dotacje z perspektywy finansowej 2021–2027 i jakoś nic strasznego się nie dzieje. Nie opisałem szczegółowo tej problematyki i tak samo celowo nie wracałem w moim tekście do samego bilansu uczestnictwa Polski w Unii Europejskiej, bo na te tematy wielokrotnie się wypowiadałem, również na łamach „Do Rzeczy”. Jednak nawet gdyby bilans ekonomiczny był bardzo korzystny, to należy podkreślić, że kwestie finansowe choć są bardzo istotne, to nie są najważniejsze i na nich nie kończy się świat.

W moim esejach chciałem zwrócić uwagę przede wszystkim na coś, co moim zdaniem jest znacznie ważniejsze, czyli na sprawę nie tylko ograniczenia, lecz także całkowitego wyeliminowania wolności wyboru w wielu dziedzinach gospodarki i życia oraz wolności jako takiej, w tym również kwestii narzucania jedynie słusznego światopoglądu w kwestiach LGBT, aborcji itp., co serwuje nam Bruksela (coraz bardziej to widać). To przede wszystkim dlatego powinniśmy z Unii uciekać, nie licząc nawet tego, czy finansowo nam się to opłaca czy nie. Wolność nie ma ceny. I my tu, w Polsce, wiemy o tym znacznie lepiej niż w zachodnich krajach, gdzie nie było komunizmu.

Napisałem powyżej o fatalnym wpływie członkostwa na polskie społeczeństwo, ale nie można zapominać o Polsce jako bycie politycznym. Zgadzam się z fundamentalnym argumentem Golonki, że Polska powinna opuścić Unię Europejską, bo ta docelowo nie przewiduje

istnienia polskiej racji stanu. Publicysta słusznie zarzuca Brukseli, że integracja europejska dąży do zniesienia państw narodowych, pozostawiając im co najwyżej autonomię regionalną wewnątrz unijnego superpaństwa. Na konwencji PiS w Spodku w Katowicach Jarosław Kaczyński powiedział, że „chcemy być w Unii Europejskiej, ale chcemy pozostać suwerennym państwem”. Jednak nie można być członkiem Unii Europejskiej

„stwierdzenia sprzeczności między przepisem prawa krajowego a przepisem prawa UE rolę sądu krajowego jest w pierwszej kolejności podjęcie próby prounijnej wykładni przepisu prawa krajowego [...]”. Jeśli natomiast sąd krajowy nie może zinterpretować przepisu prawa krajowego w sposób zgodny z prawem UE [...], to należy rozważyć kwestię odmowy zastosowania przepisu prawa krajowego”. Widać wyraźnie, kto jest suwerenem.

Socjalistyczne zniewolenie ludzi



Tomasz Cukiernik

Powinniśmy z Unii uciekać, nie licząc nawet tego, czy finansowo nam się to opłaca czy nie. Wolność nie ma ceny

i jednocześnie państwem suwerennym. Właściwie nie można być nawet państwem niesuwerennym. W ogóle przestaliśmy już być państwem, dlatego też nie używam tego słowa w tym kontekście.

SUWERENNOŚĆ

Pamiętajmy, że Polska nie tylko musi wdrażać unijne dyrektywy i rozporządzenia, lecz także 100 proc. uchwalanego prawa musi być zgodne z prawem unijnym. Co więcej, obowiązuje pierwszeństwo prawa unijnego nad porządkami prawnymi krajów członkowskich. W połowie września Sąd Najwyższy poinformował jednoznacznie, że w razie

Wszystko zmierza w jednym kierunku. Najpierw traktat z Maastricht, potem traktat lizboński. Po wejściu w życie tego ostatniego państwa członkowskie przestały być państwami, a stały się co najwyżej krajami członkowskimi. To Unia Europejska ma wszelkie atrybuty państwa: podmiotowość międzynarodową, osobowość prawną, terytorium, ludność, stolicę, bank centralny i walutę, służbę dyplomatyczną, własny parlament i rząd w postaci Komisji Europejskiej oraz prokuraturę, Trybunał Sprawiedliwości i Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych, własny budżet, flagę, a nawet hymn. Czy widział ktoś,



■ by jakieś państwo było częścią innego państwa i na dodatek było suwerenne?

Wbrew temu, co mówią polscy rządzący, którzy cały czas gardłują, że bronią polskiej suwerenności, kiedy już jej się dawno pozbyli, w tej sytuacji absolutnie nie możemy mówić o suwerenności krajów członkowskich. Polska nie jest już państwem suwerennym, bo suwerenność została przekazana Brukseli, a jedynie niesuwerennym landem, będącym jedną z części składowych sojuszu.

W rzeczywistości Bruksela realizuje przede wszystkim niemiecką rację stanu, która siłą rzeczy musi być sprzeczna z polską. Co gorsza, proces budowy superpaństwa europejskiego pod komendą Berlina w ostatnim czasie zaczął przyspieszać. Otóż Parlament Europejski chce, by kolejne obszary, które na razie należą do wyłącznych kompetencji krajów członkowskich, przechodziły spod ich władzy na rzecz brukselskiej centrali. Komisja Konstytucyjna Parlamentu Europejskiego przygotowała raport o zmianie traktatów Unii Europejskiej, z którego wynika, że Bruksela – łamiąc m.in. polską konstytucję – chce przejąć władztwo w takich obszarach, jak polityka bezpieczeństwa i obronna, polityka podatkowa, zdrowia publicznego, bezpieczeństwo energetyczne, a nawet zagospodarowanie przestrzenne, gospodarka wodna i leśna oraz wiele innych.

Co więcej, pojawiła się propozycja, by w głosowaniach w 65 obszarach wyeliminować zasadę jednomyślności na rzecz zasady większościowej. To nic innego jak spodziewane kroki w kierunku konsekwentnej budowy IV Rzeszy, co zapowiedziano już w umowie koalicyjnej aktualnego rządu Niemiec. – Celem działań unijnych urzędników jest budowa superpaństwa i skumulowanie kompetencji w UE, tak aby Niemcy za pomocą Brukseli mogły realizować swoją agendę polityczną – skomentował w rozmowie z „Gazetą Polską Codzienną” prof. Mieczysław Ryba z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

JAKA ALTERNATYWA?

Łukasz Warzecha zwrócił uwagę na rzekomy brak alternatywy wobec członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Jednak biorąc pod uwagę skalę destrukcyjnego wpływu Unii na nasze życie, szczególnie



w kontekście tego, co dla nas szykuje, każda inna opcja niż członkostwo jest lepsza. A alternatywa jest bardzo prosta. Gospodarka światowa nie kończy się na Unii. Unia Europejska to zaledwie ok. 15 proc. światowego PKB. Około 85 proc. generują państwa pozaunijne. Zamiast rozszerzać współpracę gospodarczą (handel towarami i usługami, wzajemne inwestycje) wyłącznie z krajami członkowskimi Unii Europejskiej, lepiej rozwijać współpracę zarówno z krajami Unii, jak i ze wszystkimi pozostałymi państwami świata.

**Bruksela nikomu nie
zapewnia bezpieczeństwa.
Ta kwestia należy do NATO,
nie do Unii Europejskiej**

Zanim Polska weszła do Unii, mogła dowolnie kształtować swoje stosunki z państwami trzecimi, mogła podpisywać wszelkie umowy międzynarodowe o dowolnej treści, z kimkolwiek chciała. Przed dołączeniem do UE konieczne były renegowacje 190 umów dwustronnych, w tym również likwidujące preferencje celne. Aktualnie członkostwo powoduje, że Polska nie może zawierać dowolnych umów, w tym umów wolnohandlowych, z krajami trzecimi. Wchodząc do UE, Polska musiała wprowadzić lub podwyższyć cła na wiele towarów w handlu z państwami trzecimi. Chodzi głównie

o partnerów handlowych zza wschodniej granicy, ale nie tylko – także z Dalekiego Wschodu, USA czy Ameryki Łacińskiej. Rezultatem polexitu może byłaby mniejsza współpraca z krajami Unii Europejskiej, ale większa z całym pozostałym światem, a to aktualnie blokuje Bruksela.

Alternatywa nie polega na tym, że albo Unia, albo nie mamy gdzie wstąpić po polexicie. Alternatywa polega na tym, czy będziemy jeździli samochodami czy zostaną zakazane, czy stać nas będzie na mieszkanie w domach czy będziemy spać na ulicy, bo nie będziemy mieć pieniędzy na klimatyczny remont budynku, czy będziemy mogli latać samolotami czy Unia zakaże, czy będzie energia elektryczna w gniazdkach czy jej nie będzie.

Pamiętajmy, że to wszystko, co się do tej pory dzieje, to jest na razie przygrywka. Najgorsze przed nami. Wielka Brytania wychodziła z jeszcze całkiem przyzwoitej Unii w porównaniu z tym, co nam szykują.

Niektórzy mówią, że Unia daje nam bezpieczeństwo. I pytają, jaka w tym względzie alternatywa. W rzeczywistości Bruksela nikomu nie zapewnia bezpieczeństwa. Ta kwestia to NATO, a nie Unia.

Warzecha dywaguje, że Polska mogłaby pozostać poza centrum, ale wciąż w ramach luźniejszej politycznej struktury. Tak to by każdy chciał! Bruksela nie zgodzi się na to, aby jakikolwiek kraj członkowski pozostawał poza centrum, które miałyby – jak rozumiem – polegać na niewdrażaniu przynajmniej części unijnych regulacji. Po to Unia Europejska uchwała będące kulą u nogi przepisy, aby



FOT. ANDRZEJ STYCK

wszystkim było gorzej, a nie po to, aby niektórzy mogli się spod nich wywinąć. Możliwe byłoby pozostanie poza centrum na zasadzie: wszystkie obowiązki, ale bez korzyści, a to przecież nie ma sensu.

Również Wojciech Golonka zastanawia się, co może się stać z Polską po polexitie. Jego zdaniem wystąpienie z Unii Europejskiej przypominałoby poniekąd ponowne założenie państwa polskiego. Ale czy to coś złego? Wręcz przeciwnie. Może pojawiłoby się państwo polskie, które przestałoby być socjalistyczne, a zostałyby oparte na zdrowych zasadach wolnościowych i rynkowych. Bo dlaczego lewica i wszelkiej maści skrajne lewactwo tak do upadłego bronią Unii Europejskiej? Dlaczego polexit jest dla nich tematem tabu? Ano dlatego, że Bruksela realizuje lewicową agendę zarówno gospodarczą, jak i światopoglądową. Po prostu jeśli Unia Europejska się rozpadnie, to lewactwo nowej Unii już nie będzie mieć. Wszelkie, nawet najbardziej racjonalne, argumenty nie są przyjmowane do wiadomości i z góry bez weryfikacji odrzucane, ponieważ – jak pisze Warzecha – są koszmarnie niewygodne. Na samą myśl, że ktoś może wypowiedzieć słowo „polexit”, lewactwo dostaje gęsiej skórki. Nie liczy się rozum. Nie chodzi o wolność, o gospodarkę, o dobro człowieka, a o to, że chodzi o klimat, myślą tylko pożyteczni idioci. Liczy się wyłącznie ideologia – socjalistyczne zniewolenie ludzi.

PROUNIJNA PROPAGANDA

To prawda, na co Warzecha słusznie zwraca uwagę, że polska opinia publicz-

na jest wciąż w większości niemal fanatycznie prounijna. Skąd się to wzięło? To rzeczywiście prawdziwy problem, który jest efektem dwóch dekad bezczelnej propagandy. Osoba o przeciwnym zdaniu od razu jest straszona Białorusią (ostatnio redaktor Witold Gadomski w „Gazecie Wyborczej”) lub nieśmiertelnym argumentem ad Putinum (mój kolega prawnik). Ludzie przypisują sprawstwo Unii Europejskiej odnośnie do wielu kwestii, z którymi nie ma ona żadnego związku. Można być w strefie Schengen i nie być w UE. To nie eurodotacje są motorem polskiego wzrostu. Oczywiście wspólny rynek jak najbardziej pomaga w rozwoju gospodarczym, ale to jest tylko jedna strona medalu. Z drugiej strony Unia hamuje nasz wzrost tonami regulacji, które są coraz bardziej antyrynkowe i zamordystyczne. Rozwój gospodarczy, wzrost dobrobytu, to, że żyje się nam coraz lepiej, nie jest efektem dotacji unijnych, a wyłącznie ciężkiej pracy Polaków – zarówno przedsiębiorców, jak i pracowników (poza urzędnikami, którzy ten rozwój starają się hamować), a nie Unii Europejskiej. Wzrost gospodarczy był szybszy przed uzyskaniem członkostwa w Unii niż po nim.

Ludzie płacą unijne podatki i nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Polacy zaczęli je płacić, zanim jeszcze Polska weszła do Unii Europejskiej. Akcyza od paliw i od papierosów była podnoszona pod unijnym dyktando już kilka lat przed tym, gdy staliśmy się krajem członkowskim. Potem doszły kolejne. Na wiele produktów trzeba było podnieść VAT,

w tym na niektóre usługi medyczne, a akcyzy na węgiel i koks wcześniej w ogóle nie było. Opłata od emisji dwutlenku węgla (ETS) powoduje wzrost cen nie tylko energii elektrycznej i ciepła oraz towarów energochłonnych. Tu sytuacja ma się identycznie jak z paliwem, którego wzrost cen przekłada się na podniesienie cen wszystkich towarów i usług. W bliższej i dalszej przyszłości czekają nas nowe podatki związane z tzw. kamieniami miłowymi, jak podatek od rejestracji i użytkowania samochodów spalinyowych, ETS2, czyli opłaty za emisję gazów cieplarnianych w transporcie i ogrzewaniu budynków. Czy wszyscy zwolennicy UE są tego świadomi?

Tymczasem Wojciech Golonka słusznie zwrócił uwagę na istotną sprawę, że „polexit jest w pełni uprawnionym poglądem w społeczeństwie demokratycznym, a wszelkie próby stłumienia możliwości wygłaszania tego poglądu muszą być napiętnowane jako przejaw politycznego mobbingu, który równie dobrze można by nazwać faszyzmem czy ekstremizmem”. Ja już odczułem skutki tego braku tolerancji. W związku ze zbieraniem materiałów do napisania biografii muzyka Miro-sława Breguły, lidera zespołu Universe, rozmawiałem o nim z ponad setką osób. Jedna z nich napisała mi potem w e-mailu, że z uwagi na to, iż ma inne poglądy, wycofuje swoją zgodę na wykorzystanie jakichkolwiek jej wypowiedzi w przygotowywanej książce, nie zgadza się na użycie w niej swojego nazwiska oraz prosi o uszanowanie jej decyzji i uznanie naszej rozmowy za niebyłą. W załączeniu wysłała mi okładkę tygodnika „Do Rzeczy” z tytułem mojego artykułu.

Ludzie nie chcą znać prawdy i się przed nią bronią. Wolą żyć we własnej bańce informacyjnej, która ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Nie zdziwię się, jak niedługo niektórzy ludzie przestaną mi mówić „dzień dobry” na ulicy. Ale to już jest ich problem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO TEJ PORY O POLEXICIE PISALI:

- **TOMASZ CUKIERNIK**, „NALEŻY WYJŚĆ Z UNII!”, „DO RZECZY” NR 40/2023
- **ŁUKASZ WARZECHA**, „JAK WYJŚĆ Z UNII, POZOSTAJĄC W NIEJ”, „DO RZECZY” NR 41/2023
- **WOJCIECH GOLONKA**, „O POLEXICIE, JUŻ BEZ ZNIECZULENIA”, „DO RZECZY” NR 42/2023

Franciszek przez kilka miesięcy trzymał abp. Georga Gänsweina w niepewności, by wreszcie w lipcu skierować go do Fryburga w Badenii-Wirtembergii. To we Fryburgu Gänswein otrzymał w 1984 r. święcenia kapłańskie i został włączony do duchowieństwa tej archidiecezji. Niejako wrócił więc do domu lub tam, skąd przyszedł, zależnie od interpretacji. Los arcybiskupa nie jest bynajmniej typowy dla byłych sekretarzy papieskich. Stanisław Dziwisz po śmierci św. Jana Pawła II został kardynałem i metropolitą Krakowa. Sekretarz św. Pawła VI Pasquale Macchi podobnie jak abp Gänswein wrócił do swojej macierzystej diecezji, tyle że jako archiprezbiter lokalnego sanktuarium. Sekretarz św. Jana XXIII Loris Francesco Capovilla został po śmierci swojego papieża prałatem antykamery i ekspertem soborowym. Arcybiskup Gänswein jest tymczasem... bezrobotny.

Początkowo mówiło się, że może we Fryburgu otrzymać jakieś istotne zadania. Spotkał się z abp. Stephanem Burgerem, ale po rozmowie ogłosił, że na razie nie ma dla niego żadnego konkretnego zajęcia; obecnie może jedynie odprawiać Mszę Świętą w Monastyrze. „Można powiedzieć, że szukam pracy” – stwierdził cierpko w jednym z wystąpień. Hierarcha przebywa we Fryburgu jako osoba prywatna. Problemem jest nawet jego utrzymanie, bo kapłani posługujący w Niemczech mogą liczyć na dobrą państwową pensję. Gänswein – nie. Nie ma w tym jednak nic dziwnego, bo stojąc przez niemal 10 lat u boku „emerytowanego” papieża, sekretarz zrobił naprawdę wiele, by popaść w niełaskę u Franciszka.

DWÓCH PAPIEŻY

Po objęciu tronu papieskiego Jorge Mario Bergoglio pozostawił Gänsweina w funkcji prefekta Domu Papieskiego, którą sprawował także wcześniej, służąc papieżowi Ratzingerowi. Niemiec miał w ten sposób stanowić swoisty łącznik między Benedyktem a Franciszkiem. Nie wyszło to jednak najlepiej – i nie chodzi tylko o formalne problemy, np. trzymanie Gänsweina z dala od spotkań, w których co do zasady powinien uczestniczyć.

Wydaje się, że duży rozdźwięk pomiędzy Franciszkiem a duetem Ratzinger-Gänswein powstał na gruncie dwóch synodów o rodzinie, jesienią lat 2014 i 2015.

„Zasłużone” wygnanie abp. Gänsweina



Papież Franciszek i abp Georg Gänswein, styczeń 2020 r. FOT. M. VALICCHIA/NURPHOTO/GETTY IMAGES



Paweł Chmielewski

Arcybiskup Georg Gänswein służył Ratzingerowi/Benedyktowi XVI przez prawie 20 lat. Dziś zamiast cieszyć się szacunkiem Stolicy Apostolskiej, przebywa na wygnaniu we Fryburgu, nie mając żadnego stałego zajęcia. Nie mogło być inaczej. Gänswein kilkakrotnie naraził się Franciszkowi – i to w sposób tak ostry, że w innych, mniej delikatnych czasach, musiałyby liczyć się z o wiele poważniejszymi konsekwencjami

Franciszek oddał te zgromadzenia w ręce ludzi, którzy stali na radykalnie odmiennych pozycjach teologicznych niż Benedykt, jak kard. Walter Kasper. W 2016 r. papież ogłosił adhortację posynodalną „Amoris laetitia”. Ogłosił w niej wprost Kasperiańską teologię, co w ocenie wielu ekspertów wiązało się z próbą dosłownego wywrócenia katolickiej nauki moralnej do góry nogami. W książce wydanej po śmierci Benedykta Gänswein pisał, że

„były papież” miał krytycznie oceniać „styl”, w którym Franciszek zaproponował zmiany w duszpasterstwie Kościoła dotyczące Komunii Świętej dla rozwodników. Doszło do tego, że Gänswein publicznie skierował przeciwko Franciszkowi niezwykle ostre oskarżenia. W maju 2016 r. hierarcha wygłosił przemówienie na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim. Formalnie chodziło o swoisty komentarz do książki włoskiego historyka Roberta

Regolego poświęconej pontyfikatowi Benedykta XVI.

To, że Gänswein nie został jeszcze wówczas wyrzucony z hukiem z Watykanu przez Franciszka, wynikało chyba tylko z tego, że przemówienie było bardzo hermetyczne i wymagało użycia kluczy interpretacyjnych. Po pierwsze, Niemiec przedstawił w swojej mowie autorską teologię papieżstwa, całkowicie niezgodną z nauką Kościoła. Twierdził, że po abdykacji Benedykta XVI „żyjemy z dwoma następcami św. Piotra”, a Ratzinger jakoby „głęboko i trwale” przekształcił posługę papieską. Takie „rozdwojenie” papieżstwa zakładało w sumie oczywistą sugestię, że Franciszek jest papieżem innym niż jego poprzednicy, jakby gorszym, słabszym – bo ograniczonym poprzez osobę Benedykta.

A na tym nie koniec. Gänswein nawiązał też pośrednio do teorii politycznej Carla Schmitta, mówiąc, że Benedykt XVI, rezygnując z urzędu, ale zachowując później papieskie imię etc., działał na mocy „stanu wyjątkowego”, którego chciał sam Bóg. Jaki miałby to być stan wyjątkowy? Właśnie tu wkraczała totalna krytyka Franciszka. Gänswein mówił, że na konklawe w 2005 r., które wybrało Józefa Ratzingera, doszło do „dramatycznych zmagani” pomiędzy „partią soli ziemi”, która była wierna Ratzingerowi, a „grupą z Sankt Gallen”, która starała się zapobiec jego wyborowi. Gdzie tu motyw antybergogliński? Z przecieków, które dostały się do mediów po konklawe, wiadomo, że głównym konkurentem Ratzingera był w roku 2005 właśnie Jorge Mario Bergoglio. Stawiali na niego kardynałowie zebrani w przywołanej przez abp. Gänsweina „grupie z Sankt Gallen” (szeroko opisywałem te sprawy w książce „Papież Franciszek i mafia z Sankt Gallen” wydanej w 2022 r.). Gänswein stwierdził, że o ile „partia soli ziemi” opowiadała się za Chrystusem, o tyle „grupa z Sankt Gallen” – za dyktaturą relatywizmu. Tym samym stwierdził, że Franciszek to papież dyktatury relatywizmu, a zatem niejako „eschatologiczny” oponent Benedykta. Trudno, by po takim przemówieniu papież Bergoglio mógł darzyć abp. Gänsweina sympatią.

POGŁĘBIENIE KRYZYSU

Widoczny kryzys w ich relacjach wybuchł z całą siłą na gruncie Synodu

Amazońskiego, który zebrał się jesienią 2019 r. Synod co do zasady był poświęcony Amazonii, ale poruszał zagadnienia zdecydowanie wykraczające poza partykularne problemy tego regionu. Dotyczył m.in. zagadnienia życia kapłańskiego, zwłaszcza – celibatu. Wpływowe środowiska niemieckojęzyczne, które z woli Watykanu zostały ściśle zaangażowane w przygotowanie synodu, liczyły na to, że po synodzie Franciszek zgodzi się na „wyjątkowe” wyświęcanie żonatych na księży. Tego tematu dotyczyła dyskusja, która toczyła się na długo przed zwołaniem synodu. W czasie jej trwania „emerytowany” papież postanowił napisać tekst o kapłaństwie. Zgodnie z jego pierwotnym zamierzeniem miał on zostać wydany dopiero pośmiertnie. O pracy podjętej przez Benedykta dowiedział się jednak gwinejski kard. Robert Sarah, wówczas prefekt Kongregacji ds. Kultu Bożego. Zaproponował Benedyktowi, że włączy tekst do swojej książki, którą przygotowuje na temat życia kapłańskiego. Benedykt się zgodził.

W efekcie w styczniu 2020 r. ukazała się książka zatytułowana „Z głębi naszych serc”. Na okładce widniały fotografie Benedykta XVI i kard. Roberta Sarah; obaj figurowali jako autorzy. Był to okres, w którym opinia publiczna czekała na publikację dokumentu posynodalnego Franciszka. W mediach powszechnie spodziewano się, że papież zapisze w nim zgodę na wyświęcanie żonatych – wcześniej sam wypowiadał się publicznie z aprobatą o takim rozwiązaniu w „szczególnych” przypadkach. Tymczasem w artykule Benedykta zamieszczonym w książce zawarta była wielka obrona celibatu, wykład o jego głębokich korzeniach i powiązaniu z istotą kapłaństwa. Nic dziwnego, że publikację powszechnie odebrano jako próbę powstrzymania Franciszka przez Benedykta. Książka stanowiła tym samym jakby potwierdzenie tego, o czym mówił w 2016 r. Gänswein: że dzisiaj posługa papieska jest „rozdwojona”. Oto były papież zabiera głos w sprawie, nad którą decyduje właśnie jego następca... W adhortacji „Querida Amazonia”, którą wydał Franciszek, ostatecznie nie było zgody na wyświęcanie żonatych. Wielu watykanistów uważa, że książka „Z głębi naszych serc” osiągnęła skutek.

Czy naprawdę o to chodziło? Gänswein po jej premierze ogłosił, że taka forma

publikacji – ze zdjęciem i nazwiskiem Benedykta na okładce – nie była autoryzowana przez papieża Ratzingera. Przekonywał później, że za „bałagan” odpowiadają wyłącznie kard. Sarah oraz współpracujący z nim francuski dziennikarz, Nicolas Diat. Franciszek jednak w to nie uwierzył. Uznał najwyraźniej, że Gänswein albo odegrał w całej sprawie jakąś rolę, albo – w najlepszym wypadku – nie dopełnił obowiązków i nie powstrzymał kryzysu. Został wysłany na przymusowy urlop na urządzenie prefekta Domu Papieskiego. Do tej funkcji nigdy już nie powrócił, choć w osobistych listach do Franciszka wstawiał się za nim Benedykt. Papież Bergoglio nie zmienił zdania.

NAKAZ MILCZENIA

Później Gänswein nie próbował już polepszyć swojej sytuacji, wręcz przeciwnie. Jeszcze za życia Benedykta XVI przygotował książkę pt. „Tylko prawda. Moje życie u boku Benedykta XVI”. Została opublikowana zaraz po śmierci papieża. Gänswein pisał w niej o krytycznej ocenie papieża Ratzingera wobec „Amoris laetitia”, a także o jego żalu do Franciszka spowodowanym restrykcjami nałożonymi na liturgię łacińską w 2021 r. Ujawnił też nazwisko niemieckojęzycznego kardynała, który popierał kandydaturę Ratzingera na konklawe w 2005 r. Następnie zaczął udzielać mediom wielu wywiadów. Wściekły Franciszek wezwał go do siebie i nakazał mu milczenie; watykańscy twierdzą, że groził mu najsurowszymi karami. Gänswein się dostosował; wrócił do udzielania wywiadów dopiero po pewnym czasie. Czynił to już jednak w bardzo ostrożnej formie, wiedząc, że oceniane będzie każde jego słowo. Gdy przeprowadzałem z nim wywiad kilka miesięcy temu, nie chciał wchodzić w szczegóły trudnych spraw.

Cóż, Gänswein ma dopiero 67 lat. Za pontyfikatu papieża Franciszka nie zrobił już chyba żadnej kariery, chyba że jakichś koncesji na jego rzecz wymagałaby wewnętrzkościelna polityka. Być może liczy na zmianę sytuacji po wyborze następcy Bergoglio; a być może przygotowuje kolejną publikację, w której o pontyfikacie Benedykta, latach po abdykacji i własnej roli opowie z większymi niż dotąd szczegółami. Czas pokaże.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



Z Moniką Luft, dziennikarką i pisarką
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert



Kontrabanda dyplomatyczna



TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Można oszacować, ile dzieł sztuki i antyków nielegalnie opuściło „Polskę Ludową”?

MONIKA LUFT: Nikt nie ma takich danych. Proceder odbywał się różnymi drogami i angażował wielu ludzi, od zagranicznych dyplomatów i turystów do

zorganizowanych grup przemytniczych. W 1976 r. ujawniono, że w pierwszej połowie lat 70. celnicy udaremnili wywóz 9192 przedmiotów antykwarecznych. A ile przemycono? Z pewnością znacznie więcej. Skalę procederu oszacowano w kilku zaledwie przypadkach. Należy

do nich sprawa grupy skupionej wokół Witolda Mętlewicz, przez dwie dekady regularnie wywożącej za granicę dzieła sztuki i antyki. Ich wartość sięgnęła 170 tys. ówczesnych dolarów – zidentyfikowano m.in. 105 obrazów. Oczywiście mówimy tylko o tym, co udało się po-

Przedsiębiorstwo „Dzieła Sztuki i Antyki” (Desa) powstało, by zmonopolizować handel antykwaryczny

FOT. TADEUSZ DRANKOWSKI/PAP

która bez wątpienia zasługuje na to, by się jej bliżej przyjrzeć. Zdumiewające jest, że moja książka jest pierwszym tak szerokim opracowaniem tego tematu.

Co najcenniejszego z tej dziedziny wywieziono?

Grupa Mętlewicza zawarła pewną umowę z odbiorcami towarów w Wiedniu. Chodziło o to, by wywożone z Polski dzieła sztuki nie były ogłaszane w katalogach ani wystawiane na aukcjach. Wszystkim bowiem zależało na utrzymaniu jak najściślejszej tajemnicy. Podczas procesu sąd podał jednak przykłady cennych przedmiotów. Były wśród nich wyroby z porcelany miśnieńskiej, np. waza pochodząca z tzw. serwisu łabędziego, warta wówczas 3 tys. dol. Dalej drewniana, XVI- lub XVII-wieczna figurka Madonny, która uzyskała cenę 4,5 tys. dol. Na liście znalazła się też wysadzana brylantami ikona warta 12 tys. ówczesnych dolarów oraz płótna pędzla Józefa Brandta, Henryka Siemiradzkiego, Leona Wyczółkowskiego i Alfreda Wierusz-Kowalskiego. Inna ekipa przemysłowa, zwana grupą Adama Paslera, oferowała na rynku duńskim zakupione w Polsce obrazy Caravaggia i Rubensa; nie ma jednak stuprocentowej pewności, czy były to oryginały. Na pewno łatwiej byłoby wymienić te obiekty, które w wyniku procesu grupy Mętlewicza przepadły na rzecz Skarbu Państwa i zasiłyły zasoby polskich muzeów, w tym Narodowego. Dzieła Józefa Chełmońskiego, Władysława Czachórskiego, Juliana Fałata oraz innych polskich mistrzów, rzeźby, porcelana i numizmaty miały być warte – według ówczesnych stawek – 42 mln zł. Zarekwirowano również nieruchomości, 120 kg złota, 85 tys. dol. i biżuterię.

Komuniści utworzyli Desę, aby kontrolować rynek antykwaryczny i kolekcjonerski?

Desa, przedsiębiorstwo „Dzieła Sztuki i Antyki”, powstała, by handel antykwaryczny zmonopolizować i skupić w rękach państwa. Firmę powołano do życia w 1950 r., gdy dobiegała końca tzw. bitwa o handel, w ramach której władze rozprawiły się z dynamicznie rosnącym po wojnie sektorem prywatnym. Trzy lata wcześniej, w 1947 r., ogłoszono, że drożyznie oraz wszelkim niedoborom winni są „spekulanci”, czyli kupcy i sklepikarze; wkrótce prywatną przedsiębiorczość zduszono karami

finansowymi. Desa odegrała jednak swoją rolę tylko połowicznie, ponieważ prywatny obrót antykami i dziełami sztuki nadal istniał – tyle że w podziemiu. Wielu jej pracowników aktywnie w nim zresztą uczestniczyło, w charakterze rzeczoznawców lub pośredników. Jeden z przesłuchiowanych opowiadał, że aby dotrzeć do pewnego kolekcjonera z Poznania, należało zapytać w Desie na Rynku o „pana z łaską”. W „szarej strefie” obowiązywała konspiracja, ale wtajemniczeni wiedzieli, kogo i jak znaleźć.

Najgłośniejsza sprawa kontrabandy dóbr narodowych znalazła epilog przed sądem w połowie lat 70.?

To był gigantyczny skandal o wymiarze międzynarodowym – pisała o nim prasa nawet w Kanadzie. W grudniu 1975 r. ruszył pokazowy proces dziesiątki oskarżonych, ochrzczonych mianem „złotogłowych”. Dwaj główni obwinieni, pochodzący z zasłużonej rodziny Witold Mętlewicz oraz tłumacz z ambasady brazylijskiej Mieczysław Młynarczyk, usłyszeli drakońskie wyroki: 25 lat więzienia. Kary dla pozostałych też nie były niskie – od czterech do jedenastu lat pozbawienia wolności. Na ławie oskarżonych zasiadły również żony obu współników. Szczegółami luksusowego życia członków grupy ekscytowały się media. Nie mogli oni liczyć na współczucie współobywateli. Handel złotem i walutą, którym się parali, nie robił aż takiego wrażenia, ale już ogołacanie kraju z dóbr kultury skazywało ich na powszechne potępienie.

W tę spektakularną aferę zamieszani byli także obcokrajowcy?

To dzięki dyplomatom brazylijskim przemysł ten mógł się odbywać bez przeszkód przez 20 lat. Niektórzy Brazylijczycy, kursujący pomiędzy Polską i Austrią, byli istnymi hurtownikami. Pamiętać należy, że ich bagaże nie podlegały kontroli celnej. A przepasą pomiędzy cenami na towary luksusowe w Polsce i za granicą stanowiła pokusę nie do odparcia. Dyplomaci należeli do najwierniejszych klientów salonów Desy, sklepów jubilerskich i pracowni kuśnierskich. Działali też jako kurierzy, pobierający procent od wartości przewożonych przesyłek. Zresztą całą placówka utrzymywała się

twierdzić na podstawie zeznań oskarżonych i świadków. Nie wiadomo, jak wiele zeznający przemilczeli. Z kolei do kraju grupa ta przemycała ze Szwajcarii 16 ton złota (sic!). Cały tir solidnie wyładowany sztabkami i monetami – tak można by sobie wyobrazić tę ilość. Szokująca historia,

■ w dużej mierze z czarnorynkowej wymiany walut.

Na drakońskim wyroku dla oskarżonych w tym procesie zaważył obrót dewizami?

Zdecydowanie tak. Władze komunistyczne nagłośniły kwestię wywozu dzieł sztuki w celach propagandowych – to było to, co pogrążało oskarżonych w oczach społeczeństwa. Ale skazano ich na tak wysokie kary głównie za handel złotem i walutą w ramach zorganizowanej grupy przestępczej, chociaż niektórzy z uczestników tego procederu nie czuli się członkami żadnej szajki i ze współoskarżonymi spotkali się po raz pierwszy dopiero na sali sądowej. Jednak udział w organizacji przestępczej oznaczał surowsze wyroki, a władza chciała pokazać, że nie pobiła tym, którzy uszczuplają dobra narodowe.

Śledztwo dotyczące „złotogłowych” zahaczało także o morderstwo...

Rzeczywiście, próbowano udowodnić, że grupa Mętlewicza nie cofała się nawet przed zbrodnią. Zrobiono wiele, by powiązać „złotogłowych” z zabójstwem aktora i kolekcjonera Mariana Trojana, który zginął w swoim mieszkaniu w 1967 r. Jednak to się śledczym z SB nie udało, choć wielokrotnie sugerowali, także wobec mediów, że taki związek istniał. Morderstwo Trojana do dziś pozostaje nierozwiązaną zagadką.

Kontakt z Temidą zdołał uniknąć Czesław Bednarczyk, postać wyjątkowo enigmatyczna.

Tego emigranta z Polski, właściciela renomowanego antykwarium w Wiedniu, Biuro Śledcze MSW uznało na móg operacji przemytniczej. W takim też kontekście wymieniano jego nazwisko podczas procesu. On sam oczywiście wszystkiemu zaprzeczał. Ciekawostką jest, że bezpieka jeszcze przed jego emigracją w 1960 r. kilkakrotnie próbowała go zwerbować do współpracy, lecz za każdym razem ponosiła porażkę. Trzeba przyznać, że Bednarczyk był sprytniejszy od funkcjonariuszy aparatu represji PRL. Biuro Śledcze MSW włożyło sporo wysiłku, by przeświecić jego okupacyjną przeszłość i zebrać dowody dotyczą-



MONIKA LUFT
„PEJZAŻ
Z PRZEMYTNI-
KIEM”
WYDAWNICTWO
LTW

ce kolaboracji z Niemcami. W końcu poprzestano na przypuszczeniach i insynuacjach. Bezpieka okazała się wobec Bednarczyka bezsilna – być może także dlatego, że mógł liczyć na możliwych protektorów, m.in. ze Stowarzyszenia „Pax”.

Pani książka przywołuje również działania pewnego duchownego.

Leon Dygas, kapłan katolicki i historyk sztuki, był jednym z tych oskarżonych, którzy do końca utrzymywali, że nie należeli do żadnej szajki. Nie uważał się też za handlarza, lecz za kolekcjonera, który jeśli w ogóle coś sprzedawał, to wyłącznie zmuszony koniecznością życiową. Jednak sposoby, których się chwycił, aby powiększać swoje zbiory, musiały budzić wątpliwości etyczne. Często pozyskiwał obiekty od życzliwych parafian, którzy nie zdawali sobie sprawy z rzeczywistej wartości przekazywanych przedmiotów. Z kolei jednemu z potencjalnych klientów wmawiał, że jego nazwisko to spolszczona wersja nazwiska Edgara Degasa. I to niby ze zbiorów rodzinnych pochodził miał obraz tego malarza, który Dygas próbował upłynnić. Udowodniono mu poza tym fałszerstwa – Dygas, przypisując atrybucje dziełom, które przechodziły przez jego ręce, posuwał się do dodawania na płótnach sygnatur. Suspendowany jeszcze przed procesem porzucił wkrótce stan kapłański. Już wcześniej założył zresztą rodzinę. Jako były ksiądz, postawiony w stan oskarżenia i skazany na wieloletnie więzienie, budził wielkie zainteresowanie prasy, także zagranicznej.

Innym opisywanym jest pewien darczyńca licznych krajowych muzeów.

Znany kolekcjoner Tadeusz Wierzejski uchodził za jedynego antykwarusza w PRL posiadającego oficjalne zezwolenie władz na handel antykami i dziełami sztuki. Biuro Śledcze MSW zaliczało go do grupy Mętlewicza, lecz nie objął go akt oskarżenia – wiek i zdrowie na to nie pozwoliły. Nietrudno było przewidzieć, że nie dożyje procesu. Skoro jednak pociągnięcie Wierzejskiego do odpowie-

dzialności stało się niemożliwe, to Służba Bezpieczeństwa szantażem zmusiła go do dokonania pokażnej darowizny na rzecz rekonstruowanego Zamku Królewskiego w Warszawie. W aktach znalazłam wiele nieznanych do tej pory, a przy tym drobiazgowych informacji na ten temat. W książce przytaczam m.in. dialogi pomiędzy Wierzejskim a funkcjonariuszem SB, prowadzącym tę grę.

Bijący w kinach „rekordy braku frekwencji” film pt. „Antyki” powstał na zlecenie „władzy ludowej”?

Jak najbardziej. Impuls wyszedł z KC PZPR, a bezpośrednim pomysłodawcą filmu była SB. Najpierw planowano nakręcić serial telewizyjny, oparty na reportażu pióra Andrzeja Gassa, zamieszczonego na łamach warszawskiej „Kultury”, a relacjonującego proces „złotogłowych” – to zresztą autor tego tekstu nadał grupie Mętlewicza ów przydomek. Konsultantem produkcji miało być Biuro Śledcze MSW. W końcu powstał film fabularny, w reżyserii Krzysztofa Wojciechowskiego, według scenariusza Ryszarda Gontarza, zrealizowany w Zespole Filmowym „Profil”. Kierujący nim Bohdan Poręba był przedstawicielem nurtu zwanego „narodowym komunizmem”. Z kolei Gontarz to funkcjonariusz UB i SB, a następnie tajny współpracownik Departamentu I MSW (wywiad) oraz „marcowy” dziennikarz. Efekt współpracy tego grona nie przypadł jednak do gustu nie tylko widzom, lecz także nawet samej SB, która wyraziła po premierze swe głębokie niezadowolenie. „Film słaby, miernota” – narzekał funkcjonariusz po seansie w nieistniejącym już kinie Skarpa. Cóż, ta akcja propagandowa poniosła całkowite fiasko. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Monika Luft – absolwentka iberystyki na UW i Akademii Sztuki Wojennej (w zakresie historii służb specjalnych), dziennikarka i pisarka, autorka powieści „Śmiech iguany” i „System argentyński” oraz książek non-fiction „Awantura arabska. Od Emira Rzewuskiego do Krzysztofa Jurgieła” i najnowszej „Pejzaż z przemytnikiem. Jak wywożono z PRL dzieła sztuki i antyki”.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Gwardia Ludowa”

Indoktrynacja społeczeństwa w Polsce Ludowej oparta była na bezczelnych kłamstwach. Etos tego tworu, całkowicie zależnego od Moskwy, opierać się miał na... „woli ludu”, który jakoby całkowicie popierał działalność komuny. A jak było naprawdę? Posłużmy się tylko własnymi dokumentami GL i wspomnieniami „bojców”.

Celem PPR i GL było natychmiastowe wywołanie powstania powszechnego. Komuniści nie mieli jednak poparcia społecznego, co sami przyznawali. Na przykład jeden z nich pisał: „Część chłopów niektórych wsi, uzbrojona w siekiery, widły itp., chwyciła ukrywających się członków PPR i GL i oddawała ich w ręce żandarmerii”. W ramach samoobrony ludność wiejska współdziałała nawet z policją, aby ratować zdrowie, życie i mienie: „Pacyfikacje zmuszają chłopów do brania siekier i razem z policją mają uderzać na oddziały partyzanckie”.

GL składała się głównie ze straszliwie zdemoralizowanych lumpów: „GL jest sparszywiała, zdemoralizowana, że jest nastrojona na wskroś oportunistycznie i w ogóle nie przedstawia dziś żadnej wartości”. Kadry oceniano jak najgorzej: „Skład partyzantów i d-twa rekrutował się z elementu bandziorskiego”. Podobnie było ze sferą obyczajową. Typowa charakterystyka jednego z hersztów: „Uprawiał bandyckie roboty,

a nie polityczne. Dobrał do siebie ludzi, którzy w tym fachu byli wykwalifikowani, i otoczył się całą kliką bandycą, np. zabierali konie i sprzedawali, a pieniądze szły na wypicie i pohlulanki. Gwałcili kobiety, nawet matki i córki razem. Kładli im granaty na piersi i gwałcili, rabowali ubrania, futra, pieniądze, biżuterię i różne przedmioty wartościowe”.

Nie można ich oceniać inaczej, skoro sami o sobie pisali: „Do jakiejś roboty trudno nam się było zabrać. Przerzucaliśmy się z miejsca na miejsce bez żadnej akcji. W jednej wsi towarzysze dawali nam karabiny, ale myśmy ich nie wzięli, bo były trudne do ukrycia”. Partyzanci, którzy nie chcieli lepszej broni? To się w głowie nie mieści! Wszelkie próby, aby ich przyuczyć do „wojaczki”, kończyły się kompromitacją: „Było trudno zdobyć kandydatów na kurs partyzancki... Na 40 kandydatów, którzy się zgłosili na kurs, przybyło zaledwie siedmiu. Po czterech dniach rozleciał się, ponieważ w domu tym nastąpiła kradzież i poszkodowany sprowadził policję. Na razie innego miejsca nie było i szkołę rozwiązaliśmy, bo i tak słuchacze nie byli zbyt zadowoleni”.

Po wojnie bandyci porobili oszałamiające kariery w UB, wojsku, administracji, a nawet w dyplomacji i wymiarze sprawiedliwości. Obwiesili się orderami i przyznawali sobie apanaże. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwszy sukces Marka Grechuty

Niewiele osób obecnie pamięta, że słynna Anawa, zespół Marka Grechuty i Jana Kantego Pawлуśkiewicza, początkowo był kabaretem studenckim. Jednak z upływem czasu w jego repertuarze pojawiało się coraz więcej poetyckich piosenek aranżowanych na barokowo-jazzowy zestaw instrumentów. A do tego oszczędne zachowanie sceniczne wokalisty działało wręcz hipnotyzująco na dziewczęta.

Podobno żaden facet nie miał szans, aby wcisnąć się do pierwszych dwóch rzędów okupowanych przez wierne wielbicielki. W tej sytuacji pozostali członkowie Anawy zrozumieli, kto jest największą gwiazdą ich grupy.

„[...] wychodził na scenę, nie ruszał się prawie w ogóle – komentował Pawлуśkiewicz. – Nieruchome miał ręce, nogi, nie wykonywał żadnych gestów, a wszystkie się w niego wpatrywały. Na początku to jeszcze się ludzi liśmy, że one dla kogo innego przychodzą, ale szybko pozbyliśmy się złudzeń”.

W 1967 r. Marek wystartował w eliminacjach do Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenkarzy Studenckich, ale jego występ nie rzucił jurorów na kolana. Z trudem przebrnął przez eliminacje wewnętrzne na rodzimej Politechnice (zajął drugie miejsce), a jeszcze większe problemy miał podczas regionalnego etapu rywalizacji. Preferowano wówczas

studentów szkół aktorskich, a wyjątkowo oszczędna interpretacja Grechuty nie zrobiła na nikim większego wrażenia. O jego losach zdecydowała Ewa Demarczyk, która przekonała jury, że Grechuta zasługuje na występ w finale.

Koncert galowy odbył się 23 października 1967 r. w sali Filharmonii Krakowskiej. Transmitowała go telewizja, a że były to czasy jednego, jedyne go programu, to Marka zobaczyła cała Polska. Wykonał trzy piosenki: „Serce”, „Tango Anawa” oraz „Pomarańcze i mandarynki”. I to w zupełności wystarczyło, by na jego punkcie oszalały wszystkie słuchaczki, i to bez względu na ich wiek.

„Pamiętam ten jego występ i zachwyt mojej babci – relacjonowała Anna Szałapak. – Była Markiem oczarowana. Mówiła o nim: »anielski cherubinek z aureolą blond loków wokół głowy«. Cała Polska oszalała, gdy śpiewał: »Będiesz moją panią« i »dam ci serce szczerozłote, dam konika cukrowego«”.

Grechuta zajął drugie miejsce (pierwszą nagrodę zdobyła Maryla Rodowicz), ale „Serce” zdobyło Grand Prix. Marek z dnia na dzień stał się gwiazdą, a to dopiero był początek jego drogi na szczyt. Laureatów studenckiego przeglądu zapraszano bowiem na festiwal w Opolu, a to oznaczało, że drzwi do wielkiej kariery stoją przed nim otworem... ©©



Teresa Stylińska

Nowa Turcja narodziła się oficjalnie 29 października 1923 r. Dwaj prezydenci spinają stulecie republiki jak klamra. Atatürk republikę stworzył. Erdoğan zadbał o to, by jego dzieło zmienić i osłabić

Rozległa fasada Białego Pałacu, ogromnej rezydencji prezydenckiej w Ankarze, cała jest skąpana w czerwonym świetle, z przebłyskami bieli, w barwach narodowych Turcji. Nad wejściem rozpościera się wielka flaga, po bokach widnieją wizerunki dwóch mężczyzn. Pierwszego zna w Turcji każdy, bo jego portret jest jak drugie godło państwowe. Mustafa Kemal Atatürk, dowódca wojskowy, twórca Republiki Turcji i jej pierwszy prezydent, spogląda na obywateli z portretów w każdej instytucji państwowej, w każdym urzędzie, szkole, ambasadzie. Drugi to Recep Tayyip Erdoğan, prezydent obecny.

Tak iluminowano pałac 30 sierpnia, w Dniu Zwycięstwa, święta narodowego, które upamiętnia bitwę pod Dumlupınar. W 1922 r. tego dnia Turcy pod wodzą Kemala paszy (jeszcze nie Atatürka – szczytne nazwisko, oznaczające „ojca Turków”, otrzyma dopiero za 12 lat) pokonały oddziały greckie, definitywnie kończąc wojnę grecko-turecką w Anatolii i otwierając drogę do powstania nowej Turcji.

Narodziła się ona 29 października 1923 r. Wielkie Zgromadzenie Narodowe, zebrane w Ankarze, nowej stolicy, proklamowało republikę, wybrało Kemala na prezydenta i przyjęło konstytucję. Rok wcześniej, 1 listopada 1922 r., zniesiono sułtanat. Dzień Republiki od samego początku stał się najważniejszym świętem narodowym Turcji, Atatürk zaś czczony jest jako „pasza, który uratował Turcję”. Wypełnił więc misję zleconą mu, tymi właśnie słowami, przez ostatniego sułtana Mehmeta VI.

POD NOWĄ NAZWĄ

Dwaj prezydenci spinają stulecie republiki jak klamra, również w wymiarze

symbolicznym. Atatürk republikę stworzył. Erdoğan zadbał o to, by jego dzieło zmienić i osłabić. Dzięki zwycięstwu w przeprowadzonych w maju wyborach prezydenckich może spełnić marzenie, którego nigdy specjalnie nie ukrywał: będzie przewodniczył obchodom stulecia. Erdoğan, pobożny muzułmanin i wielbiciel czasów osmańskich, ma uczcić dzieło przywódcy, który na gruzach imperium stworzył Turcję laicką, odwróconą od świata islamu. To niewątpliwie paradoks.

Na forum międzynarodowym stulecie republiki Turcja będzie świętować pod nową nazwą: już nie Turkey, lecz Türkiye, tak jak brzmi ona w języku tureckim. Od

paru miesięcy posługują się nią ONZ i organizacje międzynarodowe, a także instytucje tureckie za granicą. Wkrótce napis Türkiye Hava Yolları zastąpi na tureckich samolotach obecną nazwę Turkish Airlines. Dzięki temu Türkiye się utrwali.

W Polsce oczywiście Turcja pozostanie Turcją. Władze tureckie, przynajmniej na razie, nie oczekują, że każdy kraj wprowadzi Türkiye do swego własnego języka. Nie idą zatem w ślady władz Białorusi, które, gdy na początku lat 90. ukonstytuowała się ona jako państwo, sugerowały, by wszyscy przerzucili się na formę odzwierciedlającą białoruskie „Biełaruś”. W Polsce Białoruś ma utrwaloną histo-



Od Atatürka do



Erdoğan

rycznie nazwę i zabiegi te słusznie zlekceważono, w innych krajach jednak, bardziej odległych i bez semantycznych tradycji, „Belarus” weszła do użycia, wypierając „Byelorussie” i „Weissrussland”.

Przejście na formę „Türkiye” to inicjatywa prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğan i nietrudno się domyślić dlaczego. Któż by chciał, żeby jego kraj nazywał się „indyk”, jak to jest w angielskim? Zwłaszcza w czasie, gdy Turcja jest na ustach świata. „Türkiye” mieści się poniekąd w duchu obchodów rocznicowych, bo słowo „Turcja” rozpowszechniło się dopiero w republice, gdy znalazło się w nazwie państwa. Nie było w użyciu za czasów osmańskich.

W wielonarodowym państwie osmańskim Turcy stanowili niewielką część ludności obok Greków i Ormian, Albańczyków i Bułgarów, Arabów i Kurdów i licznych pomniejszych nacji. Wspólnym państwem ich wszystkich była nie Turcja, lecz imperium.

W SERCU ANATOLII

W Dniu Republiki oficjalne uroczystości odbywają się zawsze przed Anitkabir, mauzoleum Atatürka w Ankarze, w miejscu dla kemalistów niemalże świętym. Obchody stulecia prezydent Erdoğan wolałby pewnie przenieść do Stambułu, swego miasta, gdyby to jednak zrobił,

w widomy sposób uchybiłby dziełu Atatürka. Erdoğan robił to nie raz i nie dwa, w poważniejszych sprawach i nie bez przyjemności, wie jednak, kiedy nie wolno przekraczać granic. Ankary, w której jako szef państwa musi rezydować, też zresztą nie lubi, bo Ankara to stolica Atatürka.

Mamy lata 20. Wojna o niepodległość dobiegła końca, pokonani Grecy wrócili do siebie (część dowódców wojskowych zapłacił głową za klęskę), traktat podpisany w Lozannie 24 lipca 2023 r. gwarantuje Turcji istnienie i nowe granice. Imperium się rozpadło, lecz Turcja ocalała. Jeśli ma pozbyć się reputacji „chorego człowieka Europy”, którym się stała u schyłku imperium, to musi zbudować siebie od nowa.

Kemal pasza doskonale to rozumie. Wie, że zmienić musi się wszystko, nie tylko ustrój i prawo, lecz także kalendarz, alfabet, stroje i obyczaje – i z czasem to przeprowadzi. Nowe państwo musi też mieć nową stolicę. Kemal osobiście wybiera Angorę, miasteczko małe, choć starożytne, której atutem jest położenie: w sercu Anatolii. W porównaniu z Konstantynopolem (Osmanowie nigdy nie zmienili jego nazwy), miastem pałaców i meczetów, Angora jest niczym, stanowi jednak początek.

I oto 14 września 2023 r. zapyziałe miasteczko oficjalnie zostaje stolicą. Instalują się tu, nie zwlekając, parlament, urzędy, dowództwo wojskowe, z czasem zaś ambasady (polska jako jedna z pierwszych). Angora zmienia nazwę i już jako Ankara rozrasta się do dzisiejszych rozmiarów pięciomilionowej metropolii. Właśnie skończyła 100 lat – i nie tylko ona.

Od ponad roku stulecie takie czy inne obchodzone jest niemal seryjnie i tak będzie jeszcze przez jakiś czas, bo narodziny nowej Turcji to proces bogaty w wydarzenia. Zwycięskie bitwy, traktat w Lozannie, powstanie parlamentu – wszystko należy odnotować i uczcić. Na początku września 100 lat istnienia obchodziła założona przez Kemala Republikańska Partia Ludowa (CHP), jedyne ugrupowanie, które od początku republiki istnieje do dzisiaj.

SZEŚĆ STRZAŁ KEMALIZMU

„Mustafa Kemal poprowadził wojsko do zwycięstwa, które pokazuje, jak bardzo naród turecki kocha wolność” – mówił Recep Erdoğan podczas tegorocznych

obchodów Dnia Zwycięstwa. Jak te słowa uznania – fakt, że powściągliwie – pogodzić z rzuconą przezeń jakiś czas temu uszczypliwą uwagą, że „republikę stworzyło dwóch pijaków”? To prawda, że Kemal i İsmet İnönü, jego towarzysz broni i następca na stanowisku prezydenta, nie stronili od trunków, uważane jest to jednak za drobną słabość, która nigdy nie przeważała bezspornych dokonań obu.

Odpowiedź jest prosta: jubileusz państwa to nie czas na złośliwości wobec jego twórcy. Choć doskonale wiadomo, że Atatürk nie jest dlań wzorem, Recep Erdoğan wykazuje się więc realizmem. Przykładnie oddaje Kemalowi hołd, chwali dokonania, które są oczywiste – jak w cytacie wyżej – i apeluje o zgodę narodową.

W tym kontekście wymowny gest stanowi także renowacja dworku Kemala w czarnomorskim mieście Trabzon, znanym niegdyś pod nazwą Trapezunt. Kemal bywał tam rzadko. O wiele większą wartość miałby zatem jego ulubiony podmiejski domek w lesie koło Ankar, na którego kupno złożyli się przyjaciele i towarzysze bojów (analogicznie do Sulejówka dla marszałka Piłsudskiego). Problem w tym, że domek nie istnieje i jest nie do odtworzenia. W miejscu, gdzie stał, Recep Erdoğan kazał zbudować Białą Pałac. Czy specjalnie właśnie tam, by zatrzeć ślady przeszłości?

„Sześć strzał Atatürka” – jak się określa sześć fundamentalnych zasad, na których Atatürk oparł republikę – też się częściowo zatarło i nie zawsze winien jest temu Recep Erdoğan. Pewne zmiany zainicjowali już jego poprzednicy, inne przyniósł czas. Pierwszy umarł etatyzm, bo już w latach 50., za rządów Adnana Menderesa, który ograniczył obecność państwa w gospodarce, rozszerzając sektor prywatny. Reformizm, czyli unowocześnianie państwa i społeczeństwa, i egalitaryzm brzmią dziś raczej jak hasła, za to republikanizm i nacjonalizm niezmiennie mają się dobrze, przynajmniej wśród Turków. Idea skupienia wszystkich obywateli Turcji wokół wspólnych wartości narodowych nie przemawia do wszystkich; do wielu Kurdów z całą pewnością nie.

Źródłem największych sporów i problemów jest jednak strzała sekularyzmu, mocno ukruszona przez rządy Recepta Erdoğan i jego islamskiej Partii Sprawie-

dliwości i Rozwoju (AKP). W koncepcji Atatürka sekularyzm oznaczał przede wszystkim rozdzielenie sfery religii i sfery państwa, w jakiejś mierze jednak oddzielał także republikę od imperium, w którym państwo i islam funkcjonowały razem. Sułtan, przypomnijmy, był również kalifem.

Pierwsze lata rządów Erdoğan to czas dramatycznych wręcz konfliktów o prawo do noszenia chust w urzędach i na uczelniach, a także o budowę meczetów. Ze wszystkich Erdoğan – najpierw jako premier, później prezydent – wyszedł zwycięsko. Przeciwników spacyfikowano do tego stopnia, że ostatnią kontrowersyjną decyzję prezydenta, która powinna była wzbudzić zdecydowany opór, przyjęli właściwie z rezygnacją, jak gdyby mieli świadomość, że sprzeciw na nic się nie zda. W ten sposób historia zatoczyła koło i bizantyjska świątynia Hagia Sophia, za czasów Atatürka przekształcona w muzeum, znowu jest meczetem.

AUTORYTARYZM W DWÓCH WERSJACH

To zaś prowadzi do pytania, jak twórca republiki oceniliby ją po 100 latach jej istnienia i po 20 latach rządów Erdoğan. Już sam ustrój Turcji zmienił się radykalnie. Atatürk ustanowił system parlamentarny, z prezydentem wybieranym przez parlament, Erdoğan zaś przekształcił go, za zgodą narodu, w system prezydencki, skonstruowany tak, by zaspokoić jego ambicje. W tym systemie bowiem prezydent ma władzę właściwie nieograniczoną.

To samo słowo niekoniecznie to samo znaczy. Czy autorytarne rządy Atatürka i autorytarne rządy Erdoğan są takie same? Oczywiście, że nie. W Turcji pod rządami Kemala rzeczywiście istniała jedna tylko partia – wspomniana Republikańska Partia Ludowa. On sam jednak nie był typem przywódcy, który swe rządy opiera na sile. Władzę Kemala podbudowywały raczej jego ogromny autorytet i przedmioty osobiste. Kemal ocalał Turcję przed rozpadem i rozbiorem, zbudował nowe państwo, chodził w glorii wielkiego dowódcy, zwycięzcy spod Gallipoli – a aspekty wojskowe dla Turków zawsze były ważne. Żył przy tym skromnie i nie był żądny splendorów.

Autorytaryzm Erdoğan jest zupełnie innego rodzaju. Dzisiejsza Turcja jest

wprawdzie państwem wielopartyjnym. Co z tego jednak wynika? Erdoğan de facto cały system podporządkował sobie bez reszty. Jest mistrzem w przeforsowywaniu swych idei i pomysłów, w sztuce pozbywania się przeciwników, w usuwaniu tych współpracowników, którzy są nie dość pokorni – bo ambitnych i niezależnych mu nie potrzeba. Uważa, że skoro został demokratycznie wybrany, to może wszystko. Nawet zbudować rezydencję tysiąca pokoi.

W Erdoğanowskiej Turcji Kemalowi z pewnością nie podobałaby się ani budowa meczetów – tego zwłaszcza, który powstał w Stambule na placu Taksim, w miejscu, które uchodzi za symbol kemalizmu – ani modły w świątyni Hagia Sophia, ani kobiety okrywające włosy, ani kreowanie nowych świąt rywalizujących ze świętami narodowymi ustanowionymi za jego czasów. Nowym świętem staje się dzień 29 maja, rocznica zdobycia Konstantynopola przez wojska sułtana Mehmeta II Zdobycy w 1453 r. Obchody z roku na rok nabierają rozmachu, a prezydent lubi w nich uczestniczyć, jak zawsze, gdy splatają się ze sobą Stambuł i imperium.

Czy zatem po 100 latach Republika Turcji jest nadal republiką Atatürka czy też zmierza ku republice Erdoğan? Wielu Turków nadal jest wiernych takiej wizji Turcji, którą stworzył Kemal. I chociaż kemaliści z partii CHP, wspierani przez niemałe grono sojuszników, ciągle nie są w stanie pokonać Erdoğan i przejąć władzy (jaskółki w postaci wygranej w Ankarze i Stambule nie uczyniły jak dotąd wiosny), to nie składają broni i nie tracą nadziei, że kiedyś to nastąpi.

Prezydent Erdoğan z kolei rozstrząsa przed rodakami czarowne obrazy przyszłości. Dwa lata temu zapowiadał, że stulecie republiki Turcja uczci wysłaniem misji na Księżyc. Choć Ankarę odwiedził wówczas sam Elon Musk, to wizja pozostała w sferze wizji. Może lepiej byłoby, gdyby sukcesem uwieczniony został apel o zgodę, pożądaną przecież w tak mocno podzielonym kraju? „85 mln Turków – przekonywał niedawno prezydent – powinno zapomnieć o dzielących je różnicach i zjednoczyć się w uścisku”. Czy jednak republika Erdoğan jest w stanie uściskać się z republiką Atatürka?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**DOBRZE SKONSTRUOWANE KŁAMSTWO JEST
W DUŻEJ MIERZE ZBUDOWANE Z FAKTÓW***

**NIE ZAŚMIECAJ SOBIE GŁOWY.
WŁĄCZ REPUBLIKĘ O 19:00.**



DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

Codziennie o 19:00 zapraszamy na główne wydanie
serwisu informacyjnego do Telewizji Republika.



Zapraszają: **Piotr Kieraga, Jacek Sobala i Magdalena Bałkowiec**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

*cytat amerykańskiej pisarki Lionel Shriver, laureatki prestiżowej nagrody Orange Prize.



Z Ołeksijem Arestowyczem, byłym doradcą biura prezydenta Ukrainy, blogerem rozmawia Maciej Pieczyński

Zełenski uwierzył, że rządzi światem



FOT. PAŃLO BACHAUT/UKRINFORM/EAST NEWS

MACIEJ PIECZYŃSKI: Komentując sprawę ukraińskiej rakiet, która zabiła dwóch obywateli Polski w Przewodowie, stwierdził pan, że Ukraina nie potrafi przyznawać się do własnych błędów i za nie przeproszać. Może władze w Kijowie wychodzą z założenia, że jakakolwiek samokrytyka to oznaka słabości, na którą w czasie wojny nie można sobie pozwolić?

OŁEKSIJ ARESTOWYCZ: Moi rodacy często krytykują mnie za to, że wytykam ich wady. Ale jeśli Ukraińcy nie będą tych wad zauważać, to nic się w kraju nie będzie zmieniać na lepsze. Gdybym był prezydentem, to pojechałbym do Przewodowa, złożyłbym kwiaty na grobach tych, którzy tam zginęli, zapewniłbym wypłatę odszkodowań ich bliskim. Przypomniałbym, że mamy wspólnego wroga. Wykorzystałbym też okazję, aby za pieniądze Zachodu wzmocnić ukraińską obronę przeciwlotniczą, argumentując, że to pozwoli uniknąć w przyszłości takich wypadków.

Ukraina w wielu sytuacjach zachowuje się, jakby była państwem, któremu wszystko się należy tylko dlatego, że broni się przed agresją. Dobrze to pokazuje choćby retoryka w sprawie kryzysu

zbożowego. Można odnieść wrażenie, że Ukraina nie jest kandydatem do Unii Europejskiej, tylko wręcz rozgrywającym w UE, który ma prawo pouczać i strofować kraje unijne w kwestii wartości europejskich. Z czego to wynika?

Proszę nie mówić „Ukraina”, tylko „władze Ukrainy”. Ja też jestem „Ukraina” i krytykuję ten sposób uprawiania polityki. Rządzą nami ludzie infantylni. Zełenski uwierzył, że skoro jest oklaskiwany w parlamentach krajów Zachodu, to znaczy, że w pewnym sensie rządzi światem. Jednak ta roszczeniowa dyplomacja, polegająca na szantażu moralnym i wymuszaniu pomocy od Zachodu, „bo walczymy też za was”, dziś już przestaje działać.

Zachód coraz częściej narzeka na butę i arogancję Kijowa, ale pomagać nie przestaje. Przestrzegał pan niedawno, że popsucie relacji z Polską to ze strony ukraińskich władz „samobójstwo polityczne”. Jednak konflikt z Warszawą jak dotąd nie zaszkodził Kijowowi.

Stanowisko Kijowa wobec sojuszników można streścić tak: „Jesteśmy najpiękniejsi i najmądrzejsi, a wy nam

za mało pomagacie”. W ten sposób ekipa Zełenskiego pokłóciła się z Polską, Węgrami, Rumunią, ochłodziła relacje nawet z USA czy Wielką Brytanią. Zachód będzie wspierał Ukrainę, bo to w jego interesie, ale przestanie w końcu wspierać obecną ukraińską władzę i postawi na inną ekipę.

Czy Polska popełniła jakieś błędy w relacjach z Ukrainą?

Rozmawiając z polskimi ekspertami, politykami czy dziennikarzami, ciągle słyszę to samo absurdałne pytanie: „Dlaczego spiskujecie z Niemcami przeciwko nam?”. Te obawy są komiczne. Ukraina nie prowadzi żadnej systemowej polityki zagranicznej. Kijów nie dokonał proniemieckiego zwrotu. Nie ma mowy o reorientacji z Polski na Niemcy, tak samo jak nie było mowy o orientacji na Polskę czy na jakiekolwiek inne państwo.

Jednak Berlin poparł Ukrainę w sprawie sporu zbożowego z Polską, Zełenski zaś zaproponował, by Niemcy zostały stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ...

Jesteśmy wdzięczni Niemcom, które są po USA drugim największym sponsorem naszego wysiłku wojennego. Ponadto poparliśmy ich obecność w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, aby w ten sposób zrównoważyć wpływy Rosji, którą docelowo chcielibyśmy pozbawić członkostwa. To jednak nie znaczy, że chcemy Niemcami zastąpić Polskę w roli najbliższego sojusznika. Zarówno ze strony Warszawy, jak i Kijowa padło w ostatnim czasie dużo ostrzych słów. Andrzej Duda jest jednak bardziej doświadczonym politykiem niż Zełenski, dlatego powinien być mądrzejszy i nie odpowiadać na każdą zaczepkę. Między naszymi krajami brakuje systemowej komunikacji. Dlatego Polacy ciągle się boją, że Ukraińcy ich oszukają, i vice versa. Naprawą relacji powinno zająć się nowe pokolenie polityków po obu stronach granicy.

Liberalny publicysta Witalij Portnykow stwierdził jakiś czas temu, że w kwestii starań o wejście do UE Ukraina powinna trzymać z Niemcami i Francją, ponieważ nie ma z nimi takich sporów jak z Polską. Nie jest to odosobniona opinia.

To krótkowzroczne stanowisko. Przez półtora roku byłem przedstawicielem delegacji ukraińskiej w Trójsstronnej Grupie Kontaktowej ds. Uregulowania Konfliktu w Donbasie [trzy strony reprezentowały Ukraina, Rosja i OBWE; jej celem była realizacja decyzji, podjętych w formacie normandzkim przez Ukrainę, Rosję, Francję i Niemcy – przyp. red.] i wiem, jak Berlin i Paryż traktują Ukrainę. Wojna pokazała, że najlepszymi sojusznikami są dla nas najbliżsi sąsiedzi, którym nie trzeba tłumaczyć, czym jest zagrożenie rosyjskie. Niemcy i Francuzi są daleko, nie czują tego zagrożenia. To nie oni zmagają się z agresją rosyjską. To nie ich granice szturmują migranci, kontrolowani przez Putina i Łukaszenkę.

To jednak oni mają pieniądze i realną siłę polityczną...

Tak, ale wy też macie. Zamówiliście 500 himarsów dla swojej armii. Gdybyśmy my mieli 500 himarsów, to już byśmy oblegali Władawostok. Wojna pokazała, że w obliczu zagrożenia Ukraina w największym stopniu może liczyć na państwa Europy Środkowej, a nie na ponadnarodowe struktury, takie jak NATO czy UE, które mają długi proces decy-

zyjny, a koniec końców i tak podejmują kompromisowe decyzje.

Najprawdopodobniej niebawem zmieni się władza w Polsce. W odróżnieniu od PiS Platforma nawet nie musi udawać, że broni interesu narodowego. Od tej partii wyborcy oczekują europejskości, a nie asertywności w relacjach z Ukrainą. Zełenski chyba ma powody do radości?

Zełenski zakazał swoim najbliższym współpracownikom jakichkolwiek kontaktów przed wyborami zarówno z PiS, jak i z opozycją. Z pewnością liczy na to, że zjednoczona opozycja będzie dla niego łatwiejszym niż PiS partnerem do rozmów i że dzięki swoim dobrym kontaktom z elitami unijnymi wesprze Ukrainę na drodze do UE. Ale proszę mi wierzyć, że on nawet te relacje zepsuje. Będzie kontynuował roszczeniową politykę na takim poziomie, że również Platforma straci cierpliwość. Ekipa Donalda Tuska też w końcu zobaczy tę samą twarz Zełenskiego, którą widział PiS – czyli ukraińską wersję Chruszczowa, walącego butem w pulpit podczas przemówienia w ONZ.

Czy błędem Warszawy było to, że po 24 lutego 2022 r. nie prowadziła w relacjach z Kijowem polityki transakcyjnej? Może trzeba było od razu wystawiać rachunek za wsparcie i dbać o polski interes?

Tuż po wybuchu wojny Ukraina była w takiej sytuacji, że spełniłaby każde żądanie Warszawy w zamian za pomoc. Krótkookresowo mogliście załatwić wszystkie kwestie sporne, ale dobre relacje polsko-ukraińskie zostałyby pogrzebane. Wy jednak zachowaliście się szlachetnie. Długofalowo to przyniesie wam korzyści. Zełenski okazał się niewdzięczny, ale ukraińskie społeczeństwo docenia postawę Polski i Polaków. W przyszłości, gdy do władzy w Kijowie dojdzie nowe pokolenie polityków, do których ja również się zaliczam, ta oddolna sympatia Ukraińców przyniesie wam wymierne korzyści.

Planuje pan wystartować w wyborach prezydenckich. Jaki jest pański pomysł na relacje polsko-ukraińskie?

Powolałbym w Warszawie polsko-ukraińską giełdę zbożową. Polacy i Ukraińcy mogliby połączyć siły i wspólnie handlować zbożem. To powinno

rozwiązać nasz spór. Przede wszystkim jednak bezwzględnie i bezwarunkowo odblokowałbym ekshumacje na Wołyniu. To nie jest kwestia polityczna, tylko humanitarna. Chodzi o podstawową rzecz, którą jest prawo do pochówku. Blokada ekshumacji jest skandalem. To tak, jakby pan mnie poprosił o pozwolenie na pochówek swojego dziadka, a ja bym odpowiedział: „Nie ma takiej opcji, Macieju. Ale przyjaźnimy się dalej, więc dawaj czołgi!”. Skandalem jest, że od 30 lat nawet Niemcom pozwalamy na ekshumacje poległych, a Polakom tego zabraniamy! Nawet Rosjanom pozwalamy zabierać swoich poległych z pola walki, a Polakom tego zabraniamy! PiS domagał się od Zełenskiego tylko jednego ustępstwa – odblokowania ekshumacji przed wyborami, aby mógł się tym sukcesem pochwalić. Zełenski tego nie zrobił. Celem rozstrzygnięcia sporu o ocenę Wołynia powołałbym międzynarodową komisję, w której, oprócz polskich i ukraińskich historyków zasiadałyby też uznane światowe autorytety, takie jak choćby Timothy Snyder. A zanim komisja policzyłaby ofiary, ustaliła wszystkie przyczyny i przebieg zbrodni, postawilibyśmy dwa pomniki tragedii wołyńskiej – jeden w Polsce, jeden na Ukrainie. Pod tym pierwszym kwiaty składałby ukraiński prezydent, pod tym drugim – polski.

Problem w tym, że Polacy nie zaakceptują symetrii win. Jasno musi być powiedziane, kto był katem, kto ofiarą.

To już ustaliłaby komisja. Polityczne stanowisko, wspólne po obu stronach granicy, powinno brzmieć mniej więcej tak: „To była straszna tragedia dla naszych narodów. Jak tylko historycy ustalą wspólną wersję, zostanie ona zapisana w polskich i ukraińskich podręcznikach szkolnych. Uniwersytetów w to mieszać nie będziemy, bo jest wolność badań naukowych, ale uczniowie szkół poznają jedną, wspólnie ustaloną prawdę”. Poza tym trzeba zacieśnić polsko-ukraiński sojusz w dziedzinie bezpieczeństwa. Polska armia to 350 tys. żołnierzy, wyposażonych w nowoczesną, NATO-wską broń. Ukraińska armia to 350 tys. żołnierzy, wyposażonych w nowoczesną, NATO-wską broń i zaprawionych w boju. Razem stworzylibyśmy potęgę, która byłaby w stanie obronić całą Europę

Środkową, od Bałtyku do Morza Czar- nego. Rosja nie miałaby z nami szans. Waszyngton powinien być zainteresowa- ny wsparciem takiego sojuszu. Prędzej czy później Chiny napadną na Tajwan. Wtedy uwaga USA przeniesie się w du- żym stopniu na Daleki Wschód. Żeby nie odpuścić Europy i nie pozostawić jej na pastwę Rosji, Amerykanie chętnie zain- westują we wzmocnienie polsko-ukraiń- skiego tandemu. Pomoże nam również UE, która też chce mieć bezpieczną granicę wschodnią.

Ale to oznacza dla Polski ryzyko wciągnięcia do wojny z Rosją.

Nie. Aktualną wojnę z Rosją Ukraina wygra bez czynnego udziału Polaków, jeśli tylko Zachód nie przestanie nam dostarczać broni. Sojusz, o którym mówię, powstałby po jej zakończeniu. A gdy powstanie, ryzyka kolejnej wojny nie będzie, bo Rosja nie odważy się takiej potęgi zaatakować.

W tej chwili jednak trudno sobie wyobrazić pokonanie Zełenskiego w wyborach. Gdyby wybory odbyły się w czasie wojny, w warunkach wojennej cenzury kontrkandydat nie miałby większych szans.

Tylko tak się wydaje. Media i opo- zycja dysponują mnóstwem materiałów kompromitujących Zełenskiego. Na razie ich nie publikują, bo nie wypada atako- wać głowy państwa walczącego w wojnie. Ale gdy tylko rozpocznie się kampania wyborcza, na jaw wyjdą dziesiątki afer, z których prezydent się nie wytłumaczy. Niedawno Agencja Reutera przypominała o aferze korupcyjnej, w którą zamieszany był zastępca szefa biura prezydenta, Ołeh Tatarow. A to tylko wierzchołek góry lodowej.

Zdaniem części komentatorów na Ukrainie toczy się wojna pomiędzy zachodnim liberalizmem a rosyjskim konserwatyzmem...

Jedyne, co Rosja ma wspólnego z kon- serwatyzmem, to homofobia. Nie wyini- ka ona jednak z tradycjonalistycznego światopoglądu. Jest natomiast pochodną popularnej w Rosji subkultury kryminal- nej, której częścią jest nienawiść do gejów. Ale to prawda, że m.in. amerykańscy repu- blikanie zarzucają naszym władzom skręt w lewo. Zastanawiają się, po co nas wspie- rać, skoro jesteśmy „forpocztą lewactwa”. Krytykują nas za ratyfikację konwencji

stambulskiej, za to, że rzecznikiem naszej obrony terytorialnej został transseksuali- sta, a nasi parlamentarzyści debatuje- nad związkami partnerskimi. Jednakże pod względem liczby organizacji religijnych Ukraina jest pierwsza na świecie. 78 proc. Ukraińców uważa się za wierzących...

Ale też coraz więcej Ukraińców popiera małżeń- stwa jednopłciowe.

Dlatego, że jest u nas prowadzona potężna lewacka propaganda. Pozwalają na to nasze władze, które liczą na to, że skręt w lewo pomoże im budować dobre relacje z Zachodem. Ukraińcy są lewi- cowi, ale pod względem socjalnym liczą mocno na pomoc państwa. Pod wzglę- dem światopoglądowym wciąż są bardzo konserwatywni. Jak dojdę do władzy, nie będę prześladować homoseksualistów, ale zakażę propagandy LGBT.

To wtedy Zachód ograniczy pomoc dla Ukrainy.

Nie ograniczy. Zaproponuję Ameryka- nom coś w zamian, np. udział w wydoby- ciu ukraińskiego tytanu, i się dogadamy.

Jest pan rosyjskojęzyczny i chętnie rozmawia z Rosjanami opozycyjnie nastawionymi do Putina i wojny, a to na Ukrainie nie wszystkim się podoba.

Trzeba rozmawiać z rosyjską opo- zycją i starać się docierać do rosyjskiego odbiorcy, żeby kontrować antyukraińską propagandę Kremla. Jest mało możliwe, ale przecież prawdopodobne, że kiedyś, po śmierci Putina, do władzy w Rosji doj- dzie opozycja właśnie, albo przynajmniej, że niektórzy jej przedstawiciele zyskają wpływ na władzę. Dobrze będzie mieć wówczas kontakty na Kremlu. Nie po to, by się z Rosją przyjaźnić, ale po to, by od niej jak najwięcej wynegocjować w mo- mencie, gdy będzie pole do jakichkolwiek rozmów. Nawet jeśli ta nowa władza bę- dzie szykować kolejną inwazję na Ukrainę, to też lepiej mieć z nią kontakt, żeby nie przegapić przygotowań do wojny. Rosja nie zniknie z mapy, trzeba będzie prędzej czy później budować relacje z nią. Poza tym ponad 10 mln obywateli Ukrainy ma bezpośrednie związki rodzinne z Rosja- nami. Na 89 batalionów ochotniczych, które w 2014 r. walczyły z separatystami, aż 88 miało dowódców pochodzących ze wschodu lub centrum kraju. Jeśli mieszkańcom tych terenów zabronimy mówić po rosyjsku, to prędzej czy później

ich stracimy, bo dadzą się przekabacić kremłowskiej propagandzie. Ale żeby była jasność – jedynym językiem urzędowym na Ukrainie powinien nadal być ukraiński.

Jak ocenia pan aktualną sytuację na froncie?

Ukraińska kontrofensywa miała trzy cele. Po pierwsze, zadać armii rosyj- skiej jak największe straty. Po drugie, ponieść jak najmniejsze straty własne. Po trzecie, odbić okupowane terytoria. Pierwszy cel został osiągnięty, drugi tylko częściowo, trzecie w zasadzie nie udało się zrealizować. Teraz powin- niśmy przejść do obrony, okopać się i poczekać na wzmocnienia. Gospodarka ukraińska nie jest w stanie na dłuższą metę utrzymywać nie tylko armię, lecz także samą siebie. Zachód zapowiada zmniejszenie wsparcia dla nas. Trudno liczyć na zdecydowane zwycięstwo i po- wrót do granic z 1991 r. To by bowiem oznaczało wysłanie na śmierć kolej- nych dziesiątków tysięcy ukraińskich żołnierzy bez gwarancji powodzenia, a także upadek gospodarki, która nie wytrzymałaby utraty kolejnych kilku- set tysięcy rąk do pracy wysłanych na front. Dlatego rozważyłbym poważnie wprowadzenie w życie planu Kissingera. Czyli porozumienia, zgodnie z którym Ukraina zobowiązuje się, że przez naj- bliższe 10 czy 15 lat nie będzie walczyć o odzyskanie terenów okupowanych, ale w zamian za to wstąpi do NATO. Gwarancje bezpieczeństwa dotyczyłyby wówczas terenów znajdujących się pod kontrolą Kijowa. Ukraina zyskałaby czas na odbudowę gospodarki i wzmocnie- nie armii. W ciągu tych 10 czy 15 lat zapewne zmarłby Putin, więc otworzy- łyby się możliwości uzyskania ustępstw od nowych władz na Kremlu. Większość Ukraińców wciąż nie wyobraża sobie porozumienia z agresorem. Coraz większa jest jednak świadomość, że takie porozumienie w końcu trzeba będzie podpisać, bo wojna nie może wiecznie trwać. Trzeźwa ocena sytuacji przychodzi zazwyczaj w momencie, gdy przychodzi wezwanie do wojska... Czym innym jest kibicowanie armii przed tele- wizorem, a czym innym pójście na front. A że mobilizacja zatacza coraz szersze kręgi, to i świadomość, że w końcu trze- ba będzie wojnę zakończyć, rośnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO



KAZAŁ FANOM SIĘ WYNOŚĆ Z KONCERTU

Roger Waters, były muzyk Pink Floyd, zasłynął już z wielu kontrowersyjnych słów dotyczących polityki. Tym razem zszokował własnych fanów. Gdy przyszedł na jego koncert 8 października w London Palladium, zamiast grać muzykę, rozpoczął spotkanie od czytania własnej autobiograficznej książki. Czytał ją przez godzinę. Publiczność zaczynała mieć tego dość, gdy przez 20 minut czytał historię kaczki o imieniu Donald. Wówczas – jak podaje „Daily Mail” – muzyk powiedział fanom, że jak nie chcą słuchać, to mogą wyp...lać. Część fanów poszła za jego radą i opuściła salę. Reszta, która wytrwała, doczekała się też występu muzycznego.

FOT. BAW MEDIA/SP. ASHNEWS.COM/EAST NEWS

RZĄD NIE ZAPŁACIŁ ZA PRĄD

W stolicy Gwinei ciemno. W Bissau w ubiegłym tygodniu nie było prądu. Rząd nie zapłacił rachunków i tureckie przedsiębiorstwo dostarczające energię podjęło decyzję o odcięciu dostaw. Przestała działać państwowa rozgłośnia radiowa, a szpitale działają dalej tylko dzięki agregatom.

WYCOFUJĄ BANKNOT BEZ KRZYŻA

Bank Centralny Rosji wprowadził do obiegu nowy banknot – 1000 rubli. Zdobią go wizerunki kościoła i meczetu ze stolicy Tatarstanu. Prawosławni księża oburzyli się na projekt, bo kościół przedstawiono bez zwieńczającego go krzyża. Bank Centralny zatrzymał druk banknotu i naniósł poprawkę w wizerunku świątyni. I teraz najlepsze: w rzeczywistości na tym kościele krzyża nie ma, bo został zdjęty przez bolszewików, a sam budynek do dziś pełni funkcję muzeum.

SZKOLNE POSTRZYŻYNY

W liceum w miejscowości Limassol na Cyprze wicedyrektor szkoły własnoręcznie obciął uczniowi włosy, których długość była niezgodna z regulaminem szkoły. Rodzice poskarżyli się ministerstwu edukacji, ale to odparło, że to sprawa szkoły. Cypryjski rzecznik ds. ochrony praw dziecka stwierdził, że tego rodzaju zasady są przestarzałe i „absurdem” jest to, iż szkoły zajmują się fryzurami uczniów.

ONA ZJADŁA 48 OSTRYG, ON UCIEKŁ

Pewna Amerykanka zrelacjonowała na TikToku swoje spotkanie z partnerem w restauracji w Atlancie. Kobieta zamówiła w sumie 48 ostryg wartych 184 dol. (blisko 800 zł) i zamówiła danie główne z ciastek krabowych i czerwonych ziemniaków. Kiedy kelner przyniósł rachunek, jej partner udał się do toalety. I zniknął. Nie jest pewne, czy przeraziła go kwota do zapłaty czy apetyt partnerki. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polacy liderami rewolucji

Sektor fintech w Europie jeszcze kilka lat temu był gdzieś na peryferiach systemu bankowego. Dziś – mimo spowolnienia gospodarczego – coraz mocniej zbliża się do rdzenia finansowego świata.

Polacy oczywiście nie zostają w tyle. Od kilku lat nasz kraj jest bowiem liderem w dziedzinie ultranowoczesnej bankowości. Brylujemy zarówno w dziedzinie bankowości elektronicznej i mobilnej, jak i w wykorzystaniu różnych nowinek, jak choćby rozwiązań opartych na wykorzystaniu sztucznej inteligencji. Fintechy rosną więc

jak grzyby po deszczu. Fantastycznie radzi sobie np. BLIK, czyli polski standard płatności, umożliwiający dokonywanie wypłat z bankomatów, przelewów czy płatności za towary i usługi bez użycia karty płatniczej. W ciągu kilku lat BLIK zrewolucjonizował system rozliczeń w Polsce, a teraz ma realną szansę na ogromny sukces na rynkach UE.

Polacy bardzo chętnie korzystają też np. z takich aplikacji jak Revolut, który w ubiegłym tygodniu pochwalił się przekroczeniem granicy 3 mln klientów nad Wisłą (jeszcze w listopadzie 2022 r. było ich 2 mln). Polska obok Rumunii

i Wielkiej Brytanii to najszybciej rosnący rynek tego cyfrowego banku w Europie. Revolut – oferujący już nie tylko darmowe, lecz także prestiżowe konta osobiste z dostępem do lotniskowych saloników, konta dla firm, karty kredytowe, lokaty etc. – jest najczęściej pobieraną aplikacją finansową w Polsce.

Kolejne rekordy bije także Allegro Pay (czyli zakupy za pożyczki). Świetnie nad Wisłą radzi sobie też Klarna, czyli globalny dostawca odroczonej płatności, który Polskę postawił wysoko na liście priorytetów. Przykłady można mnożyć... ©

Niechciane „elektryki”?



Jacek Przybylski

Wprawdzie z fabryk wyjeżdża coraz więcej samochodów typu plug-in, ale menedżerowie wielkich koncernów oraz dilerzy ostrzegają: popyt na eauta rośnie dużo wolniej niż wcześniej zakładano. Widać to wyraźnie choćby w Niemczech. Zakończenie programu dopłat do zakupu pojazdów elektrycznych dla klientów biznesowych sprawiło, że sprzedaż nowych „elektryków” we wrześniu spadła w tym kraju aż o 35 proc. Wielu posiadaczy e-samochodów nie jest zadowolonych z zakupu

Władze w Brukseli marzą o tym, aby do 2030 r. po drogach Unii Europejskiej poruszało się co najmniej 30 mln samochodów elektrycznych. Białe Dom chciałby, aby w tym samym roku połowa aut jeżdżących po amerykańskich drogach była zasilana prądem. Z kolei Chińczycy planują, by w 2030 r. 40 proc. samochodów w Państwie Środka stanowiły eauta.

Niestety, doświadczenia PRL pokazały, że rzeczywistość potrafi obrócić w pył nawet najlepiej dopracowane cele gospodarki centralnie sterowanej. I tak dzieje się choćby w Niemczech. We wrześniu za Odrą zarejestrowano w sumie 224,5 tys. nowych aut (mniej więcej tyle samo, co rok wcześniej).

Łączna sprzedaż nowych pojazdów typu plug-in wyniosła jednak tylko 47 tys. (to wynik o 35 proc. gorszy niż rok wcześniej).auta w pełni elektryczne (battery electric vehicle – BEV), czyli takie, które pod maską nie mają żadnego silnika spalinowego, we wrześniu zaliczyły spadek sprzedaży o 29 proc. do 31,7 tys. egzemplarzy (ich udział w rynku spadł z 20 proc. rok temu do nieco ponad 14 proc. obecnie).

MOCNY ZJAZD HYBRYD

Dużo gorzej od BEV wygląda zainteresowanie zakupem hybryd plug-in, czyli tzw. pojazdów PHEV. We wrześniu dilerzy za Odrą sprzedali ich zaledwie 15,3 tys., czyli aż o 46 proc. mniej niż

rok wcześniej. W tym wypadku trudno mówić o jakiegokolwiek niespodziance, spadek popytu na tego typu auta widoczny był już bowiem dziewiąty miesiąc z rzędu. Od stycznia do września obecnego roku zarejestrowano zaledwie 123,3 tys. hybryd PHEV (spadek rok do roku o 43 proc.). Sprzedaż aut w pełni elektrycznych (BEV) wyniosła w tym samym okresie 387 tys. i była wyższa w porównaniu z ubiegłym rokiem o 42 proc. W sumie pojazdów BEV i PHEV sprzedano 510,6 tys., czyli o 5 proc. więcej niż rok wcześniej.

Zdaniem ekspertów rynku motoryzacyjnego w krótkim terminie można się spodziewać odbicia sprzedaży, ponieważ klienci będą chcieli zdążyć z zakupem,



FOT. ANDRZEJ STOK

53 proc. stwierdziło, że żałuje zakupu lub leasingu samochodu elektrycznego.

Jednym z głównych powodów niezadowolenia obecnych właścicieli e-aut oraz zmniejszonego popytu na elektryki nie jest wcale mały zasięg, lecz szybko drożejąca energia w krajach Unii Europejskiej. Przez lata przekonywano bowiem publicznie, że choć koszt zakupu eauta jest wysoki, to jego eksploatacja będzie wyraźnie tańsza niż samochodu spalinyowego. Tak jednak nie jest. Zwłaszcza w przypadku osób, które nie mogą ładować auta w prywatnym garażu i muszą korzystać z komercyjnych ładowarek, gdzie ceny za 1 kWh są istotnie wyższe niż w przypadku domowej stacji ładowania. Max Scherer, dyrektor operacyjny firmy Monta, przyznaje, że ładowanie samochodu elektrycznego stało się w ostatnich latach istotnie droższe, lecz przekonuje, że wielu kierowców myśli, iż jest ono droższe, niż rzeczywistość jest. Tymczasem koszt ładowania na publicznych stacjach w Niemczech waha się od 40 do 80 eurocentów za 1 kWh, a „tankowanie” z prywatnego gniazdka kosztuje ok. 30 eurocentów – zauważa Scherer.

Niepewność dotycząca przyszłych cen energii sprawia, że w niemieckim sondażu aż jedna czwarta potencjalnych nabywców samochodu elektrycznego stwierdziła, iż jest to powód, dla którego obecnie nie chcą posiadać czy leasingować eauta. Niemieckie ministerstwo transportu już zdecydowało więc o rozpoczęciu programu dotacji do zakupu prywatnej infrastruktury do ładowania przy użyciu paneli fotowoltaicznych (jak poinformował portal Energate, od 26 września dotacja na tego typu instalacje może wynieść maksymalnie 10,2 tys. euro). Mimo nowej formy dofinansowania analitycy rynku się spodziewają, że rządowi w Berlinie prawdopodobnie nie uda się osiągnąć celu 15 mln aut elektrycznych na niemieckich drogach do roku 2030.

Podobnego zdania o elektrykach co ich niemieccy właściciele są również Francuzi. Pod koniec sierpnia „El Pais” poinformował, że według przeprowadzonego we Francji badania opinii ponad połowa (dokładnie 54 proc.) obecnych właścicieli e-aut żałuje, że podjęła decyzję o ich kupnie. Francuzi zwracają uwagę nie tylko na wysokie ceny ładowania, lecz także na brak transparentności tego typu zakupów – zdaniem respondentów często zdarza się

bowiem, że konsument o końcowej cenie ładowania dowiaduje się dopiero po jego zakończeniu.

Na koszt eksploatacji samochodów elektrycznych narzekają także Brytyjczycy. Jak bowiem wyliczył „Daily Telegraph”, zwłaszcza dłuższe podróże e-autem są już wyraźnie droższe niż tradycyjnego pojazdu z silnikiem spalinowym. Ładowanie umożliwiające pokonanie 780 km za pomocą publicznej sieci ładowarek kosztuje 92,7 funta (równowartość 475,7 zł), tymczasem zatankowanie do pełna 55 l benzyny, co powinno wystarczyć na przejechanie tego samego dystansu, kosztuje 83 funty (równowartość 425,9 zł). Jednocześnie brytyjski dziennik podkreślił, że ładowanie samochodów elektrycznych za pomocą superszybkich ładowarek może jeszcze bardziej podnieść cenę jazdy elektrykiem, a jednocześnie doładowanie eauta z domowego gniazdka – co powinno pozwolić na podróże lokalne – wciąż wychodzi taniej niż napełnianie baku benzyną.

Z opublikowanego w tym miesiącu badania przeprowadzonego przez agencję Standard & Poor’s Global Mobility wynika, że tylko 52,1 proc. nabywców e-samochodów kolejne auto znów kupują elektryczne. Reszta wraca do silników spalinowych (od tej reguły wyjątkiem są właściciele Tesli: ich lojalność w II kw. 2023 wynosiła aż 76,7 proc.; w przypadku Porsche wynik to zaledwie 36,8 proc., a i tak wskaźnik ten jest lepszy niż w roku 2020 – 23,3 proc.)

WIELKIE ROZCZAROWANIE

Biznes w przeciwieństwie do polityki nie opiera się na marzeniach decydentów, lecz na rynkowej rzeczywistości. Skoro więc elektromobilność rozwija się zdecydowanie wolniej, niż zakładali politycy – zwłaszcza bez rządowych dopłat – menedżerowie Volkswagena szybko zdecydowali o wprowadzeniu ograniczeń w produkcji samochodów elektrycznych. Już w czerwcu tego roku regionalny dziennik „Nordwest-Zeitung” informował, że słabnąca sprzedaż e-aut sprawiła, iż niemiecki koncern zmniejszył produkcję samochodów elektrycznych w fabryce w Emden w północnych Niemczech. Już wówczas z taśm produkcyjnych zaczęło zjeżdżać mniej egzemplarzy modelu ID.4. Przełożono także rozpoczęcie produkcji nowego ID.7. Według „Nordwest-Zeitung” władze giganta motoryzacyjnego

zanim znikną kolejne rządowe zachęty do nabywania elektryków. W 2024 r. będzie się już można przekonać, jak eauta radzą sobie na niemieckim rynku bez państwowego „doładowania”.

NIEMCY I FRANCUZI NIEZADOWOLENI Z ZAKUPU

Dlaczego popyt tak nagle się załamał? Wycofanie dofinansowania do zakupu to tylko jeden z powodów. Kolejny to brak satysfakcji z dokonanego wyboru przez wielu właścicieli nowiutkich pojazdów elektrycznych. Pod koniec września opublikowano wyniki ankiety przeprowadzonej na zlecenie firmy tworzącej oprogramowanie dla stacji ładowania Monta. Spośród 6 tys. respondentów aż

■ zdecydowały też wówczas, że w sierpniu firma rozstanie się z 300 pracownikami tymczasowymi pracującymi w fabryce w Emden z 1,5 tys. osób tam zatrudnionych. Według niemieckich dziennikarzy decyzję o ograniczeniu produkcji i rezygnacji z części załogi podjęto, gdy okazało się nagle, że popyt jest niemal o 30 proc. niższy od pierwotnie planowanej produkcji. Cytowany przez dziennik Manfred Wulff z rady pracowniczej w Emden zauważył, że spadek popytu zaczął być „dość gwałtownie odczuwalny w elektrycznym świetle”. „Wśród klientów panuje duża niepewność. A wśród pracowników powszechne jest rozczarowanie” – stwierdził Manfred Wulff.

Rozczarowanie wśród pracowników fabryki Audi w Brukseli było tak duże, że duża część z 3 tys. zatrudnionych odeszła od stanowisk pracy. Strajk był reakcją na decyzję kierownictwa dotyczącą znaczącego zmniejszenia produkcji modelu Q4 E-tron w porównaniu z ambitnymi planami sprzed zaledwie kilku miesięcy. Parę tygodni wcześniej Audi ogłosiło zaś, że ze względu na niski popyt na pojazdy elektryczne rezygnuje z trzeciej zmiany i zwalniania tymczasowych pracowników w fabryce w niemieckim Zwickau. Menedżerowie tłumaczyli w niemieckich mediach, że cięcia były konieczne, bowiem z fabryki, której wydajność obliczono na ok. 360 tys. aut, w ubiegłym roku wyjechało 218 tys. pojazdów elektrycznych. A to nie koniec planów redukcji kosztów. Jak w drugiej połowie września poinformował „Automobilwoche”, koncern VW planuje zakończenie produkcji w fabryce elektryków w Dreźnie, w której w ubiegłym roku wyprodukowano zaledwie 6,5 tys. aut modelu ID.3. Roczne utrzymanie fabryki w Dreźnie szacowane jest na 60–70 mln euro. Wstrzymanie produkcji i oddelegowanie liczącej mniej więcej 300 osób załogi do innych zadań ma zaś pozwolić zaoszczędzić ok. 20 mln rocznie.

WOJNA CENOWA

Jak zauważyła w ubiegłym tygodniu „Rzeczpospolita”, w Polsce zarejestrowanych jest już ponad 50 tys. samochodów elektrycznych, ale duża jest w tym zasługa państwowych dotacji. „Ich zawieszenie może być drastyczne w skutkach” – ostrzegł dziennik, zwracając uwagę na ogromną różnicę w cenie pojazdów elektrycznych i spalinowych. Te pierwsze według danych

IBRM Samar kosztują średnio 270 tys. zł, a te drugie o niemal 100 tys. zł mniej.

Problemy ze spadającym popytem na elektryki mają jednak oczywiście nie tylko niemieccy producenci. W pierwszych miesiącach obecnego roku poważne spadki sprzedaży zaobserwowano także w Norwegii, której władze również zdecydowały o zakończeniu wypłat dotacji do samochodów elektrycznych. Dyrektor generalny koncernu Stellantis Carlos Tavares już kilkanaście miesięcy temu ostrzegał, że jeśli do 2035 r. samochody elektryczne nie będą tańsze, to rynek nowych samochodów może się kompletnie załamać. Wyraził on także żal, że polityków nie obchodzi to, czy producenci aut poradzą sobie z planowanymi w Brukseli

690 mln dol.

CO TYLE NIŻSZE OD PROGNOZOWANYCH BYŁY PRZYCHODY TESLI ZA TRZECI KWARTAŁ 2023 R.

zmianami i czy np. wystarczy im półprzewodników niezbędnych do produkcji e-aut. Menedżerowie Stellantis starają się więc jak najbardziej ciąć koszty, aby móc jak najlepiej walczyć o klientów.

Wyraźnie gorsze od prognoz wyniki odnotowuje również elektryczny gigant z Ameryki, czyli Tesla. W ubiegłym tygodniu firma ogłosiła raport za trzeci kwartał obecnego roku, z którego wynika, że przychody były aż o 690 mln dol. niższe niż oczekiwano i wyniosły 23,4 mld dol. Zysk na akcję (EPS) spadł zaś z prognozowanego 0,74 dol. do 0,66 dol. Wcześniej Tesla ujawniła, że w trzecim kwartale sprzedała o 7 proc. samochodów mniej niż w drugim kwartale obecnego roku. I to mimo kilkukrotnych w tym roku istotnych obniżek cen sprzedawanych modeli. Pierwszy raz Tesla mocno obniżyła ceny swoich samochodów w połowie stycznia 2023 r. Amerykańskie e-samochody znacząco staniały również w Polsce. Dla przykładu: cena modelu S w najmocniejszej wersji Plaid została we wrześniu obniżona o ponad 140 tys. zł do 489 990 zł. Koncern istotnie o kilkadziesiąt tysięcy złotych obniżył też ceny modelu X. W październiku ceny najdroższych modeli Tesli nad Wisłą znów jednak wzrosły.

Obecnie za model S w trzysilnikowej wersji Plaid trzeba już zapłacić 519 990 tys. zł. Tesla X w wersji dwusilnikowej (z napędem na cztery koła) zdrożała zaś w październiku do 484 990 zł z 439 990 zł.

Wymuszona przez polityków zielona rewolucja w sektorze motoryzacyjnym nie spodobała się również w amerykańskich fabrykach GM, Forda i koncernu Stellantis. W ogromnym strajku udział wzięło kilkanaście tysięcy pracowników, nie tylko żądających istotnych podwyżek (o 36 proc. w ciągu czterech lat) przy jednoczesnym zmniejszeniu liczby godzin pracy, lecz także wyrażających jasne obawy o miejsca pracy w związku z przechodzeniem na samochody elektryczne. Wojna cenowa – Ford również obniżył niedawno ceny swoich nowych samochodów – może bowiem zmusić producentów do redukcji kosztów, czyli do zwalniania kolejnych członków załogi.

BANKRUCTWA NA HORYZONCIE

Nie zawsze ograniczenie produkcji jest wystarczające do zachowania płynności finansowej. W połowie października producent ciężarówek elektrycznych Volta ogłosił upadłość w Szwecji i – jak podał Reuters – wkrótce zamierza ogłosić upadłość w Wielkiej Brytanii. Producentowi e-ciężarówek udało się co prawda zebrać od inwestorów ok. 300 mln euro i zamówienia na ponad 5 tys. pojazdów, ale nie udało mu się nawet rozpocząć masowej produkcji.

Z kolei z informacji podanych przez Bloomberg wynika, że spośród ponad 90 producentów samochodów elektrycznych w Chinach zaledwie jedna trzecia osiąga sprzedaż na poziomie przekraczającym 500 egzemplarzy kwartalnie. „Jeśli spojrzymy na firmy zajmujące się produkcją pojazdów elektrycznych z perspektywy kredytowej, to ich głównymi problemami są bardzo duże ryzyko wdrożenia strategii, utrzymujący się ujemny przepływ gotówki oraz ryzyko płynności finansowej” – zauważył cytowany przez Bloomberg Jing Yang, dyrektor działu badań korporacyjnych w Chinach w Fitch Ratings. Wiele firm, które sprzedawały setki, a nawet tysiące e-samochodów kwartalnie, w drugim kwartale tego roku odnotowało sprzedaż na poziomie nie wyższym niż 20 egzemplarzy. Wielu firmom sprzedających eauta grozi więc prędzej czy później odcięcie prądu...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGAKIEM

Słowo
Tuska

Donald Tusk, jak powszechnie wiadomo – choćby z czasów jego rządów – słynie z poważnego traktowania każdego wypowiedzianego przez siebie słowa.

Innymi słowy: słowo Tuska – choćby raz wyartykułowane, choćby tylko półgłosem albo i szeptem, nawet rzucane gdzieś w przelocie – to dla niego rzecz niepodważalna, po prostu święta. Każde słowo, a nie tylko to okraszone zapewnieniem, że jest uroczystym przyrzeczeniem.

No i, jak państwo zapewne pamiętają, pośród wielu obietnic, które Donald Tusk złożył podczas kampanii wyborczej, była także ta dotycząca pieniędzy z KPO, czyli z Krajowego Planu Odbudowy.

Chodzi o kasę z UE, na którą koncertowo dał się nabrać (niemal cały) rząd PiS, w tym jego szef Mateusz Morawiecki (w całości), który naobiecował, czego zażądano, a przyrzeczonych pieniędzy – ze względu na wiadomy brak „praworządności” – jak nie było, tak nie ma, choć Polska już musi spłacać – w ramach KPO – kredyt, z którego nie pozwolono jej do dziś skorzystać.

Mówiąc o KPO, mowa bowiem nie tylko o 23,9 mld euro dotacji, lecz także o 11,5 mld euro pożyczek. Czyli w sumie o 160 mld zł, a więc pieniądzech niemałych, ale też – przynajmniej – nie aż tak znów wielkich, znając lekką rękę polityków – zarówno tych rządzących Polską dziś, jak i tych, wnosząc z programów

ich partii, którzy będą rządzić wkrótce. W sumie wystarczyłoby im może na dwa lata wypłacania „800+” oraz 13. i 14. „emerytur” – gdyby mogli nimi dowolnie dysponować. Ale nie mogą, bo to są pieniądze przeznaczone na inne, ściśle określone cele.

No i właśnie w tej sprawie pieniędzy z KPO – obietnicę złożył Donald Tusk. W dodatku złożył ją nie szeptem ani nawet półgłosem, przeciwnie – złożył ją głosem mocnym; ba, można zaryzykować stwierdzenie, że ją po prostu wykrzyczał. I przy tym nie uczynił tego w jakimś ustronnym miejscu – co przecież i tak nie miałoby znaczenia, zważywszy na to, że dla Donalda Tuska każde jego słowo jest święte – niezależnie od tego, w jakich okolicznościach zostało wypowiedziane – lecz uczynił to jak najbardziej publicznie. Otóż 27 sierpnia 2023 r., podczas wiecu w Sopocie, ogłosił wszem wobec: „Składam tu, w Sopocie, moim rodzinnym Sopocie, to uroczyste przyrzeczenie, że dzień po wyborach pojedę i odblokuję pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy i wszyscy to odczujemy”.

No i...? Wybory odbyły się 15 października, potem minął 16 października, a po nim 17 października, a Donald Tusk donikąd w sprawie odblokowania KPO się nie wybrał. Chyba że Tusk – jak to Tusk? – mówiąc „dzień po wyborach”, miał po prostu na myśli któryś z setek i tysięcy dni, które po tych wyborach nastąpią. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

KPO:
przypomnijmy
podstawy

Piszę ten felieton czwartego dnia po wyborach, a „pieniędzy z KPO” ani widu, ani słychu. A przecież Donald Tusk obiecał, że załatwi je następnego dnia po wygranej – a tak trzeba zinterpretować wyniki. Trudno się mówi, coś widocznie nie pykło.

Pieniądze z KPO
nie zasilą tak
po prostu
polskiego budżetu

Wziąłem „pieniędzy z KPO” w cudzysłów dlatego, że zwłaszcza politycy prawdopodobnie nowej większości zaczęli się namiętnie tym terminem posługiwać – ponownie. I jest to regres w stosunku do poziomu dyskusji sprzed kilkunastu miesięcy, kiedy sprawa KPO była żywa. Wtedy zaczęła się już przebijać wiedza, czym naprawdę jest KPO. Na tyle, żeby przestać używać owego magicznego sformułowania „pieniędzy z KPO”. Najwyraźniej trzeba więc wrócić do podstaw.

Otóż nie ma czegoś takiego jak „pieniędzy z KPO”. Krajowy Plan Odbudowy to dokument konieczny do wypłacenia pieniędzy z Funduszu Odbudowy i Zwiększania Odporności, ale te pieniądze są podzielone na 18 transz, nie ma więc mowy

o wielkiej, jednorazowej wypłacie. Połowa z transz nazywana jest „bezzwrotnymi”, druga połowa to kredyty. Te „bezzwrotne” w istocie też są zwrotne, bo fundusz opiera się na zaciągniętym przez UE kredycie, którego płatnikiem Polska już jest, choć nie zobaczyła dotąd ani eurocenta.

Do każdej z transz dołączone są określone warunki, po spełnieniu których pieniądze mają być wypłacane. Warunek dotyczący praworządności zakodowany jest w naszym aneksie do KPO pod literami F1G i dotyczy ledwie pierwszej transzy „bezzwrotnej” w wysokości 2,8 mld euro, czyli trochę ponad 12 mld zł. Nie są to jakieś wstrząsające pieniądze. Inne z warunków przypisanych do kolejnych transz to m.in. specjalna opłata rejestracyjna od samochodów spalinowych (E3G, 2024 r.), podatek od aut spalinowych (E4G, 2026 r.) czy przekształcenie procesu legislacyjnego (F4G, miało wejść w 2022 r.).

Pieniądze z KPO nie zasilą tak po prostu polskiego budżetu. Nie możemy ich wydać na to, co uznamy za najpotrzebniejsze. To pieniądze ściśle znaczone, z których zdecydowana większość ma być wydana na różnego rodzaju przedsięwzięcia „zazieleniające” gospodarkę. Opozycja, mająca przejąć władzę, o tym wszystkim jednak nie wspomina, bo to rzeczy dla niej zwyczajnie niewygodne. ©©

Na początku lat 90. wszystko, co przychodziło z Zachodu, niemal z miejsca zdobywało w Polsce popularność. Musiało spełnić tylko jeden warunek: być kolorowe. Liga NBA taka właśnie była, pełna gwiazd zaprzeczających prawom fizyki, kolorowych strojów drużyn i tańczących cheerleaderek.

Na parkietach królowali wtedy Michael Jordan i Magic Johnson, ale uwagę przykuwali też inni, jak Dennis Rodman czy Charles Barkley. Jordan żuł gumę i w charakterystyczny sposób wysuwał język, lecąc wysoko nad parkietem w stronę kosza rywali. Drugi szeroko się uśmiechał i podawał piłkę tak, jakby wykonywał sztuczki cyrkowe. Nic dziwnego, że chłopcy na polskich podwórkach, jeśli akurat nie kopali piłki, to rzucali nią do kosza, ustawionego przez Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej albo jednego z ojców. Jedni chcieli być jak Chicago Bulls, inni jak Los Angeles Lakers, a ci mniej grzeczni jak zawodnicy Detroit Pistons z Rodmanem na czele. Każdy marzył też, żeby mieć kolorowe buty z charakterystycznym znacznikiem Nike, w których biegał Jordan.

MIŁOŚĆ I TĘSKNOTA

Jeśli coś burzyło ten obraz, to na pewno brak polskiego koszykarza w najlepszej lidze na ziemi. Oczywiście NBA była wtedy mniej otwarta na świat, ale przecież występowali tam zawodnicy z Niemiec, Holandii, Libanu czy Sudanu, więc można było marzyć, że i znad Wisły ktoś się pojawi. Liga nie była zamknięta nawet na przybyszów z krajów komunistycznych. Pojawiali się gracze z byłej Jugosławii, Litwy czy z Rumunii.

Tylko z Polski nikogo nie było. Nic więc dziwnego, że kibice emocjonowali się takimi wydarzeniami, jak zaproszenie na treningi Adama Wójcika przez Los Angeles Clippers, po których polskiemu koszykarzowi została torba sprzętu. Najbardziej zapamiętane zostały skarpetki z logo NBA, w których Wójcik kilka razy zagrał w Polsce.

Kto tego nie pamięta, ten nie zrozumie tęsknoty za pierwszym Polakiem w najlepszej lidze świata i wyczekiwania: kiedy wreszcie i czy w ogóle taki gracz się pojawi. Młodszy kibice świeżo w pamięci mają występy Marcina Gortata i może nawet wspominają finały ligi NBA, w któ-

Nasz człowiek w NBA



Łukasz Majchrzyk

Dzięki Jeremiu Sochanowi polscy kibice chętniej zarywają noce, żeby oglądać mecze ligi NBA. Sam zawodnik jest świetnym ambasadorem naszego kraju



Jeremi (lub Jeremi) Sochan urodził się w USA, wychował w Anglii, a do Polski przyjeżdżał w każde wakacje

FOT. ALEX GOODLETT/GETTY IMAGES

rych wystąpił. Kiedy jego kariera powoli zbliżała się do końca, zaczęło pojawiać się pytanie: Kto będzie następny?

W tamtych latach koszykówka w Polsce przeżywała kryzys. Brakowało silnych klubów i utalentowanych graczy. Nad Wisłę przyjeżdżali hurtowo przeciętni Amerykanie, którzy nie załapali się do NBA albo bogatszych europejskich drużyn. Zajmowali miejsce młodym Polakom, których i tak nie było zbyt wielu. Największe (dosłownie i w przenośni) talenty garnęły się wtedy do siatkówki albo piłki ręcznej. Ci, którzy

zdecydowali się na granie w koszykówkę, nie byli dobrze szkoleni. Wydawało się, że na kolejnego polskiego gracza trzeba będzie poczekać jeszcze długo, kto wie, może jeszcze się nawet nie urodził.

MIĘDZY POLSKĄ A WIELKĄ BRYTANIĄ

Okazało się, że nie szukaliśmy tam gdzie trzeba. Jeremi (lub Jeremi) Sochan urodził się w USA, wychował w Anglii, a do Polski przyjeżdżał w każde wakacje. Być może kibice powinni oswoić się z myślą,

że takich historii będzie więcej. W końcu dorastają dzieci polskich emigrantów do Wielkiej Brytanii z początku lat 2000. Tacy sportowcy jak Sochan pojawiają się też w juniorskich reprezentacjach piłkarskich.

Nic dziwnego, że kiedy pojawiła się informacja o tym, że Sochana z numerem dziewiątym w drafcie do NBA wybrali San Antonio Spurs, to gratulacje pojawiły się na twitterowym profilu NBA UK. Zresztą tamtejszy oddział NBA ciągle traktuje Sochana jak swojego i podrzuca kibicom co jakiś czas informacje na jego temat. Na początku poprzedniego sezonu reprezentant Polski był przedstawiany jako Brytyjczyk (z adnotacją, że ma związki z Polską). Wielka Brytania jest zbyt ważnym rynkiem, żeby „odpuścić” takiego gracza. Liga NBA chce być obecna na Wyspach (co jakiś czas odbywają się tam mecze między drużynami z najlepszej ligi świata), a Sochan świetnie się sprzedaje w mediach. Jego popularność rośnie, a on sam umiejętnie temu pomaga – jest naturalny, ciągle się uśmiecha, ludzie po prostu go lubią.

Nigdy nie odżegnywał się od swoich związków z Wielką Brytanią, gdzie się wychował i zaczynał treningi koszykarskie, miał kolegów, jednak na każdym kroku podkreśla też przywiązanie do Polski. Tutaj przyjeżdżał w każde wakacje do rodziny, o co dbała mama Aneta Sochan, zresztą była koszykarka. Dzięki niej Jeremi zwiedzał warszawskie boiska pod chmurką i na pewno marzył, że kiedyś trafi do NBA.

W pewnym momencie zgłosił się do juniorskich reprezentacji Polski i przyjeżdżał na każde zgrupowanie. Na pewno wyróżniał się wyglądem na tle kolegów, ale zawsze był otwarty i nie miał problemów z wejściem w nową grupę. Tę otwartość widać również dzisiaj, podczas spotkań z kibicami i treningów z dziećmi, co zresztą podkreśla jego ojczym Wiktor Lipiecki (od niedawna również menedżer zawodnika).

Jeremi każdemu przybije piątkę, z każdym zmierzy się w pojedynku na boisku, a gdy na scenę wzywają go obowiązki marketingowe, to odkryjnie, że trzeba chwilę na niego poczekać, bo w kolejce czeka jeszcze jeden młody koszykarz. Sochan wie, że dla takiego chłopaka czy dziewczyny spotkanie z graczem NBA będzie niezapomnianym przeżyciem i może popchnie ich do większych marzeń. Nic

dziwnego, że na spotkania z nim ustawią się kolejki chętnych. We Wrocławiu sklep sportowy okazał się za mały i kibice czekali w długiej kolejce na chodniku. W Warszawie spotkanie zaplanowano najpierw w Parku Picassa na Białoleśce, ale trzeba je było przenieść na Torwar.

Dla niego to podróż sentymalna, bo sam podkreślał w mediach społecznościowych, że od trzech lat nie był w naszym kraju, i trochę biznesowa, bo podpisał przy okazji kontrakt reklamowy i buduje swoją popularność. Promuje też ligę NBA. Wszędzie przy okazji spotkań z kibicami i przedstawicielami mediów padają skrót NBA, pytania o grę w San Antonio Spurs, relacje ze słynnym trenerem Greggiem Popovichem.

Amerykanie zorientowali się, że Sochan może być skarbem na dwóch rynkach i nie trzeba go na siłę przyklejać do Wielkiej Brytanii, ale dzięki niemu można śmiało budować popularność

Dostał powołanie do seniorskiej kadry Białło-Czerwonych, choć mógłby śmiało grać dla Wielkiej Brytanii

NBA nad Wisłą. Nie przez przypadek to we Wrocławiu zorganizowali, przy współpracy z PZKosz oraz międzynarodową organizacją koszykarską FIBA, camp „Basketball without borders”. Dzięki temu do Polski przyjechało kilkadziesiąt dziewczyn i chłopców z różnych europejskich krajów. Zdjęcia z treningów z Sochanem obieły media na świecie.

Efekt Sochana działa też po drugiej stronie Atlantyku. Reprezentant Polski może liczyć na wsparcie amerykańskiej Polonii, a na trybunach pojawiają się wycieczki z Polski specjalnie po to, żeby zobaczyć, jak gra zawodnik San Antonio Spurs. Potem sam dziękuje polskim kibicom za wsparcie i tak to się kręci. A kiedy jeszcze wrzuci do sieci filmik, na którym zachwyca się pierogami z jagodami czy z mięsem, to natychmiast zyskuje dziesiątki polubień.

Kiedyś Shaquille O’Neal wypytywał Gortata o to, czym są pierogi (myślał, że to kiełbasa), a później do studia telewizyj-

nego przywiózł mu je konsul honorowy Polski w Atlancie Robert Lawrence Ashe. Dzisiaj taką promocję polskiej kuchni gwarantuje Sochan, a to w dzisiejszym świecie, w którym rządzą media społecznościowe, kapitał nie do przecenienia.

NIE TYLKO SOCHAN

Kiedy o jego talencie zrobiło się dość głośno, dostał powołanie do seniorskiej kadry Białło-Czerwonych, choć mógłby śmiało grać dla Wielkiej Brytanii. Przyjechał na zgrupowanie, zagrał w oficjalnym meczu i zrobił furorę. Od razu było widać, że ma dar do gry w koszykówkę, i nie chodzi tylko o skoczność, siłę czy zwinność. Być może jego największym atutem jest to, co widać też na spotkaniach z kibicami: uśmiech, otwarta głowa i pozytywne myślenie. To przydaje się w trakcie sezonu ligi NBA, gdzie rozgrywa się przynajmniej 82 spotkania, a jeśli drużynie idzie dobrze i walczy o mistrzostwo, to liczba dobija do ok. 100 meczów. Obciążenia, ciągłe podróże i stres muszą wytrzymać nie tylko ciało, lecz także psychikę. U Sochana można być o to spokojnym. Niemal od pierwszego meczu zachowywał się na parkiecie tak, jakby pół życia spędził w halach klubów NBA.

Kiedy było trzeba, to rzucał, walczył o zbiórki, grał w obronie przeciwko największym gwiazdom, a nawet uprawiał zapasy z dużo bardziej doświadczonymi koszykarzami. W tym świecie słabsza kość pęka, a Polak pokazał, że on się nikogo nie przestraszy.

Psychika Sochana wytrzymała, trochę gorzej było z kolanami. W końcówce sezonu z gry wyłączyła go kontuzja i m.in. z tego powodu nie przyjechał na zgrupowanie reprezentacji Polski. Obiecuje jednak, że w przyszłe wakacje na pewno się pojawi. Wtedy właśnie Białło-Czerwoni będą walczyli o awans do turnieju olimpijskiego. Kto wie, może wtedy Sochan nie będzie jedynym polskim graczem z NBA. Do Golden State Warriors trafił niedawno Brandin Podziemski, którego dziadek pochodzi z naszego kraju. Kiedy Sochan się o tym dowiedział, natychmiast zapytał go, czy nie chce grać dla Polski.

Podziemski mówił o tym, pytany przez amerykańskich dziennikarzy. Obaj mogą stworzyć duet, jakiego reprezentacja Polski jeszcze w swojej historii nie miała.

LEXUS UX 250H F-SPORT

Po czterech latach od światowej premiery japoński crossover japońskiej marki przeszedł bardzo potrzebny już facelifting. Tak jak w przypadku operacji plastycznych na żywym i dobrze sprzedającym się modelu inżynierowie i specjaliści od wzornictwa przemysłowego nie zdecydowali się na rewolucję, skupiając się na likwidacji najbardziej irytujących wad zgłaszanych przez posiadaczy wcześniejszej wersji auta.

Ulepszony Lexus UX wygląda nowocześnie i muskularnie. Na pochwałę zasługuje zwłaszcza za udane połączenie komfortu jazdy i sztywności zawieszenia. Układ kierowniczy po liftingu stał się dużo bardziej precyzyjny, dzięki czemu testowanym autem podróżuje się jednocześnie bezpiecznie i naprawdę przyjemnie nawet po krętych drogach (adaptacyjne zawieszenie o zmiennej sztywności pozwala bowiem błyskawicznie wybrać odpowiedni poziom twardości dla jazdy normalnej, sportowej etc.). Aby było jeszcze przyjemniej i bezpieczniej, można też prosto włączyć (i wyłączyć) aktywny tempomat, system stabilizacji toru jazdy czy kontroli pasa ruchu. Na pokładzie znajdują się też systemy kontroli martwego pola oraz ochrony przed zderzeniem z funkcją wykrywania pieszych (zarówno w dzień, jak i w nocy) oraz rowerzystów w dzień. Bardzo przydatny w codziennym życiu – zwłaszcza podczas manewrowania po zatłoczonych parkingach – jest również system ostrzegania o ruchu poprzecznym, z tyłu pojazdu, z funkcją samo-

dzielnego zatrzymania. W testach zderzeniowych Euro NCAP model ten zdobył komplet pięciu gwiazdek.

Pod maską znajduje się hybrydowy układ napędowy, będący połączeniem dwulitrowego silnika benzynowego o mocy 152 KM oraz silnika elektrycznego o mocy 109 KM. Łączna moc układu hybrydowego wynosi zaś 184 KM. Taki zestaw w połączeniu z bezstopniową skrzynią biegów E-CVT pozwala rozpędzić auto od zera do 100 km/h w 8,5 s. Charakteryzuje się ono również stosunkowo niskim spalaniem (średnio podczas testu w mieście, na trasie krajowej i na autostradzie: 6,3 l/100 km; na samej autostradzie: 7,3 l/100 km).

W wersji F-Sport w nowym modelu UX pojawił się również duży i intuicyjny w obsłudze 12,3-calowy ekran dotykowy. Czytelne i prak-

tyczne są też elektroniczne zegary znajdujące się za kierownicą. Japońscy inżynierowie znacząco poprawili również wyciszenie kabiny. Wreszcie także w tej kategorii najtańszy crossover Lexusa spełnia wymogi, które pod względem wytłumienia niechcianych dźwięków stawia się autom klasy premium. Kabina jest przestronna, a miejsca nad głową nie brakuje nie tylko z przodu, lecz także na tylnej kanapie (nie brakuje go przynajmniej osobom o wzroście do 185 cm).

Wnętrze jest też wystarczająco luksusowe jak na tę półkę cenową, choć niektóre plastiki mogłyby być nieco bardziej miękkie. To jednak drobiazg. Dużo poważniejszą wadą jest wielkość kufra. Bagażnik w tym modelu ma zaledwie 320 l pojemności.

Cena modelu zaczyna się od 237,9 tys. zł. Testowany egzemplarz wyceniony był zaś na 242,4 tys. zł. ©©



FOT. JAP

MOTOROLA RAZR 40

Niewielka waga, kompaktowe rozmiary, wytrzymała bateria oraz stosunkowo przystępna cena – to największe zalety najtańszego składaka ze stajni Motoroli.

Tańsza wersja modelu Razr 40 ultra waży 188,6 g. Jej obudowa po rozłożeniu ma wymiary 170,8 x 74 x 7,4 mm, a po złożeniu 88,2 x 74 x 15,8 mm (i bez trudu mieści się np. w kieszeni). Wyświetlacz główny o przekątnej 6,9 cala jest wykonany w technologii OLED. Rozdzielczość Full HD+, obsługa HDR10+, częstotliwość odświeżania na poziomie 144 Hz oraz jasność maksymalna na poziomie 1400 nitów sprawiają, że to naprawdę fajny ekran z czarną czernią i pięknymi, nasyconymi kolorami. Faldę na ekranie po rozłożeniu można oczywiście dostrzec, ale nie jest ona szczególnie mocno widoczna i na pewno nie przeszkadza w użytkowaniu smartfona. Po złożeniu widoczny jest wyświetlacz OLED o przekątnej 1,5 cala i rozdzielczości 194 x 368 pikseli. Do wyświetlania godziny, daty, pogody, powiadomień, a nawet robienia selfie w zupełności wystarczy.

Razr 40 wyposażony jest w procesor Qualcomm Snapdragon 7 Gen 1, 8GB pamięci RAM oraz 256GB pamięci na dane. I chociaż nie jest to rekordzista prędkości, to i tak wszystko działa płynnie i bez zacięć. Bez zarzutu sprawują się też aparaty fotograficzne (główny ma rozdzielczość 64 MP, przysłonę o jasności f/1.7, szybki autofocus z laserowym pomiarem ostrości oraz optyczną stabilizację obrazu).

Plusem jest również bateria o pojemności 4200 mAh, która pozwoli bez stresu korzystać ze smartfona przez cały dzień (lub nawet dwa, jeśli szczególnie intensywnie nie korzysta się z telefonu). W razie potrzeby akumulator bardzo szybko można ponownie naładować. Ponadto dzięki technologii LPTO smartfon automatycznie dostosowuje częstotliwość odświeżania do potrzeb, co pozwala zaoszczędzić nieco energii.

Plusami są także dwa stereofoniczne głośniki z systemem dźwięku Dolby Atmos, modem 5G oraz możliwość korzystania z kart eSIM.

Wady? Mnie osobiście nie spodobało się wykończenie z węgla aktywnego skóry, które przynajmniej w szarej wersji sprawia, że smartfon na pierwszy rzut oka wygląda na sporo tańszy, niż jest w rzeczywistości. O gustach się jednak nie dyskutuje, a tego typu wykończenie jest przynajmniej miłe w dotyku i dość praktyczne. Minusem tego modelu jest też brak wodo-

szczelności – stopień ochrony Razr 40 został określony jako IP52, co oznacza, że deszcz lub przypadkowe zachlapanie znieśli, ale kąpiel w wannie raczej będzie dla niego zabójcza. Trzecia wada to strasznie niska moc ładowania bezprzewodowego (zaledwie 5 W), przez co próba ożywienia smartfona w ten sposób wymaga cierpliwości.

Cena: 3499 zł.



STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Królowa jesiennego stołu

Królowa jesieni może być tylko jedna – mowa tu o dyni – rodowitej amerykance, bo przywędrowała ona do nas z Ameryki Południowej i Środkowej. Przywiózł ją do Europy Krzysztof Kolumb, a znana była już w starożytnym Meksyku i Peru. W całej Ameryce jest bardzo popularna i wykorzystywana do wielu potraw – zarówno słonych, jak i słodkich.

Z botanicznego punktu widzenia dynia jest owocem, a konkretnie – jagodą. W dodatku jest skarbnicą wartości odżywczych, minerałów i witamin. Jest lekkostrawna, idealnie sprawdza się dla osób będących na diecie, bo zawiera mało węglowodanów i znikomą ilość tłuszczów, za to ma sporo witamin oraz wapnia, magnezu, selenu i potasu oraz kwasu foliowego. Dynia ma mało kalorii – w 100 g tylko 27 kcal – i zawiera dużo błonnika. Stanowczo za rzadko ją wykorzystujemy, w zasadzie na naszych stołach pojawia się wyłącznie jako zupa. A przecież smaczna jest także jako dodatek do curry czy gulaszu warzywnego, a nawet do sernika.

A co przygotować z dyni oprócz znanej już nam zupy? Kiedyś spróbowałyśmy upiec sernik z dodatkiem purée z dyni, wyszedł wyśmienity, lekko wilgotny, o pięknym kolorze. Często wykorzystujemy miąższ z dyni, który zostaje, gdy robimy soki warzywno-owocowe – do dyniowej pulpy wystarczy dodać jajko, mąkę, odrobinę proszku do pieczenia i usmażyć wyśmienite zdrowe placuszki.

Purée z dyni możemy dodawać również do klusek czy upiec ciasto

dyniowe przypominające w przygotowaniu ciasto marchewkowe mocno pachnące cynamonem, z dodatkiem orzechów, możemy również zrobić syrop dyniowy i dodawać go do porannej kawy – do tego kanapka z serkiem śmietankowym i pieczoną dynią.

Przepis na placuszki z purée z dyni

Kroimy dynię (najlepiej hokkaido, bo nie trzeba jej obierać) na mniejsze kawałki, wkładamy do nagranego do 200 st. C piekarnika i pieczemy ok. 30 min. Wyjmujemy i mamy już gotowy mus – wystarczy rozdrobnić go widelcem lub blenderem.

• 200 g purée z dyni • 50 g sera mascarpone • 2 jajka • 2 duże łyżki oleju • 3 łyżki cukru • pełna szklanka mąki, trochę więcej: ok. 1 i 1/3 • szczypta soli • 2 łyżeczki proszku do pieczenia

Purée mieszamy z serkiem, jajkami, olejem, cukrem i solą. Następnie dodajemy mąkę i proszek do pieczenia. Mieszymy energicznie i mamy gotową masę do smażenia. Na rozgrzanej patelni i odrobinie oleju smażymy delikatne placuszki na złoty kolor z każdej ze stron. Na koniec posypujemy cukrem pudrem. © ©



FOT. ADE STUCK (2)



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ten wąsik, ach, ten wąsik

To kokieteria już nie tylko gwiazdorów piłki nożnej. To fenomen subtelny, ale zauważalny

dla każdego, kto zanotował wzrastającą z dnia na dzień liczbę barberów na miejskich ulicach. Nie fryzjerów – fryzjer to zbyt prostackie. Żeby zapewnić wzniosły akt tworzenia, a potem pielęgnację licznych wariantów męskich fryzur, potrzebny jest barber. To wiążysta, który zlustrowawszy głowę klienta, jego cerę, oczy, nos, zbadawszy gęstość brwi, pigmentację skóry, postawi diagnozę fryzury. Takiej, która wydobędzie z klienta maksimum męskości i delikatnego, chłopięcego szarmu.

Chcesz być hipsterem z niaby-spontaniznym zarostem? A może coś bardziej intelektualnego – włosy dłuższe, łagodnie opadające na boki, z przedziałkiem na środku, cieniowane nad uszami i wystrzyżone na karku? Czoło odkryte czy raczej z rzuconą niby-nie-dbałe grzywką? Może lekka koloryzacja? Pasemka blond? Albo kontrastowe końcówki?

Tylko barber potrafi nadać przystrzyżonej brodzie wyraz delikatny, lecz stanowczy. Tylko on zapanuje nad wysublimowanym chaosem nierównych kosmyków, nada im właściwy ton od jasnego blondu do ciemnego kasztanu. Najwięksi profesjonalści sprawią, że włosy strzyżone w 3D ujawnią kształt głowy i grecki profil: oto zmierzwiony puszc-

yscie kosmyk opada asymetrycznie na czoło, podczas gdy tył stopniowo skracą się, biegnąc od dłuższych pasm na gó-

rze aż do ściśle wystrzyżonego karku. Gest dłoni zagarniającej niby-niedbale włosy do tyłu nada każdemu mężczyźnie uroczy wyraz dziecinnej bezradności. Ach, jakież seksowne.

Wąsy są znowu modne. Styl na doktora Watsona i Herkulesa Poirot. Top Gun, coś takiego. Vintage, to na pewno. Na dżentelmena, na detektywa, na Salwatora Dali, na Ludwika Sempolińskiego, na Chaplina.

Jeśli wciąż pozostają panowie w niepewności, co wybrać, radzę udać się na Instagram. Portal Instagram Mustache ma 3 mld odsłon, Mustache Power – 17 mln. Cienki wąsik to poważna sprawa, wymaga zegarmistrzowskiej precyzji. Kozia bródka to też sztuka dla profesjonalisty itp., itd. Firma produkująca maszynki do golenia ostrzega: wąsik à la Dali wymaga fachowej ręki, umiejętności i wosku, o sprzecznie nie mówiąc. Taka kreska jak narysowana ołówkiem to wielka sztuka. Barber-ska oczywiście.

O wąsach Zagłoby, Piłsudskiego (zasłaniał nimi braki w uzębieniu, zęby wybili mu w Szlisselburgu), Wałęsy czy też po prostu o wąsach zwykłego Janusza (tego od Grażyny) na razie się nie mówi. Ale zaczekajmy, wszystko przyjdzie. © ©



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zamek banity Zborowskiego



JACEK KOMUDA

Pozostałości zamku Krupie przy drodze łączącej Krasnystaw z Rejowcem na Lubelszczyźnie to ciągle imponujący pomnik I Rzeczypospolitej. Dzieje tej budowli do dziś nie są do końca znane. Zapewne jej początki sięgają końca XV w., kiedy Jerzy Krupski wzniósł tutaj pierwszy obronny zameczek. Wiele lat później właścicielem Krupiego stał się niesławny Samuel Zborowski, banita i swawolnik, zabójca (nieumyślny) kasztelana przemyskiego Andrzeja Wapowskiego, ścięty w 1584 r. przez kanclerza Zamoyskiego na Wawelu. On właśnie rozbudował umocnienia do wielkości prawdziwej rezydencji – ufundował lub przebudował zamek, dodał cztery baszty, wieżę bramną, otoczył warownię fosą. Być może już wówczas siedziba składała się z dwóch skrzydeł mieszkalnych oraz bastei mieszczącej izby mieszkalne. Jego następcy – a przede wszystkim Paweł Orzechowski, podkomorzy chełmski – przekształcili zamek w imponującą rezydencję późnorenansową. Na początku XVII w., w latach 1604–1608, dodał atyki na szczytach murów, a pozostałe wieże przebudował na bastiony. Z zamku wyodrębniło się przedzamcze na mieszkania dla

slug i rzemieślników. Niestety, kolejne lata były pasmem klęsk i zniszczeń. Najpierw zamek zdewastowany został przez Kozaków w 1648 r., a potem przez Szwedów w 1656 r. Z kolei w 1665 r. pożar strawił całą zabudowę przedzamcza. Z ruiny podnieśli to miejsce dopiero ok. 1670 r. kolejni właściciele – Rejowie, którzy posiadali Krupie aż przez



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

100 lat. Jednak w XVIII w. zamek nie bardzo nadawał się do zamieszkania, skoro w 1779 r. kolejny jego właściciel, starosta nowokorczyński Jan Michał Rej, rozpoczął budowę istniejącego do dziś, murowanego dworu nieopodal fortecy. Obiekt ten dokończony został później przez Adama Mrozowickiego, starostę stężyckiego, kolejnego właściciela. Samym zamkiem nie zajmował się wówczas nikt, w 1794 r., w czasie upadku dawnej Rzeczypospolitej, wybuchł tutaj pożar, który zniszczył stropy budowli. Chociaż ruiny kupił Ignacy Kuczewski, a po nim kolejno właścicielami stawali się Poletyłowicze, Chmielenscy i Smoleńscy, to nawet nie myśleli oni o odbudowie tego miejsca. Dodatkowo w 1915 r. Krupie ostrzelane zostało przez Prusaków. Ostatnią właścicielką ruin była Julia z Kulickich Kozarynowa, którą komuniści wywłaszczyli w 1944 r. Wcześniej Niemcy okupanci zrabowali jeszcze część budulca, rozbierając kurtyny południowo-zachodniej i południowo-wschodniej. Na ratunek budowli pośpieszono dopiero w latach 60., kiedy zaczęły walić się atyki i mury.

Jak zwykle najciekawsza historia zamku związana jest z Samuelem Zborowskim, którego ja w przeciwieństwie do śp. Jarosława Marii Rymkiewicza nie traktuję jako romantycznego buntownika, ale niebezpiecznego i brutalnego magnata. Potwierdzeniem tego jest zresztą historia anegdotyczna, która ukazała się

w 1840 r. w czasopiśmie „Przyjaciół Ludu” opowiadająca o tym, jak kiedyś do Krupiego przyjechał Włoch, niejaki Kandian, zwabiony przez Zborowskiego obietnicą oddania długu, który zaciągnął jeden z jego wieśniaków. Gość został godnie uczęstowany, zabawiany do czasu, aż nadszedł dzień jego odjazdu. Wówczas Samuel zaczął odradzać mu wyjazd, strasząc morowym powietrzem. Później zaczął go wyśmiewać w obecności dworzan i szlachty, doszło do tego, że obrażony Włoch dał w gębę jednemu z nich – co wywołało ledwie powstrzymany rozruch i awanturę. Zborowski jednak zabawił się okrutnie z gościem – kazał bowiem wysmarować go miodem i wypuścił na niego starego niedźwiedzia, którego wcześniej poszczuła psami.

„Wyszedłszy z walki tej z bestią zwycięsko, powalivszy niedźwiedzia, oburzony takowym obejściem, postanowiłem natychmiast odjechać, nie pożegnawszy się z gospodarzem” – pisał Kandian. Samuel jednak odjął koła od jego bryki, a dodatkowo ograbił gościa z kosztowności i kazał zatrzymać go na zamku. Nie wiadomo, jak skończyła się ta historia; nie był to zresztą jedyny taki wybryk Samuela, który często napadał na szlachtę i zakonników.

Relacja „Uwięzienie Samuela Zborowskiego opisane przez krewnych jego” podaje dalsze szczegóły na temat zamku w Krupem. Otóż wyjeżdżając z Rzeczypospolitej, Zborowski pozostawił tam 20 służących, strzelbę, a całą komendę oddał niejakiemu Cieklińskiemu. Historia z Włochem, jeśli prawdziwa, świadczy też, że w siedzibie znajdował się również zwierzynek, rzecz bardzo częsta w rezydencjach bogatej szlachty. ©

I RZECZYPOSPOLITA

Krupie

PIS. MART



Jerzy Karwelis

DEKAMERONKI

O włos od kanclerza

Wiadomo – wszystko zostało mane, tekel, fares, policzone znaczy się. Będą teraz – jak pisałem – pokój straszniejszy od kampanijnej wojny i test na jednoczenie (wybranych) Polaków. Mnie, w gorączce prognoz, zaskoczyła pewna konstatacja. Wśród wielu symulacji znalazłem jedną, która mnie zdziwiła. Było to jeszcze wtedy, kiedy zliczały się komisje i wyszło z niej – po przeliczeniu mandatów – że jest... remis, czyli po 230 mandatów na obozy. A to przecież możliwe, nie tylko matematycznie.

Wtedy zacząłem się zastanawiać nad jednym fenomenem – mandatami mniejszości niemieckiej. Przypomnę – w okręgu 21 (woj. opolskie), jest wyjątek od zasady konieczności otrzymania 5 proc. głosów, by dostać mandat. Był to ukłon (nieodwzajemniony) w stronę mniejszości niemieckiej, która dzięki temu regularnie od 1991 r. zdobywała mandat, w porywach do trzech. W tym roku mandatu nie otrzymała, gdyż przeważała tu rekordowa frekwencja, która zepchnęła tych wyborców pod próg mandatorbrania.

Do tej pory ten jeden mandat, nawet trzy nie miały znaczenia dla biegu spraw polskich. Ale sytuacja się zmienia, od kiedy polaryzacja dwóch plemion zaczęła dochodzić do równowagi idealnej. Wtedy takie dwa-trzy mandaty mogłyby robić różnicę. I tak było w tej symulacji: remis i decyzja jednego posła (w tym

wypadku „niemieckiego”) mogłyby zadecydować, w którą stronę skręci Polska. Zaciekała mnie spekulacja, co każde z plemion mogłoby zaproponować za taką deklarację poparcia. I wyszło mi, że nawet... premiera.

Aco? Czemu nie? Taki premier byłby bez zaplecza politycznego, tym bardziej w postaci mandatów w Sejmie, chłopcem do wykonywania zadań większości. I mielibyśmy... kanclerza. To nawet byłaby ciekawa perspektywa – stosunki z naszym zachodnim sąsiadem w sposób naturalny nabrałyby rumieńców. Jedno z plemion o wyraźnie proniemieckiej proveniencji doznałoby przyspieszonego wzmożenia. Ale to wszystko pokazuje jedno: że mamy ustrój, w którym ruch skrzydełek jakiegoś politycznego motyla może spowodować, że lawina się osunie, i to w konkretną stronę. A jak polskie sprawy wiszą na takim włosku, to nasze losy są już czystą loterią, w dodatku wspomaganą co do wyniku przez wiatry wiejące z różnych stron w skrzydełka takich motyli.

Aż zacytuję Wałęsę, z jego diagnozą, że są konie do biegu i konie do pracy. Do tej pory nie mogę zrozumieć, czemu losy kierowania państwem powierza się temu, kto najlepiej uwiedzie suwerena. Przecież sprawność w kampanii i rządzenie krajem to dwie różne kompetencje. Często się wykluczające. Co jest nam, i będzie, do okazania. ©©



Jan Pospieszański

#WARTO

Niepokój i ufność

Nie pamiętam, by w jednym czasie rozstrzygały się procesy o takim znaczeniu dla przyszłości świata, Polski i Kościoła. Zadajemy sobie pytanie, czy konflikt o Strefę Gazy nie rozleje się na ościennie kraje? Jak zachowa się Pentagon? Jak zareagują Iran, a potem Chiny? Czy nie jesteśmy w przededniu globalnej wojny? Bliższa rzeczywistość związana jest z pytaniami: Jaka będzie koalicja, jaki rząd i jaki podział stanowisk? Kto weźmie kulturę, edukację, zdrowie? Wszak w tych resortach rozgrywa się najważniejsza batalia antropologiczna. Jakie mogą być następstwa dla konstytucyjnego prawa chroniącego życie, dla Kościoła, dla ludzi wierzących? Czy spowolniona nieco rewolucja genderowa nabierze teraz turborozpędu?

Z niepokojem czekamy też na wieści z Watykanu. Trwa Synod, którego obrady zostały utajnione, a jeżeli sprawdzą się prognozy, to może on spowodować w Kościele trzęsienie ziemi. Zapędy progresistów, których rzecznikiem jest sam Franciszek, mają na celu zmianę zasad moralnego nauczania Kościoła. Synod, według zapowiedzi, ma również zmienić zasady zarządzania Kościołem. Ma ambicję wprowadzić demokratyzację na wzór wspólnot protestanckich, a w radykalniejszych żądaniach znieść celibat i dopuścić kobiety do święceń. Choć z drugiej strony, demokratyzacja jest dziś przez Stolicę

Apostolską akceptowana, jeśli np. biskupi argentyńscy proponują liberalną interpretację adhortacji „Amoris Laetitia” lub gdy belgijski episkopat wprowadza błogosławienie związków jedнопłciowych. Natomiast równolegle postępują centralizacja władzy papieskiej i dyscyplinowanie biskupów niezgadujących się z kursem Franciszka.

Nie poprzestaną jednak tylko na mnożeniu obaw. Przypomnę budujące wydarzenie sprzed trzech lat. Kiedy trwało wyczekiwanie na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie uchylecia przesłanki eugenicznej, Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka zainicjowało modlitewną nowennę. TK potwierdził konstytucyjne gwarancje życia, a w odpowiedzi wyległy na ulice demonstracje, które wulgaryzmem i agresywnością zdominowały przestrzeń publiczną. I wtedy zupełnie przez przypadek, na kilkudziesięciu tysiącach (!!!) billboardów i plakatów, pojawiło się serce z noworodkiem w środku. Gdy fala nienawiści zalewała kraj, gdy traciliśmy ducha, nagle w całej Polsce, nad tym wrzaskiem, w niezwykle sposób zakręlowało przesłanie miłości. Kampania pro-life prywatnej Fundacji Kornice planowana była już dużo wcześniej, ale zbieg okoliczności sprawił, że stała się odpowiedzią na aborcyjne błyskawice. Modlitwa działa cuda... więc nie traćmy ufności. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Ukrywanie dziury

Przekleństwo jakieś czy co? Stop. Tu, nad Wisłą, nawet reżim nie może się udać! Stop. Przedstawiany w układzie słonecznym Krwawy Kaczor jako Krwawy Kaczor nie potrafił – bo przecież na pewno nie że nie chciał – sfalszować wyborów, jakby nie znał zasady: „Nieważne, kto głosuje, ważne, kto liczy głosy”. Stop. Co to w ogóle ma być? Stop. Po wyborach, kiedy podano exit poll, to nawet wojsko nie wyszło na ulice i nie zaczęła się akcja prewencyjnych zatrzymanio-resztowań. Stop. Nawet policja nie pałowała! Stop. Gdzie my w ogóle żyjemy? W sprawach reżimu musimy się naprawdę dużo nauczyć. Stop.

Wiceszefowa sejmowej Komisji Finansów, Izabela Leszczyna, napisała na X info wstrząsające: „PiS to oszuści: ukrywali przed wyborami, że w tegorocznym budżecie jest gigantyczna #DziuraMorawieckiego”. Stop. I ludożerka, zamiast się oburzyć na Morawieckiego, zapalała gniewem do pani Izy, że niby dokonała twórczej trawestacji słynnego „pieniędzy nie ma i nie będzie”. Stop. Że niby przygotowuje grunt pod „nie wszystkie obietnice będą spełnione, bo dziura”. Stop. Pani Izo, proszę się nie przejmować. Stop. Ludzie nierzadko ukrywają dziury!

Marcin Wolski, satyryk, pisarz, szef TVP2 w latach 2016–2017, zdiagnozował jedną z przyczyn wyborczej porażki PiS. Stop. Według niego to media

publiczne. Stop. „Zwyciężyła logika stalinowska: kto nie jest z nami, jest przeciw nami, a nie odwrotnie” – powiedział. Stop. Niestety, po diagnozie zaordynował też lekarstwa: „Cmokajmy w pupcię Trzecią Drogę. Ponieważ to jest nasza jedyna, jakakolwiek szansa, że my w ogóle przeżyjemy”. Stop. Panie Marcinie, pan myśli, że jak pocałuję w pupę, to będzie z tego książniczka? Stop.

Potęga mediów społeczno-ściowych jest tak wszech, że to w nich się ustala zręby umowy koalicyjnej. Stop. Władysław Kosiniak-Kamysz twardo o przyszłej umowie: „Koalicja Obywatelska i Lewica za aborcją do 12. tygodnia? Żadne sprawy światopoglądowe nigdy nie mogą być przedmiotem umowy koalicyjnej. Na jakiegokolwiek wpisywanie w umowy koalicyjne spraw światopoglądowych się nie zgodzę”. Stop. W ramach tajnych politycznych negocjacji Anna Żukowska Lewica odparła: „Na takiej samej podstawie jak sprawy rolników – czy co tam chcesz do umowy zgłosić”. Stop. Kupiłem popcorn i colę. Czekam. Stop.

Janusz Korwin-Mikke został zawieszony w prawach członka Konfederacji i wyrzucony z Rady Liderów. Stop. W partii się zorientowano, że jego wypowiedzi np. o pedofilii szkodzą i mogły mieć wpływ na słaby wynik Konfederacji. Stop. Tak błyskawicznie to – powiedzmy szczerze – oni się nie zorientowali... Stop. ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Mateusz da Vinci

Niezwykłe dzieło filmowe kręcić zaczęła Fundacja Pomorska Inicjatywa Historyczna. Jak opisuje jej prezes, „z inicjatywy przyjaciół Mateusza Morawieckiego powstaje film dokumentalny przedstawiający nieznaną fakty, wspomnienia, zdjęcia i filmy pokazujące jego dzieciństwo, dorastanie i młodość w trudnych warunkach wrocławskiego Śródmieścia i zmagania wrocławskiej opozycji z aparatem represji PRL”. Dzieło, zatytułowane „Poszedł robić coś dla Polski”, prezentować będzie wspomnienia towarzyszy dziecięcych zabaw, nauczycieli i kolegów ze szkolnej ławy przyszłego premiera. Prezes fundacji, a zarazem kandydat PiS w wyborach parlamentarnych, Andrzej Kołodziej, zamieścił na portalu X (dawniej Twitter) krótką, sześciominutową zapowiedź filmu, zawierającą kilka poświęconych Mateuszowi Morawieckiemu wspomnień. Wsłuchajmy się w te głosy:

„Mateusz miał ksywę »Dziki«, dlatego, że był taki nieujarzmiony”;

„Był w szkole lany deską od zabudowy kaloryfera, sadzany w ławce, i z ostatniej ławki mówił – »Kiedys będę uczył prawdziwej historii«”;

„Umysł ścisły, ale umysł też humanistyczny. Taki Leonardo da Vinci – współczesnych czasów”;

„Naprawiał mi buty – które dostałam od koleżanki, bo nie było wtedy butów”;

„Dużo słucha – to jest bardzo ważne. Słucha innych – i miał zawsze na uwadze innych ludzi”;

„Nie był Maradoną, ale tę piłkę podbijał, wokół mnie tańczył. Na pewno by miał karierę, jako zawodnik piłkarski”;

„Miał bardzo dobry bek-hend i forhend. To była taka jego mocna strona. Turniej kwalifikacyjny, do zawodów ogólnopolskich (w ping-pongu) wygrał”;

„Kiedy ja mówiłam, chcę się wykąpać i w wodzie przezroczystej popływać – to On mówił – a ja chcę Polski – wolnej Polski”;

„Nigdy nie był arogancki – jest bardzo, jest zastanawiająco skromny”.

Niewielu współczesnych świętych mogłoby marzyć o tak egzaltowanej hagiografii, jaką zainspirował dziecięcymi dokonaniem urzędujący premier. Nie wątpię, że taka opowieść miałaby wszelkie szanse na propagandową celebrrę, oficjalny patronat i wsparcie finansowe niejednej publicznej instytucji. Mateusz Morawiecki na internetowy zwiastun filmu odpowiedział trzema czerwonymi serduszkami i skromnym słowem „Dziękuję”. Dziś, kiedy ważą się losy obozu rządzącego, dla wyćwiczenia w padaniu plakietkami filmowców nadszedł czas szybkich i wymagających wyczucia chwili decyzji. Donald Tusk też okazywał przed laty talent piłkarski, a gdańskie kominy wyglądają w kadrze nie gorzej od wrocławskich kamienic. ©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Oschmann oszołom?

Trzydzieści lat po upadku muru berlińskiego jest w Unii Europejskiej państwo, które ma posiadłości kolonialne, i to w obrębie UE. To zjednoczone Niemcy, a ich kolonią jest obszar dawnej NRD („nowe kraje związkowe”). Tak brzmi główna teza bestsellerowej książki Dirka Oschmanna „Wschód – zachodnioniemiecki wynalazek”.

Profesor literaturoznawstwa na uniwersytecie w Lipsku postarał się o rozgłos, publikując w lutym 2022 r. na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung” artykuł pod podobnie brzmiącym tytułem „Jak Zachód [Niemiec] wymyślił sobie Wschód [Niemiec]”. Tekst, chociaż krótko po swoim ukazaniu się został „przykryty”

ta przekracza 40 proc. na korzyść „Wessies” („tych z Zachodu”). Ponad 30 lat po zjednoczeniu Niemiec ze 108 istniejących w tym kraju uniwersytetów tylko jeden jest zarządzany przez rektora wywodzącego się z dawnego NRD.

U progu drugiej dekady XXI w. odsetek tzw. wschodnich Niemców (Ostdeutsche) na kierowniczych stanowiskach w administracji, wymiarze sprawiedliwości, mediach, nauce i gospodarce w całej Bundesrepublik wynosi przeciętnie niespełna 2 proc. Na stanowiskach dowódczych w Bundeswehrze odsetek ten wynosi zero.

Trzydzieści lat po upadku muru berlińskiego aż 17 proc. wszystkich mieszkańców zachodnich landów kiedykolwiek odwie-

W XIX w. w roli kulturtregerów obsadzali się pruscy (niemieccy) politycy, urzędnicy i oficerowie. Po 1989 r. w niemieckim imaginariusz kulturowym i politycznym – przekształca Oschmann – kulturtregerami są „Wessies” kolonizujący dawne NRD, a nowymi Irokezami stali się mieszkańcy Brandenburgii, Meklemburgii czy Saksonii.

Oschmann przypomina również, że wbrew swoistej mitologii politycznej nie można winić tylko „nowych landów” za rozwój tego, co mainstreamowe media określają „prawicowym ekstremizmem” (chodzi o środowiska wzdychające za czasami narodowego socjalizmu). Niemal bez wyjątku jest to zachodnioniemiecki „import” do dawnej NRD. Podobnie jak Alternatywa dla Niemiec, która narodziła się w zachodnich landach, a której przywództwo z małymi wyjątkami wywodzi się ze „starej Bundesrepublik”. Historia ostatnich tygodni dopowiedziała swoje, gdy na początku października okazało się, że w wyborach landowych przeprowadzonych w Hesji i Bawarii to właśnie AfD odnotowała największy wzrost poparcia wśród tych „lepszych” (zachodnich) Niemców.

Książka Oschmanna skłania do wielu pytań. Ot, chociażby do takiego: Jak to się stało, że kraj aspirujący do brania coraz to „większej odpowiedzialności za Europę”, w której ma być realizowana polityka zrównoważonego rozwoju, ciągle nie jest w stanie oporać się z problemem wewnętrznej spójności we własnych granicach? Dlaczego kraj, który z troską pochyla się nad „społecznym wykluczeniem” w innych europejskich krajach, sam ma z tym gigantyczne problemy? ©©

„Kolonialny” styl myślenia o Wschodzie ma w niemieckiej kulturze politycznej długie tradycje. W cesarskiej Rzeszy Niemieckiej powszechnie traktowano wschodnie prowincje państwa jako pustynię cywilizacyjną

wybuchem wojny rosyjsko-ukraińskiej i jej poważnymi konsekwencjami dla Niemiec (na czele z ustaniem importu surowców energetycznych z Rosji), wzbudził w Niemczech ożywioną dyskusję. Oschmann rozbudował swój artykuł do rozmiarów książki, która jesienią 2023 r. doczekała się już kilkunastu wydań, zajmując przez długi czas pierwsze miejsce na liście bestsellerów „Spiegla”.

Wynagrodzenie w „nowych landach” jest o ponad 22 proc. mniejsze niż za tę samą pracę w landach zachodnich. Taka jest przeciętna wielkość dla całej gospodarki, ale w poszczególnych sektorach, takich jak przemysł samochodowy czy sektor IT, różnica

dzieli landy wschodnie (badania z 2019 r.).

Te dane, które podaje Oschmann, są powszechnie znane od dawna. Nowość książki lipskiego literaturoznawcy (jako jeden z nielicznych „Ossis” ma własną katedrę na niemieckim uniwersytecie) polega na tym, że przypomina on, iż „kolonialny” styl myślenia o Wschodzie ma w niemieckiej kulturze politycznej długie tradycje. W cesarskiej Rzeszy Niemieckiej powszechnie traktowano wschodnie prowincje państwa Hohenzollernów jako pustynię cywilizacyjną, dzicz („Irokezi znad Wisły”, o których pisał już król Fryderyk II), która czeka na dobrego gospodarza.

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / LOTO JAROSŁAW SŁONICKI

Lubię, gdy naród pokazuje władzy środkowy palec. To rodzaj głosowania – palcem wystawionym polityce w twarz. Za komuny pokazywaliśmy im dwa palce wzniesione w znaku V – zwyciężymy was, pokonamy. A w stanie wojennym zamiast zakazanych symboli wpinaliśmy w klapę opornik wyjęty z zepsutego radia; czasami był pomalowany na biało-czerwono. Opornik w klapie – symbol oporu. I był czytelny także za granicą, bo opornik to inaczej rezystor, czyli resist, resistance.

Władzy, gdy jest wredna, wyrodna lub gdy jest nieudolna, warto stawiać opór, a najlepiej kontrę. Kontra oznacza, że władza ma się cofnąć, bo poszła za daleko lub weszła w nasze życie zbyt głęboko i wtrąca się do spraw, które jej nie powinny interesować. No np. klamki i gniazda elektryczne w moim domu nie powinny interesować Nadzoru Budowlanego, a cały Nadzór nie powinien istnieć.

Władza się wtrąca w to, gdzie wiercę studnię i jak głęboko, wtrąca się, gdy wycinam stary sad, bo chcę posadzić nowy, wtrąca się, gdy kopię rowy melioracyjne na własnej ziemi. Wtrącała mi się w kolor samochodu – że nie zgłosiłem zmiany. A co was obchodzi, jaki mam kolor auta? Nie podobał mi się rudy, to sobie przemalowałem na żółty i won od mojego auta.

Władza na lotnisku zaczęła mnie, gdy wrzuciłem flaszkę do złego kosza. Powinienem podobno wyrzucić do pojemnika na szkło. Powiedziałem władzy, że ja wyrzucałem etykietę na tej butelce i dlatego wybrałem kubeł na papier, a butelka była przyklejona

do etykiety i nie dawała się oderwać. Władza zgłupiała i poszła sobie.

Czyli lubię i popieram sprzeciw obywatelski oraz żarty i granie systemowi na nosie. Polacy pokazują władzy środkowy palec za każdym razem, gdy władza zarządza ciszę wyborczą. Cisza wyborcza? Co za bzdury!!! W społeczeństwie pełnym komórek i w dobie szybkiego obiegu informacji cisza wyborcza jest fikcją oczywistą i ośmiesza władzę. „Bo co nam możecie zrobić, ciule? Nic nie możecie nam zrobić!”. To po jaką cholerę ogłaszacie ciszę wyborczą, skoro nic nam nie możecie zrobić?

Zacznę od siebie: mieszkam za granicą i obowiązuję mnie prawo kraju, w którym aktualnie przebywam. Jeżeli opublikuję dowolne treści wyborcze, siedząc w USA, to polska władza może mi zrobić wielkie NIC. Mój sławny film „NIE WYBIERAJcie ŚMIECI” opublikowałem na zagranicznym kanale; został obejrzany w Polsce przez 6 mln ludzi w jedną dobę przedwyborczą w trakcie ciszy. I co mi mogli zrobić? Wielkie NIC.

W tym filmie podarłem plakat wyborczy, co jest prawnie zakazane, ale... co mi zrobicie, jeżeli ja sobie wasz plakat odbiję na ksero i podrę kopię, która jest moją własnością. Jajco mi możecie zrobić, czyli wielkie NIC.

Z powodu ciszy wyborczej nie wolno podawać sondaży w trakcie wyborów. Mimo tych

głupich przepisów ZAWSZE istnieje tzw. bazarek, gdzie ludzie podają w sieci wyniki exit poll, posługując się językiem zastępczym. Tradycyjnie każda partia jest jakimś produktem spożywczym i np. zamiast pisać, że PiS ma 30, PO 28, Konfederacja 8, piszą tak: Na bazarku o godz. 10 rano pistacje były po 30, pomidory po 28, a konfitura po 8. I co władza może zrobić, aby ukarać łamiących tę ich głupią ciszę? NIC, jajco.

Przez lata ten język na nielegalnym „bazarku” ewoluuje w różne śmieszne wariacje. W tym roku ktoś napisał tak (cytuję):

Pierwsze sensacyjne dane giełdy:

banderowcy 32 proc.
hitlerowcy 29 proc.
alkoholicy 11 proc.
płacziwe cioty 9 proc.
czerwone pedały 8 proc.

Cisza wyborcza jest nikomu niepotrzebna. W USA wiece wyborcze odbywają się także w dniu wyborów, a agitacja i rozdawanie ulotek także przed lokalem wyborczym. Podobnie było w Szwecji, gdy tam pracowałem dawno temu.

Wyборы organizował PiS, bo akurat ta partia jest obecnie przy władzy. Dlatego za przebieg wyborów odpowiada PiS – czy mu się to podoba, czy nie. Czyli to PiS odpowiada za to, że w skład Obwodowej Komisji Wyborczej nr 10 w Przemyśle weszli: Ołeksandr Bezkysszczenko – przewodniczący – oraz Ławreniuk Iwona jako zastępca. Wyborcy skarżyli się, że członkowie tamtej komisji mieli kłopoty z językiem polskim.

Jestem wredny nacjonalista, więc pytam dodatkowo, jak członkowie komisji radzili sobie z polskim alfabetem, który wygląda inaczej niż rosyjskie i ukraińskie bukwy? Jak przewodniczący poradził sobie z raportem i liczeniem głosów, skoro nie radzi sobie dobrze z językiem polskim?

A czy to ma znaczenie, kto siedzi w komisji? Hm... Cytuując Lenina i Stalina, odpowiem tak: Nieważne, kto jak głosuje, ważne, kto liczy głosy.

Jedna z gazet marksistowskich (podobno „Wyborcza”) urządziła symboliczne wybory, w których głosowali „imigranci” przebywający w Polsce. Wyniki były takie:

Lewica powyżej 50 proc.
KO 40 proc.

Trzecia Droga 3 proc.

Konfederacja 3 proc.

PiS poniżej 2 proc.

Bezpartyjni poniżej 2 proc.

Być może organizatorzy symbolicznych wyborów naciągali dane, ale gdy połączy się lewackie skłonności „imigrantów” oraz to, że w komisji liczącej głosy zasiadają „imigranci”, to nawet po wzięciu odpowiednich poprawek jestem zaniepokojony. Gdyby im dać prawa wyborcze (a KO ma taki plan), wówczas Polską zarządzać będą marksści.

Byłem w Warszawie i co widzę: wszędzie o każdej porze, zawsze gdzieś w zasięgu wzroku „imigrant” o mocno czarnej twarzy. Przybysze z Czarnej Afryki. Z tych najbardziej okropnych biednych i wojennych rejonów; bez szans na asymilację w Europie. W dodatku sami faceci w wieku 20–30 lat.

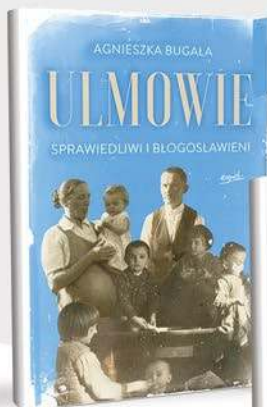
Kto do tego dopuścił? Ten, kto rządził przez ostatnie osiem lat i stale opowiadał, że nie zgadza się na wpuszczanie. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE **KSIĄŻKI**

AGNIESZKA BUGAŁA: „ULMOWIE. SPRAWIEDLIWI
I BŁOGOSŁAWIENI” + ALINA PETROWA - WASILEWICZ
„URATOWAĆ TYSIĄC ŚWIATÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

234,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 415 zł



~~649 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 54003b5efe

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



Z PIEKŁA NA WOLNOŚĆ

Polskie ucieczki
z niemieckich
obozów

Ośmieszono SS – Jak czterech polskich więźniów uciekło z Auschwitz autem komendanta obozu

Upadek palatyna – Sieciech dążył do obalenia rodu Piastów i stworzenia własnej dynastii

Czarna godzina Habsburgów – Bez wojny z 1866 r. nie doszłoby do zjednoczenia Niemiec

Pionierka seksrewolucji – Zazdrość i wierność były, według Aleksandry Kołłontaj, przeżytkami kapitalizmu

Śmierć od tysiąca cięć – Chińska kara lingchi mroziła Europejczykom krew w żyłach

Skąd się wzięła Moskwa – Jak niewielkie księstwo wyzwoliło od Tatarów, a następnie zniewoliło większość ziem ruskich?

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**